

SIMON R.

GREEN

NIGHTSIDE - MIEJSCE, GDZIE SPĘSNIĄ SIĘ MARZENIA I OŻYWAJĄ KOSZMARY

*Coś
z Nightside*



fabryka słów
www.fabryka-slow.pl

SIMON R.

GREEN

*Coś
z Nightside*

TLUMACZYŁ
MATEUSZ REPECZKO

ILUSTRACJE
DOMINIK BRONIEK

fabryka słów

Lublin 2011

*Poszedłem do domu, który nie był domem
Otworzyłem drzwi, które nie były drzwiami
I zobaczyłem, co zobaczyłem.*



Spis treści

JEDEN - Pieniądz wieczorową porą

DWA - Droga do celu

TRZY - Neon Noir

CZTERY - Jeśli wiesz, co dobre, idziesz do Obcych Znajomków

PIĘĆ - Udręka

SZEŚĆ - Szturm na Fortecę

SIEDEM - Gdzie mieszkają naprawdę dzikie stwory

OSIEM - Chwila przerwy

DZIEWIĘĆ - Dom przy ulicy Blaiston

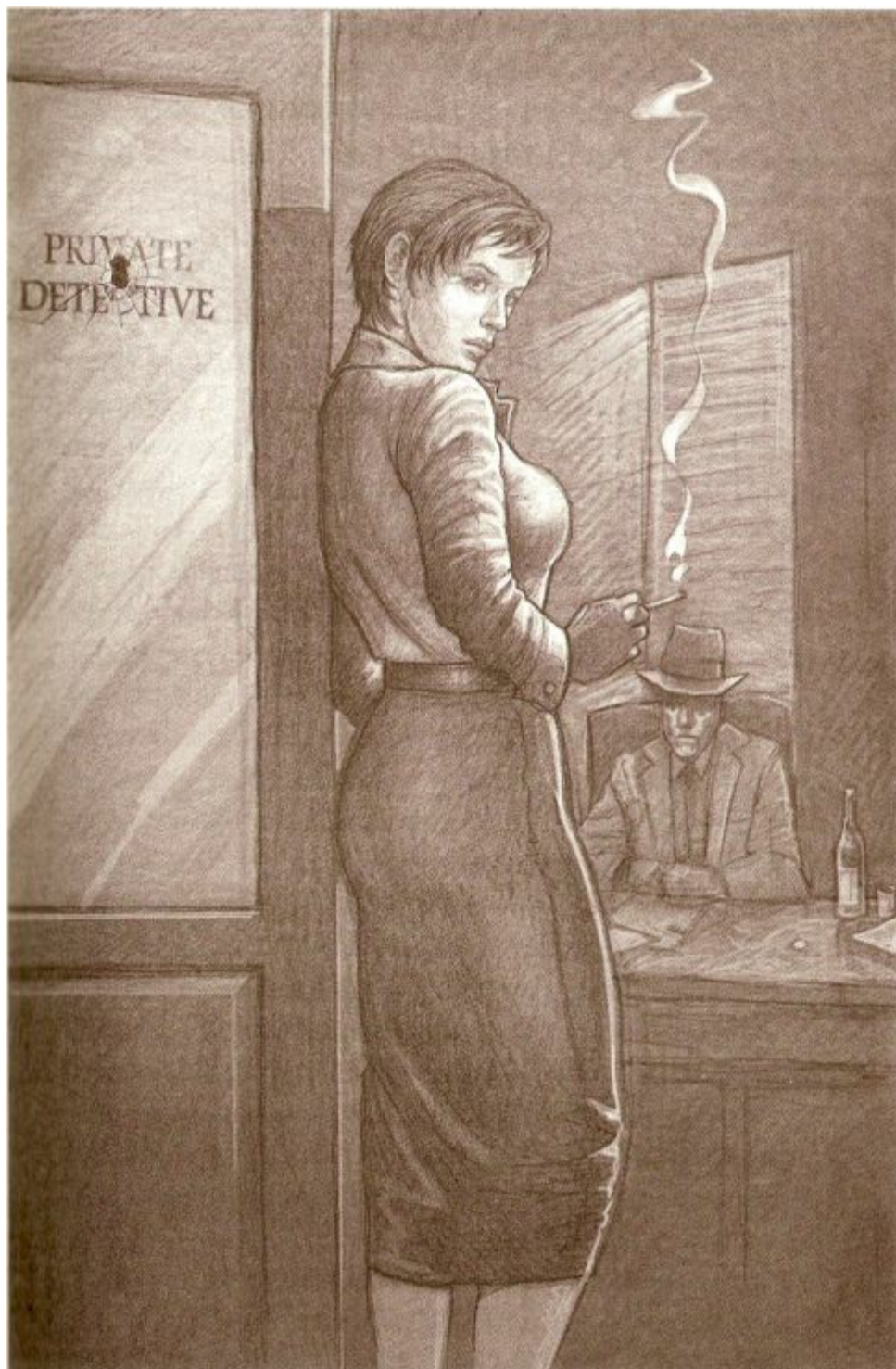
DZIESIĘĆ - W trzewiach bestii

JEDENAŚCIE - Koniec maskarady

EPILOG

JEDEN

Pieniądz wieczorową porą



Prywatni detektywi bywają najróżniejsi, dowolnej postury i wzrostu, jednak w rzeczywistości żaden chyba nie wygląda jak gwiazda popularnego serialu. Niektórzy robią w ubezpieczeniach, inni kręcą się w okolicy tanich hoteli z przygotowanym aparatem, licząc, że zdobędą dowody do spraw rozwodowych, a naprawdę cholernie nieliczni mają do czynienia z morderstwami. Jeszcze inni zaś próbują upolować rzeczy, które nie istnieją albo nie powinny istnieć.

A ja? Ja znajduję rzeczy. Niektórych wołałbym nie znajdować, lecz nie mam w tym względzie wiele do powiedzenia. Albo się dar ma, albo nie. Ja mam.

Kiedy rozpoczęła się ta historia, łuszczący się napis na moich drzwiach głosił: „Taylor - dochodzenia”.

Taylor to ja. Wysoki, ciemnowłosy i nieszczerólnie przystojny. Z dumą noszę blizny po starych sprawach i nigdy jeszcze nie zawiodłem klienta. O ile wcześniej dostałem stosowną zaliczkę.

Moje biuro było niewielkie i przytulne, przynajmniej dla tych bardziej wyrozumiałych, dla pozostałych - zwyczajnie ciasne. Spędzałem tam większość czasu. Jakoś nie umiałem docenić zalet posiadania życia prywatnego. Czynniki nie wart był wzmianki, okolica też nie. Jeśli nawet komuś udało się założyć tu jakiś sensowny biznes, to i tak wynosił się jak najszybciej, ustępując miejsca tym, którzy działali w szarych rejonach prawa i bezprawia. Nawet szczury jedynie tędy przechodziły, w drodze do bardziej cywilizowanych terenów.

Moimi sąsiadami byli dentysta i księgowy, obaj krętacze i obaj zarabiali tyle, ile ja nigdy nie zarabiałem i raczej nie będę.

Tego wieczoru, gdy poznałem Joannę Barrett, lało jak z cebra. Lodowate krople, siekące bezlitośnie, przejmujące zimmem aż do szpiku kości - to był ten rodzaj deszczu, który sprawiał, że człowiek czuł się szczęśliwy tylko dlatego, że siedział pod dachem, suchy i bezpieczny.

Powinienem był potraktować paskudną aurę jako omen, ale jakoś nigdy nie byłem dobry w odczytywaniu aluzji.

Było późno, popołudnie stało się już wieczorem. Budynek opustoszał, wszyscy dawno udali się do domów. A ja wciąż siedziałem za biurkiem, zerkając na ekran przenośnego telewizora. Odbiornik ledwie szemrał, bo zasadniczo słuchałem męskiego głosu, który za

pośrednictwem słuchawki telefonu wrzeszczał mi prosto do ucha. Facet żądał ode mnie forsy. Głupiec. W odpowiednich momentach pomrukiwałem współczująco tonem całkowitego zrozumienia, licząc na to, że gość w końcu się zmęczy i da spokój.

Nagle usłyszałem kroki, wyraźnie zmierzające w stronę moich drzwi.

Miarowe, niespieszne i... niewątpliwie kobiece. Ciekawe.

Kobiety to najlepsze klientki. Powtarzają, że chcą jedynie informacji, lecz w rzeczywistości zawsze pragną zemsty. I nie żałują pieniędzy, jeśli tylko mogą dostać to, na czym im zależy. To, czego potrzebują. „Piekło nie zna furii”. Właściwie powinienem był to wiedzieć.

Kroki zatrzymały się pod drzwiami i wysoki cień studiował przez chwilę dziurę po kuli w matowym szkłe. Już dawno należało zlecić fachowcom wymianę szyby, ale straciłbym taki świetny temat do rozmowy. Klienci lubią czuć ten powiew romantyzmu i niebezpieczeństwa, gdy wynajmują detektywa, nawet jeśli chcą tylko dostarczyć jakieś dokumenty.

Drzwi się otworzyły. Weszła. Wysoka, atrakcyjna, jasnowłosa. Na kilometr dało się wyczuć forszę i klasę. Na nieciekawym tle odrapanych mebli i popękanych ścian mojego biura natychmiast zaczęła wyglądać nie na miejscu.

Jej ubranie odznaczało się tą wyważoną elegancją i stylem, które wręcz krzyczały, że w grę wchodzi prawdziwe pieniądze. A gdy wymówiła moje nazwisko, głos miał to arystokratyczne brzmienie zdolne zarysować szkło. Albo skończyła wszystkie możliwe szkoły dla panienek z dobrego domu, albo wydała fortunę na nauczycieli dykcji. Była może trochę zbyt szczupła, a jej twarz, o wyrazistych kościach policzkowych zdobiło niewiele makijażu, przez co uznałem ją nie tyle za ładną, co atrakcyjną. Z jej postawy, zachowania wynikało wyraźnie, że ma obsesję na punkcie kontroli, a wyraz perfekcyjnie pomalowanych ust nie pozostawiał wątpliwości, że ta kobieta przywykła do wydawania poleceń. Zauważam takie rzeczy. To moja praca.

Przywitałem ją jak najbardziej obojętnym skinieniem głowy, zapraszając gestem, by zajęła jedyne wolne krzesło w pomieszczeniu, po

drugiej stronie biurka. Siadła. Nie wyjęła chusteczki, by najpierw wytrzeć siedzenie. W duchu przyznałem jej dodatkowe punkty za męstwo. Obserwowałem, jak rozglądała się po biurze, tymczasem głos w słuchawce osiągnął już tony historyczne, a żądania zmieniły się w groźby. Bardzo konkretne groźby.

Jej twarz pozostawała starannie opanowana, wręcz bez wyrazu, ale gdy podążyłem wzrokiem za jej spojrzeniem, nie miałem najmniejszych trudności, by zobaczyć moje biuro takim, jakim ona je widziała.

Poobijane biurko, na blacie niewielka ilość papierów, szafa - z czwartej ręki - na dokumenty i rozklekotana sofa pod ścianą. Na sofie zmiętoszony koc i poduszka, świadczące o tym, że ktoś często tutaj sypia. Okno, usytuowane za moimi plecami, miało kraty, a szyby dzwoniły przy każdym podmuchu wiatru. Powycierany dywan dekorowały liczne dziury, przenośny telewizor na biurku był czarno-biały, jedyną kolorową ozdobę doskonale monotonnych ścian stanowił kalendarz z dziewczynkami. Nieaktualny. Pudełka po pizzy piętrzyły się w kącie, ułożone w niezgrabny stos. Nie trzeba było geniusza, by dodać dwa do dwóch i zorientować się, że lokal spełniał funkcję nie tylko biurową. Ktoś tu mieszkał. Kolejny oczywisty wniosek też nasuwał się sam: ten ktoś z pewnością nie był człowiekiem sukcesu.

Zdecydowałem się żyć w normalnym świecie z powodów, które wtedy uznawałem za istotne, ale to nie znaczy, że kiedykolwiek opływałem w luksusy.

Nagle doszedłem do wniosku, że mam dosyć głosu w słuchawce.

- Słuchaj - powiedziałem tym łagodnym, spokojnym tonem, który odpowiednio użyty może doprowadzić do szału. - Gdybym miał pieniądze, zapłaciłbym, ale nie mam. Więc po prostu weź numerki i ustaw się w kolejce. Możesz oczywiście próbować mnie pozwać i w tym przypadku polecam ci usługi mego sąsiada, jest prawnikiem. Potrzebuje jakiejś roboty, więc nie parsknie ci śmiechem w twarz, gdy już mu powiesz, z kogo chcesz wycisnąć forszę. Jednak gdybyś zechciał wykazać się jeszcze odrobiną cierpliwości, być może właśnie wszedł do mojego biura niezły pieniądź. Cała góra pieniędzy... I wiesz co? Takie napady hysterii muszą fatalnie wpływać na ciśnienie. Zalecam głębokie oddechy i wyjazd nad morze. Zawsze uważałem, że morze ma kojący wpływ na

nerwy. Odezwe się do ciebie. Kiedyś.

Stanowczym ruchem odłożyłem słuchawkę i uśmiechnąłem się uprzejmie do mego gościa. Nie odwzajemniła uśmiechu. No tak, na pierwszy rzut oka było widać, że znajdziemy wspólny język. Spojrzała wymownie na mruczący telewizorek, więc go wyłączyłem.

- Moje towarzystwo - wyjaśniłem spokojnie. - Prawie jak pies, a ma jeszcze tę zaletę, że nie trzeba wyprowadzać go na spacer.

- Bywa pan kiedykolwiek w domu? - jej ton nie pozostawiał wątpliwości, nie kierowała nią troska o mnie, chciała po prostu wiedzieć.

- Jestem aktualnie między sprzedażą a kupnem domu. Duża, pusta, kosztowna rzecz. A tu mi całkiem dobrze. Wszystko w zasięgu ręki i nikt nie przeszkadza, gdy dzień się skończy. Zazwyczaj nie przeszkadza.

Wiem, że jest późno. Ale nie chciałam, żeby mnie tutaj widziano.

- To akurat rozumiem.

Pociągnęła lekko nosem.

- Ma pan dziurę w drzwiach biura, panie Taylor.

Skinąłem potakująco głową.

- Mole.

Kąciki jej czerwonych ust opadły lekko i przez moment byłem pewien, że wstanie i wyjdzie.

Robiłem wrażenie na ludziach. Jednak wzięła się w garść i rzuciła mi spojrzenie, które miało być chyba niemą groźbą.

- Jestem Joanna Barrett.

Tym razem skinąłem głową niezobowiązująco.

- Z pani tonu wnioskuję, że powinienem kojarzyć nazwisko.

- Chyba każdy by skojarzył - odpowiedziała zaledwie odrobinę kwaśno. - Ale z drugiej strony, nie spodziewam się, by przeglądał pan notowania giełdowe.

- Nie, chyba że ktoś mi za to zapłaci. Czy mam przez to rozumieć, że jest pani bogata?

- Niebywale.

Uśmiechnąłem się szeroko.

- Klient najlepszy z możliwych. Co mogę dla pani zrobić?

Poprawiła się nieznacznie na krześle, przyciskając do , piersi zbyt

dużą skórzaną torebkę, zupełnie jakby miała zamiar się za nią schronić. Nie chciała tu być, nie chciała rozmawiać z kimś takim jak ja. Niewątpliwie miała ludzi od takich nieprzyjemnych zadań. Ale coś ją gryzło. Coś osobistego. Coś, czego nie mogła powierzyć komuś innemu. Potrzebowała mnie.

Do diabła, już liczyłem pieniądze.

- Potrzebuję prywatnego detektywa - powiedziała szorstko. - I... polecono mi pana.

Przytaknąłem ze zrozumieniem.

- Czyli próbowała już pani na policji i we wszystkich dużych agencjach detektywistycznych i nikt nie zdołał pani pomóc. A to z kolei oznacza, że pani problem nie jest ani prosty, ani typowy.

Skinęła sztywno głową.

- Zawiedli mnie. Wszyscy. Wzięli pieniądze, a w zamian dostałam jedynie wymówki. Dranie. Więc pociągnęłam za wszelkie możliwe sznurki, zażądałam zwrotu wszelkich możliwych przysług, które ktokolwiek był mi winien i w końcu ktoś wspomniał o panu. Jak rozumiem, znajduje pan ludzi.

- Mogę odnaleźć każdego albo dowolną rzecz, o ile w grę wchodzi odpowiednie wynagrodzenie. To dar. Jestem zawzięty i zdeterminowany i mam kupę innych cech charakteru na „z”, i nie poddam się tak długo, jak dostają czeka. Ale nie zajmuję się rozwodami. Ani nie rozwiązuję zagadek kryminalnych. Do diabła, nie rozpoznałbym dowodu rzeczowego, nawet gdybym się o niego potknął. Ja tylko znajduję rzeczy. Niezależnie od tego, czy chcą być znalezione, czy nie.

Joanna Barrett rzuciła mi lodowate spojrzenie, pełne dezaprobaty. Była w tym dobra.

- Nie lubię takich wykładów.

Uśmiechnąłem się lekko.

- Wszystko w ramach usługi.

- I nie obchodzi mnie pańska opinia.

- Niewielu obchodzi.

Po raz kolejny rozważała opcję natychmiastowego opuszczenia biura. Poważnie rozważała.

Obserwowałem, jak zмага się ze sobą, ja zaś byłem spokojny,

wręcz odprężony. Nie przyszłaby tu, gdyby nie była naprawdę zdesperowana.

- Moja córka... zaginęła - powiedziała w końcu z oporami. - Chcę, żeby ją pan dla mnie odnalazł.

Ze swojej dużej torby wydobyla lśniące zdjęcie osiem na dziesięć i przesunęła je po blacie szybkim, pełnym złości ruchem. Popatrzyłem na portret, nie dotykając go.

Z fotografii gapila się na mnie ponuro naburmuszona nastolatka, mrużąc oczy pod strzechą blond włosów. Może i byłaby ładna, gdyby nie marszczyła się tak paskudnie. Robiła wrażenie kogoś, kto ma na pieńku z całym tym cholernym światem, i patrząc na jej minę, tylko skończony frajer postawiłby kasę na świat. Innymi słowy: wykapana mamusia.

- Ma na imię Catherine, panie Taylor - głos Joanny Barrett ścichł nagle, złagodniał. - Aczkolwiek reaguje jedynie na Cathy, jeśli w ogóle reaguje. Ma piętnaście lat. Prawie szesnaście. I chcę, żeby się znalazła.

Skinąłem głową.

- Jak długo jej nie ma?

- Ponad miesiąc. - Urwała, a następnie dodała niechętnie: - Tym razem.

Znów skinąłem głową. To zawsze robi wrażenie, że słucham w skupieniu.

- Czy wydarzyło się coś, co mogło wyprowadzić z równowagi, zdenerwować pani córkę?

- Posprzeczałyśmy się. Nic nowego. Bóg mi świadkiem, nie padło ani jedno słowo, które nie zostałoby powiedziane już wcześniej. Nie wiem, dlaczego ona ucieka. Zawsze dostawała wszystko, co tylko chciała. Zawsze. - Ponownie sięgnęła do torebki, tym razem po papierosy i zapalniczkę. Papierosy były francuskie. Zapalniczka złota i z monogramem. W myślach natychmiast podniosłem odpowiednio cenę swoich usług.

Zapaliła papierosa pewną ręką, po czym zaczęła wydmuchiwać małe, nerwowe kłęбки dymu. Ludzie nie powinni palić w takich sytuacjach. To ich zdradza.

Pchnąłem w jej kierunku popielniczkę, tę w kształcie płuca, i wróciłem do oglądania zdjęcia. Jakoś nie czułem niepokoju na myśl o

losie Cathy Barrett. Wyglądała na kogoś, kto potrafi zadbać o siebie i dać sobie radę z każdym na tyle głupim, by spróbował jej w tym przeszkodzić.

Zadecydowałem, że czas zadać kilka oczywistych pytań.

- Co z ojcem Catherine? Jakie stosunki łączą córkę z ojcem?

- Nie łączą żadne. Odszedł od nas, gdy miała dwa lata. To jedyna przyzwoita rzecz, jaką ten samolubny drań dla nas zrobił. Jego prawnicy oczywiście wywalczyli mu prawo do odwiedzin, ale rzadko z niego korzysta. Wciąż muszę go ścigać o alimenty. Nie żebyśmy ich potrzebowały, ale zasada to zasada. I zanim pan zapyta: nie, nigdy nie było żadnego problemu z narkotykami, alkoholem czy też nieodpowiednim towarzystwem. Zadbałam o to osobiście. Zawsze ją chroniałam i nigdy, przenigdy, nie podniosłam na nią ręki. Ona jest po prostu małą, wstrętną, niewdzięczną jędzą.

Przez moment oczy jej zabłysły jakby łzami, ale tylko przez moment. Odchyliłem się na oparcie krzesła, jak gdybym rozważał to, co właśnie usłyszałem. W rzeczywistości nie było czego rozważać, sprawa okazała się banalna. Zasadniczo szukanie uciekiniera nie było nawet sprawą, ale akurat tak się składało, że nie miałem ani prawdziwych spraw, ani forsy, za to miałem rachunki, które należałoby popłacić. Pilnie. To nie był dobry rok. Już od jakiegoś czasu nie był.

Pochyliłem się, opierając łokcie na blacie biurka i przywołując na twarz moją najlepszą poważną minę. Tę pełną głębokiego zaangażowania.

- Więc, pani Barrett, mamy tu do czynienia z biedną bogatą dziewczynką, która jest przekonana, że ma wszystko prócz miłości. Prawdopodobnie zebrze o drobne gdzieś na stacji metra, je resztki i kawałki czerstwego chleba, sypia na parkowych ławkach, włóczy się z podejrzanym elementem, wmawiając sobie, że to jedna wielka przygoda. Żyje surowym życiem razem z prawdziwymi ludźmi. Zbrojna w świadomość, że oto po raz kolejny udało jej się zyskać pełną uwagę matki. Nie martwiłbym się o nią za bardzo, pani Barrett. Wróci do domu, gdy tylko noce staną się chłodniejsze.

Joanna Barrett już potrząsała kosztowną fryzurą, kręcąc głową.

- Nie tym razem. Od tygodni szukają jej profesjonaliści i nikt, nikt

nie był w stanie trafić na najmniejszy ślad. Nikt z jej wcześniejszych... znajomych jej nie widział. Nikt nie potrafił mi o niej niczego powiedzieć, mimo że obiecywałam nagrodę bardziej niż sowitą. Zupełnie jakby się zapadła pod ziemię. Wcześniej zawsze udawało mi się ją znaleźć. Moi ludzie mają kontakty dosłownie wszędzie. Ale tym razem wszystkie wysiłki spełzły praktycznie na niczym, praktycznie, bo jedyne, co osiągnęłam, to nazwa miejsca. Nazwę zdradziła mi ta sama osoba, która wspomniała i pańskie nazwisko. Powiedziała mi, że znajdzie moją córkę w... Nightside.

Poczułem, jak lodowata łapa ściska mi serce. Wyprostowałem się. Powinienem był wiedzieć. Powinienem był wiedzieć, że przeszłość dopadnie każdego, bez względu na to, jak szybko i jak daleko się ucieka. Spojrzałem jej w oczy.

- Co pani wie o Nightside?

Nie wzdrygnęła się, choć odniosłem wrażenie, że miała zamiar. Jeśli chcę, potrafię sprawić, by mój głos brzmiał naprawdę groźnie. Ten chwilowy brak kontroli zamaskowała, rozgniatając w popielniczce na wpół wypalony papierosa. Poświęciła tej czynności całą uwagę, byle tylko nie patrzeć na mnie.

- Nic - odpowiedziała w końcu. - Absolutnie nic. Nigdy przedtem nie słyszałam tej nazwy, ci nieliczni z moich ludzi, którzy w ogóle wiedzieli, o co chodzi, nie chcieli na ten temat rozmawiać. Gdy naciskałam, zwalniali się. Po prostu odchodzili. Woleli zrezygnować z najlepszej posady w życiu, niż rozmawiać o Nightside. Sam fakt, że w ogóle chciałam rozmawiać na ten temat, sprawiał, że patrzyli na mnie, jak... jakbym była... chora.

- Nie dziwi mnie to - mówiłem już spokojnie, ale wciąż poważnie. Spojrzała na mnie. Staranie dobierałem słowa. - Nightside jest tajemnym, ukrytym, mrocznym sercem miasta. Przepojonym złem odbiciem Londynu. To tam dzieją się rzeczy najgorsze. Jeżeli pani córka odnalazła drogę do tego miejsca, znajduje się w poważnych kłopotach.

- Dlatego przyszłam do pana - stwierdziła Joanna. - Jak rozumiem, działa pan na terenie Nightside.

- Nie. Już od dłuższego czasu nie. Uciekłem stamtąd i przysięgłem nigdy nie wracać. To złe miejsce.

Uśmiechnęła się, znów znalazła się na znanym sobie gruncie.

- Potrafię być naprawdę hojna, panie Taylor. Ile pan chce?

Za ile mam wrócić do Nightside? Jaką cenę ma dusza? Zdrowe zmysły? Szacunek dla samego siebie? Ale od jakiegoś czasu z robotą było krucho, i potrzebowałem pieniędzy. W tej części Londynu mieszkało mnóstwo złych ludzi, a ja byłem im winien o wiele więcej forsy, niż wynosiła wartość najlepszej polisy na życie.

Zastanowiłem się. Znalezienie nastolatki na gigancie nie powinno być znowu takie trudne. Szybka robota. Prawdopodobnie wpadnę tam i zniknę, zanim ktokolwiek zorientuje się, że w ogóle się pojawiłem. O ile będę miał szczęście. Popatrzyłem na Joannę i podwoiłem kwotę, której miałem zamiar zażądać.

- Tysiąc dziennie plus wydatki.

- To dużo pieniędzy - powiedziała bez zastanowienia.

- A ile warta jest pani córka?

Skinęła energicznie głową, przyznając mi rację. Tak naprawdę nie obchodziło jej, ile sobie zażyczę. Dla niej i tak zawsze byłyby to psie pieniądze, ktoś taki jak ja nie miał szans zbliżyć się nawet do poziomu, na którym operowała.

- Proszę odszukać moją córkę, panie Taylor, bez względu na koszty.

- Nie ma sprawy.

- I przyprowadzić ją do mnie.

- Jeżeli będzie chciała. Nie zamierzam ciągnąć jej do domu wbrew woli. Nie robię w porwaniach.

Teraz nadeszła jej kolej, by się skrzywić. Jej kolej, by zrobić groźną minę. Spojrzenie miała twarde i nieruchome, a jej słowa były niczym odłamki lodu.

- Skoro dostaje pan ode mnie pieniądze, będzie pan robił to, co powiem. Znajdzie pan tę małą rozpieszczoną krowę, wyciągnie ją z bagna, w jakie tym razem wpadła, i przyprowadzi ją do mnie do domu. Wtedy i tylko wtedy otrzyma pan zapłatę. Czy to jasne?

Siedziałem sobie i uśmiechałem się do niej tak, by nie miała wątpliwości, że nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia. W swoim czasie widziałem już straszniejsze rzeczy.

A w porównaniu z tym, co czekało na mnie w Nightside, jej złość i

groźby były niczym. Poza tym byłem jej ostatnią deską ratunku i oboje o tym wiedzieliśmy. Do mnie nikt nie przychodził od razu, nie byłem nigdy pierwszym wyborem. I to nie z uwagi na ceny moich usług. Miałem określoną reputację, a zdobyłem ją, stosując się wyłącznie do własnych zasad, a jedną z nich było dochodzenie prawdy bez względu na koszty i na to, kogo owa prawda mogła zranić. Nawet jeśli raniła moich klientów. Każdy powtarza, że chce poznać prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Ale mało kto mówi to szczerze. Nie w sytuacjach, gdy niewinne kłamstewka stają się wyjątkowo wygodne. Nie wtedy, gdy kłamstwo oznacza ulgę i pocieszenie. Z tym że ja nie zajmuję się kłamstwami. Dlatego też nigdy nie zrobiłem takiej kasy, która dałaby mi przepustkę do kręgów pani Barrett. Ludzie przychodzą do mnie tylko wtedy, gdy spróbowali wszystkiego, łącznie z modlitwą i wizytą u wróżki.

Joanna Barrett nie miała już nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić o pomoc.

Nieustępliwym spojrzeniem próbowała zmusić mnie do spuszczenia wzroku. Nie udało jej się, co, paradoksalnie, chyba ją ucieszyło. Przez chwilę przeszukiwała otchłań swojej torby, po czym wydobyla z niej wypełniony czek i rzuciła go na biurko.

Najwyraźniej nadszedł czas na plan B.

- Pięćdziesiąt tysięcy funtów, panie Taylor. Otrzyma pan jeszcze jeden czek, na identyczną sumę, gdy sprawa zostanie zakończona.

Zachowałem niewzruszoną minę, lecz wewnątrz śmiałem się szeroko.

Za sto kawalków zgodziłbym się odszukać załogę „Marii Celeste”. Za taką kwotę prawie się opłacało nawet wrócić do Nightside. Prawie.

- Ale jest jeden warunek.

Uśmiechnąłem się.

- Przypuszczałem, że jakiś będzie.

- Idę z panem.

Wyprostowałem się.

- Nie. Absolutnie. Nie ma mowy, do diabła!

- Panie Taylor...

- Pani nie wie, o co prosi... nie ma jej już ponad miesiąc! Nigdy

dotąd nie znikąca na tak długo. W tym czasie... w tym czasie mogło wydarzyć się wszystko. Muszę tam być, gdy pan ją znajdzie.

Potrząsnąłem głową, lecz wiedziałem już, że się zgodzę. Gdy w grę wchodziła rodzina, stawałem się miękki jak masło. Tak to bywa z tymi, którzy nigdy nie mieli własnej.

Joanna jeszcze nie płakała, ale oczy miała lśniące i szkliste i po raz pierwszy głos jej drżał.

- Proszę.

Widziałem, że nie przyszło jej łatwo wymówić to słowo, ale przełamała się. Nie dla siebie prosiła, a dla córki.

- Muszę iść z panem. Muszę wiedzieć. Nie mogę już dłużej siedzieć w domu i czekać na telefon. Pan zna Nightside. Proszę mnie tam zabrać.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie i każde widziało w tym drugim coś więcej niż maskę pozorów, jaką się zakłada dla obcych. W końcu, jak oboje się spodziewaliśmy, kiwnąłem głową na znak zgody. Jednak, dla dobra klientki, po raz ostatni spróbowałem ją przekonać.

- Opowiem pani o Nightside, Joanno. O Londynie mówi się Smoke - Dym, a każdy przecież wie, że nie ma dymu bez ognia. Nightside to mila kwadratowa ciasnych uliczek i bocznych alejek w samym centrum miasta, łączących slumsy i czynszówki, które były stare już w chwili, gdy zeszyły wiek wciąż był młody. Przynajmniej jeśli wierzyć oficjalnym mapom. W rzeczywistości Nightside jest o wiele większe. Zupełnie jakby przestrzeni przybywało, by pomieścić całe zło, ciemność i wszystko to, co nienaturalne i co zdecydowało się uczynić Nightside swoim domem. Niektórzy mówią, że tak naprawdę Nightside jest większe niż miasto, które je otacza. I kiedy się zastanowić, bardzo źle to świadczy o ludzkiej naturze i jej apetytach. Nie wspominając o naturze nieludzkiej. Nightside to prawdziwie kosmopolityczne miejsce. Od zawsze. I zawsze panuje tam noc. Zawsze jest trzecia nad ranem, a świt nigdy nie nadchodzi. Ludzie przychodzą i odchodzą, gnani przez potrzeby, o których nikt nie ośmiela się mówić głośno, W poszukiwaniu przyjemności i usług, które w normalnym świecie są niewybaczalnym grzechem. W Nightside można kupić i sprzedać wszystko i nikt nie będzie o nic pytał. Nikogo to nie obchodzi. Są tam kluby, w których

można zobaczyć upadłego anioła, trawionego wiecznym ogniem w pentagramie narysowanym krwią niemowlęcia. Albo odciętą głowę kozła, która przepowiada przyszłość, recytując enigmatyczne wersy idealnym jambicznym pentametrem. Można znaleźć tam miejsce, w którym cisza została uwięziona, a kolory zapomniane, i inne, gdzie za odpowiednią cenę martwa zakonnica pokaże swoje stygmaty. Jak się okazało, nie wstała z martwych, ale na życzenie pozwoli klientowi wepchnąć palce w zalepione krwią rany. Wszystko, czego się pani kiedykolwiek bała lub czego pani pragnęła, hasa gdzieś luzem po nieustannie zmieniających się uliczkach Nightside. Albo czeka cierpliwie w zamkniętych pokojach ekskluzywnych klubów. To chore, przepojone magią i wyjątkowo niebezpieczne miejsce. Naprawdę chce pani tam pójść?

- Znowu robi mi pan wykład.

- Proszę odpowiedzieć.

- Jak to możliwe, żeby takie miejsce istniało tutaj, w sercu Londynu, i żeby nikt o tym nie wiedział?

- Istnieje, ponieważ istniało zawsze, a pozostaje tajemnicą, albowiem są siły, prawdziwe potęgi, które chcą, by tak właśnie było. Może pani tam zginąć. Ja mogę zginąć, choć teoretycznie wiem, jak przetrwać. A przynajmniej kiedyś wiedziałem. Nie byłem tam od lat. Nadal chce pani to zrobić?

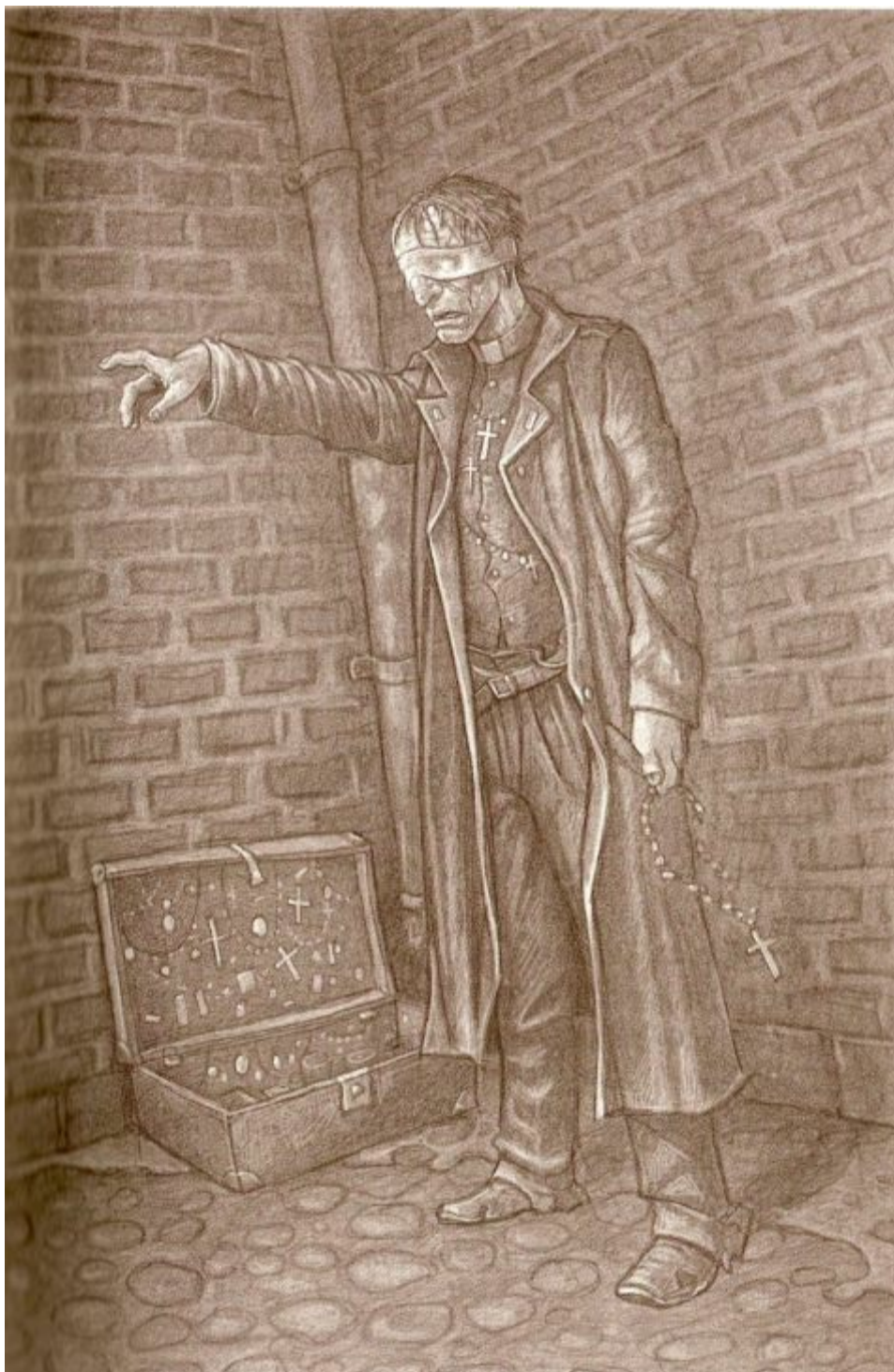
- Pójdę tam, gdzie jest moja córka - odpowiedziała twardo. - Nie zawsze byliśmy... tak bliskie sobie, jak bym chciała, ale pójdę do samego piekła, by ją odzyskać.

Uśmiechnąłem się i nie był to wesoły uśmiech.

- Być może będzie pani musiała, Joanno. Być może będzie pani musiała.

DWA

Droga do celu



Nazywam się John Taylor. W Nightside każdy zna to nazwisko.

Wiodłem sobie zwyczajne życie w zwyczajnym świecie i już od dawna nikt nie próbował mnie zabić tylko po to, by zgarnąć nagrodę. Lubiłem tę anonimowość. Pozwalała nie czuć presji. Presji, że każdy, kogo mijasz na ulicy, wie, kim jesteś, presji oczekiwania i własnego przeznaczenia. I nie, nie jestem w nastroju, by to teraz wyjaśniać.

Kilka miesięcy temu stuknęła mi trzydziestka, ale jakoś się tym nie przejąłem. Kiedy los doświadcza cię tak bardzo, jak mnie swego czasu, uczysz się olewać drobiazgi. Ale bywa, że te drobiazgi, małe codzienne problemy, nawarstwiają się, tworząc niemałą górę. Z tego powodu właśnie wyruszyłem w drogę. Z powrotem. Wracalem do Nightside, choć wiedziałem, że to wyjątkowo głupi pomysł. Uciekłem stamtąd pięć lat temu przed niechybną śmiercią i zdradą przyjaciół, pokrwawionymi wargami klnąc się, że nigdy, przenigdy, tam nie wrócę. Choćby nie wiem co. Powinienem był pamiętać, że Bóg uwielbia zmuszać ludzi do łamania takich obietnic.

Bóg albo Ktoś.

Wracalem więc do miejsca, gdzie każdy mnie znał albo przynajmniej uważał, że mnie zna.

Mogłem tam być pretendentem, gdyby zależało mi wystarczająco mocno. Albo gdyby mniej zależało mi na maluczkich, których musiałbym zdeptać, wspinając się na szczyt. Prawdę mówiąc, czego zasadniczo staram się nie robić publicznie, nigdy nie byłem na tyle ambitny. Ani na tyle towarzyski. Żyłem więc po swojemu, pilnując własnego tyłka i stosując się do własnej definicji honoru, a to, że wszystko się tak popieprzyło, nie było jedynie moją winą. Uważałem się za kogoś w rodzaju błędnego rycerza... ale dama w opresji wbiła mi sztylet w plecy, mój miecz połamał się na smoczej łusce, a Graal okazał się opróżnioną butelką po whiskey. Wracalem. Do starych znajomych, starych lęków i ran. I mogłem jedynie mieć nadzieję, że to mi się opłaci.

Nie było co liczyć, że przemknę niezauważony. John Taylor - to nazwisko coś znaczy w Nightside. I nie zmieni tego pięć lat na wygnaniu. Nie żeby ktoś znał mnie tak naprawdę. Co to to nie. Gdyby ktoś zapytał o mnie w dwunastu różnych miejscach, dostałby tuzin różnych odpowiedzi. Nazywano mnie czarownikiem, magiem,

hochsztaplerem, naciągaczem, oszustem, uczciwym łajdakiem. Nic z tego nie jest bliskie prawdy. Nie dopuściłbym nikogo na tyle blisko, by mógł tę prawdę poznać.

I tak dla jednych byłem bohaterem, dla innych najczarniejszym z charakterów, dla większości - czymś pomiędzy. Mam kilka umiejętności poza talentem do znajdowania i niektóre z nich są całkiem imponujące. Gdy zadaję pytanie, ludzie zazwyczaj odpowiadają. Kiedyś byłem niebezpiecznym facetem, nawet jak na standardy Nightside. Ale to było pięć lat temu. Zanim los mnie połamiał. Kołem miłości.

Nie potrafiłem ocenić, czy coś z tego dawnego, niebezpiecznego gościa zostało jeszcze we mnie. Ale zakładałem, że tak. To zupełnie tak samo, jakby zwalić kogoś z roweru, używając bejsbola - skończy z połamanymi gnatami, ale nadal będzie umiał jeździć.

Nigdy nie nosiłem broni. Nigdy nie czułem takiej potrzeby.

Mój ojciec zapił się na śmierć. Nie zdołał się podnieść po tym, jak dowiedział się, że jego żona nie jest człowiekiem. Nie miałem okazji jej poznać. Zajmowali się mną sąsiedzi z tej samej ulicy, po kolei. Mniej lub bardziej niechętnie. W rezultacie nigdzie nie czułem się jak w domu. Wciąż dręczy mnie wiele pytań dotyczących mnie samego i wciąż szukam na nie odpowiedzi. Być może właśnie dlatego zostałem prywatnym detektywem. Skoro nie mogę rozwiązać własnych problemów, szukam ulgi w rozwiązywaniu cudzych.

W pracy noszę długi, biały prochowiec. Częściowo dlatego, że każdy tego się właśnie spodziewa po prywatnym detektywie, częściowo dlatego, że płaszcz jest praktyczny, a głównie dlatego, że pomaga mi stworzyć image, za którym bez trudu mogę ukryć prawdziwego siebie. Lubię sprawiać mylne wrażenie. Nigdy już nie pozwolę na to, by ktokolwiek zbliżył się do mnie. To w trosce o dobro obu stron, nie tylko moje własne.

Sypiam sam, jem wszystko, co niezdrowe, i sam piorę swoje rzeczy. Kiedy sobie przypomnę. Pielęgnuję swoją samowystarczalność. Absolutną niezależność. Nie mam szczęścia do kobiet, choć przyznaję bez bicia, że to moja i tylko moja wina. Mimo wszystko wciąż jestem romantykiem, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Tymi złymi też. Najbliższa mi kobieta jest łowcą nagród i pracuje wyłącznie w

Nightside. To moja przyjaciółka. Raz próbowała mnie zabić. Nie mam żalu. To był tylko biznes.

Piję za dużo, ale zasadniczo mam to gdzieś. Wysoko cenię ogłuszające właściwości alkoholu. Jest mnóstwo rzeczy, o których chętnie zapominam.

A teraz, dzięki Joannie Barrett i jej pomyłonej córce, zmierzam prosto do piekła. Do miejsca, gdzie ludzie próbowali mnie zgładzić, od kiedy tylko pamiętam, z powodów, których nigdy nie mogłem zrozumieć. Do jedyne go miejsca na ziemi, gdzie czułem, że naprawdę żyję.

W Nightside jestem kimś więcej niż tylko kolejnym prywatnym detektywem. Między innymi dlatego stamtąd odszedłem. Przestało mi się podobać to, kim się stawałem.

Ale gdy schodziłem do metra, holując za sobą Joannę Barrett... do diabła, czułem się, jakbym wracał do domu!

Nie miało znaczenia, którą stację czy linię wybiorę, wszystkie i tak prowadziły do Nightside. Cały dowcip w przypadku metra polega na tym, że każda stacja wygląda tak samo. Te same ściany wyłożone identycznymi kafelkami, te same paskudne maszyny, zbyt jasne światła, zbyt wielkie plakaty filmowe albo reklamowe. Zakurzone automaty z kawą czy słodyczami, z których tylko turyści próbują coś wydobyć. Bezdumni, zagrzebani w gniazdach z lepkich od brudu koców, żebrzący o drobne albo tylko rozkoszujący się chwilą wytchnienia od kaprysów pogody. No i oczywiście niecichący tupot nóg. Zakupowiczów, dojeżdżających do pracy, turystów, biznesmenów, dziennikarzy, nieustannie spieszących się, by być gdzie indziej. W Tokio w metrze zatrudnia się ludzi, którzy na siłę upychają w wagonach podróży, tak by drzwi pociągów mogły się zamknąć. Londyn nie osiągnął jeszcze tej granicy nasycenia, ale nieuchronnie się do niej zbliża.

Kiedy szliśmy tunelami, Joanna trzymała się blisko mnie. Widać było od razu, że nie bardzo zachwyca ją tłum i otoczenie, w jakim się znalazła. Bez wątplenia była przyzwyczajona do innego sposobu przemieszczania się, na przykład długimi limuzynami z szoferem w uniformie i zawsze pełną butelką zimnego szampana w podręcznym barku. Starłem się ukryć uśmiech. Okazało się, że nie ma przy sobie

drobnych, więc to ja musiałem zapłacić za bilety dla nas obojga. Musiałem też pokazać jej, jak przejść przez bramkę zamykającą drogę na perony.

Ruchome schody, o dziwo, wszystkie były czynne. Zjechaliśmy w głąb systemu tuneli. Wybierałem drogę na chybił trafił, licząc, że poprowadzi mnie instynkt, i nie zawiodłem się. W końcu zauważyłem znak, którego szukałem. Żeby rozpoznać język, w jakim został napisany, nie mówiąc już o jego zrozumieniu, trzeba było specjalnej wiedzy. Enokiański, jeśli chcecie wiedzieć. Sztuczny język, stworzony przed wielu laty, by śmiertelnicy mogli porozumiewać się z aniołami, choć spotkałem tylko jedną osobę, która знаła poprawną wymowę. Złapałem Joannę za ramię i pociągnąłem w boczny tunel, pod znakiem. Szarpnęła się ze złością, uwalniając z mojego uścisku, ale pozwoliła, bym poprowadził ją w stronę drzwi opatrzonej tabliczką: „Obsługa Techniczna”. Jej protesty ucichły w chwili, gdy znaleźliśmy się w składziku, w połowie wypełnionym strachami na wróble w uniformach Kolei Brytyjskich. Lepiej nie pytajcie.

Zamknąłem za sobą drzwi, oddzielając nas oboje od ryku tłumu. Błogosławiona cisza. Na ścianie wisiał aparat telefoniczny. Podniosłem słuchawkę. Telefon był głuchy, ale nie czekałem na sygnał. Powiedziałem jedno jedyne słowo:

- Nightside.

Odłożyłem słuchawkę i popatrzyłem z oczekiwaniem na mur. Joanna spojrzała na mnie, zaskoczona. I wtedy beznadziejnie zwyczajna, szara powierzchnia ściany pękła od sufitu po podłogę. Obie części ze zgrzytem rozsunęły się na boki, ukazując długi, wąski tunel, o ścianach czerwonych niczym otwarta rana. Owionął nas zapach zwietrzałych perfum i gnijących kwiatów. Światło w tunelu było stłumione i mgliste. Z głębi dobiegał pomruk wielu głosów, to wznosił się, to opadał, a urywki melodii to rozbrzmiewały, to cichły, jakby sygnały wielu stacji radiowych nakładały się na siebie. Słysząc było odległe bicie klasztornego dzwonu, zagubiony, samotny, smutny dźwięk.

- Spodziewasz się, że wejdziesz tam? - Joanna wreszcie odzyskała głos.
- To wygląda jak droga do piekła!

- Blisko - odpowiedziałem spokojnie. - To droga do Nightside. Zaufaj mi, ta część podróży jest całkiem bezpieczna.

- Wydaje się niebezpieczna - mruknęła, wpatrując się zafascynowana w wejście, niczym ptak w oczy węża. - Wydaje się... nienaturalna.

- Bo i taka jest. Ale to najlepszy sposób, by dotrzeć do twojej córki. Jeśli nie jesteś w stanie temu sprostać, zawróć. Będzie tylko gorzej.

Podniosła głowę i zacisnęła usta.

- Prowadź.

- Nie ma sprawy.

Wszedłem do tunelu, Joanna posuwała się krok w krok za mną i w ten sposób zostawiliśmy za sobą normalny świat.

Dotarliśmy na stację, która na pierwszy rzut oka nie różniła się niczym od innych. Słyszałem, jak Joanna oddycha z ulgą. Nie odezwałem się. Lepiej, żeby sama zauważyła niektóre rzeczy. Przejście zamknęło się za nami i poprowadziłem klientkę na peron. Minęło pięć lat, od czasu gdy byłem tu po raz ostatni, ale nic się tak naprawdę nie zmieniło. Kremowa glazura na ścianach tu i ówdzie zachlapana była krwią, dostrzegałem też głębokie żłobienia, być może po pazurach, no i oczywiście graffiti. Ktoś znowu napisał „Cthulhu” z błędem.

Na łuku przeciwległej ściany wciąż widniały nazwy tych samych stacji. Zacisze Niepamięci. Nightside. Pole Krwi. Promenada Bogów. Plakaty były dziwne, niepokojące, jak sceny ze snów, które chciałoby się zapomnieć. Znani ludzie reklamowali filmy, miejsca i usługi, o których zazwyczaj mówi się jedynie szeptem. A ci, którzy tłoczyli się na peronie, sami stanowili naprawdę wyjątkowy widok. Świetnie się bawiłem, obserwując reakcje Joanny. Nie miałem wątpliwości, że najchętniej zatrzymałaby się i gapiła na wszystko z otwartymi ustami, ale prędzej by umarła, niż dała mi tę satysfakcję. Więc tylko wodziła wybałuszonymi oczami od jednego nieoczekiwanego widoku do drugiego, potykając się przy tym o własne nogi.

Jak na wszystkich stacjach świata, i tu zjawili się grajkowie. Grali jakieś obco brzmiące melodie, przed każdym leżała czapka, a w niej monety z każdego chyba miejsca na ziemi, część z nich dawno przestała być w obiegu, część nigdy jeszcze nie była. Jeden śpiewał

trzynastowieczną balladę o nieodwzajemnionej miłości czystą łaciną, podczas gdy drugi, kawałek dalej, przebój Dylana od tyłu, akompaniując sobie na gitarze akustycznej. Gitara chyba wymagała strojenia. Wrzuciłem kilka monet do obu czapek. Nigdy nie wiadomo, kiedy przyda się jakiś depozyt w banku karmicznym.

Nieco dalej, na peronie, zgarbiony neandertalczyk dyskutował żywo ze znudzonym krasnoludem w mundurze ss. Szlachcic z dworu Elżbiety I, w kryzie i watowanym kaftanie, gawędził sobie miło z prześlicznym, dwumetrowym chyba transwestytą w stroju dziewczyny z chórką. Trudno było powiedzieć, który z nich dwóch wyglądał bardziej nie z tej ziemi. Kobieta w futurystycznej zbroi jak z filmu science fiction i goły facet, którego całe ciało pokryte było tatużami, jedli coś na patyku, coś, co wciąż jeszcze się ruszało. Joanna całkiem przestała przebierać nogami. Klepnąłem ją w ramię i niemal wyskoczyła ze skóry.

- Postaraj się nie wyglądać na turystkę - rzuciłem sucho.

- Co...? - zachłysnęła się. - Co to za miejsce?! Gdzie mnie przyprowadziłeś? Co to, do cholery, za ludzie?

Wzruszyłem ramionami.

- To najkrótsza droga do Nightside. Są i inne. Niektóre oficjalne, niektóre nie. Każdy może skręcić w niewłaściwą ulicę, otworzyć niewłaściwe drzwi i znaleźć się w Nightside. Większość tych dróg nie funkcjonuje zbyt długo. Londyn i Nightside od tyłu lat ocierają się o siebie, że oddzielające je bariery stały się niebezpiecznie cienkie. Pewnego dnia wszystkie runą w pył, a cała trucizna Nightside rozleje się wokół. Ale ja będę wtedy bezpieczny we własnym grobie, przynajmniej taki mam plan. Niemniej ta droga jest wciąż najbezpieczniejsza.

- A ci ludzie?

- Po prostu ludzie, zajmują się własnymi sprawami. Masz szansę zobaczyć kawałek świata, do którego większość nie ma okazji nawet się zbliżyć. Drugie dno, ukryte ścieżki, którymi kroczą tajemniczy ludzie w tajemniczych sprawach. Jest więcej światów, niż możemy sobie wyobrazić albo niż chcielibyśmy sobie wyobrazić, ich mieszkańcy prędzej czy później trafiają do Nightside. Mityczni i legendarni bohaterowie, podróżnicy i odkrywcy, goście z wyższych i niższych wymiarów. Nieśmiertelni. Nieumarli. Psychonauki. Staraj się nie gapić.

Pociągnąłem ją na peron. To, że nie zdobyła się na najkrótszy nawet komentarz, świadczyło o tym, jak bardzo była zaszokowana. Nie zaprotestowała nawet, choć znów trzymałem ją za ramię. Nie rozglądając się, nie przerywając rozmów, nie dając mi odczuć, że moja obecność została zauważona, ludzie rozstępowali się, robiąc nam przejście. Niektórzy czynili znak krzyża, kiedy byli pewni, że nie patrzę, znak, który miał ochronić ich przed złem. Wszystko wskazywało na to, że wciąż jeszcze mnie pamiętano. Ksiądz w złachmanionym czarnym płaszczu, za to z nieskazitelnie białą koloratką i szarą opaską na oczach, zachwalał swoje towary wyłożone na poobijanej walizce.

- Krucze łapki - wołał chropawym, ostrym głosem. - Święcona woda! Uroki! Osinowe kołki i srebrne kule! Wiecie, że są wam potrzebne! Nie przychodźcie do mnie z płaczem, gdy przyjdzie wam zcołgać się do domu z czyjąś śledzioną zamiast własnej.

Zamilkł, gdy zbliżyliśmy się do niego. Wciągnął powietrze, jakby węszył podejrzliwie, przechylając przy tym na boki ślepą głowę. Jego palce niestrudzenie przesuwają paciorki różańca, zrobione z kości ludzkich palców. Nagle zastąpił nam drogę i wskazał mnie oskarżycielsko palcem.

- John Taylor! - szczechnął, niemalże wypluwając słowa. - Dziecię potępienia. Potomek demonów i obraza pańska. Zguba wszystkich Wybranych! Apage! Zgiń, przepadnij!

- Cześć, Pew - rzuciłem lekkim tonem. - Miło wpaść na ciebie znowu. Widzę, że nie zmieniłeś ani roboty, ani gadki. Jak interesy?

- O, całkiem nieźle, dzięki, John. - Pew uśmiechnął się mniej więcej w moją stronę, rezygnując ze swojego oficjalnego Głosu. - Moje towary są jak ubezpieczenie na podróż. Nikt nie wierzy, że może się okazać potrzebne, póki nie jest zbyt późno. To nie może przytrafić się mnie, jęczą. Ale w Nightside jak najbardziej może i na pewno się przytrafi. Nagle, brutalnie i zazwyczaj przerażająco. Ratuję tu życia. A właściwie ratowałbym, gdyby ci głupcy zechcieli mnie wysłuchać. Ale co ty tu porabiasz, John? Myślałem, że masz więcej oleju w głowie. Wiesz, że pobyt w Nightside ci nie służy.

- Prowadzę sprawę. Nie martw się, nie zabawię długo.

- Wszyscy tak mówią - burknął, wzruszając ramionami gdzieś

wewnątrz podniszczonego płaszczyska. - Z drugiej strony, robimy to, co robić musimy, jak miemam. Czego szukasz tym razem?

- Dzieciaka na gigancie. Nastolatki Catherine Barrett. Nie sądzę, żeby to imię coś ci mówiło?

- Nie mówi. Z drugiej strony jednak, Wypadłem z obiegu ostatnimi czasy, na własne życzenie. Nadchodzą ciężkie czasy... Dam ci radę, chłopcze. Słyszę rzeczy, złe rzeczy. Coś nowego trafiło do Nightside. A ludzie znów zaczęli wspominać twoje imię. Pilnuj pleców, chłopcze. Jeśli ktokolwiek miałby ciebie zabić, to jednak chciałbym to być ja.

Odwrócił się gwałtownie i znów zaczął zachwalać swoje towary.

Nikt nie będzie ci równie bliski jak stary wróg.

Peron zadrżał lekko, z tunelu powiało nagłym podmuchem i na stację z rykiem wtoczył się pociąg - lśniący srebrzyście niby pocisk, bez żadnych okien. Wagony były solidnymi tubami ze stali, ze wzmocnionymi drzwiami, które stanowiły jedyną skazę na ich błyszczącej jednolicie powierzchni. Teraz otworzyły się z sykiem i ludzie zaczęli wysiadać i wsiadać. Już miałem znów ująć Joannę za ramię, ale nie było takiej potrzeby. Weszła do wagonu odważnie, z wysoko podniesioną głową.

Przedział, w którym usiedliśmy, był niemalże pusty.

I całe szczęście. Nie znoszę tłumu. W tłumie wszystko może się zdarzyć. Naprzeciwko nas siedział mężczyzna pochłonięty do cna lekturą rosyjskiej gazety. Zerknąłem na datę - gazeta była z przyszłego tygodnia. Kawalek dalej siedziała młoda kobieta wyposażona we wszystkie możliwe atrybuty punkowe, twarz miała całą w kolczykach, a pośrodku wygolonej głowy przeżył się wściekle zielony irokéz. Czytała Biblię, trochę zbyt dużą i opatrzoną ciężkimi, skórzanymi okładkami. Strony książki zdawały się zupełnie czyste. Ale zważywszy biel nieruchomych oczu dziewczyny, fakt, że nie mrugała, bez trudu zgadłem, że to absolwentka Szkoły Głębi, i wiedziałem, że dla niej i tylko dla niej księga pełna jest koszmarniej wiedzy.

Joanna rozglądała się ciekawie. Spróbowałem zobaczyć otoczenie jej oczyma. Brak okien sprawiał, że wagon bardziej przypominał celę niż środek transportu. Powietrze przesycone było zapachem środków dezynfekujących, który kojarzył mi się z gabinetem chirurgii

szczękowej. Nigdzie nie było map ani rozkładów jazdy.

Ludzie wsiadający do tego pociągu doskonale wiedzieli, dokąd jadą.

- Dlaczego tu nie ma okien? - odezwała się po chwili Joanna.

- Ponieważ nie chcesz zobaczyć tego, co jest na zewnątrz - odpowiedziałem. - Żeby dotrzeć do Nightside, musimy podróżować przez dziwne i niezbyt przyjemne rejony. Niebezpieczne i nienaturalne, ich widok odebrałby ci wzrok i zmysły. Przynajmniej tak mi powiedziano. Nigdy nie miałem ochoty podglądać.

- A maszynista? On też nie musi widzieć, dokąd jedzie?

- Nie jestem pewien, czy tu w ogóle jest jakiś maszynista - odpowiedziałem z namysłem. - Nie znam nikogo, kto kiedykolwiek widziałby tu maszynistę. Moim zdaniem pociągi przemierzają tę trasę od tylu lat, że są w stanie doskonale poradzić sobie same.

- Chcesz powiedzieć, że nie kieruje tym żaden człowiek?

- Tak jest chyba lepiej. Ludzie są strasznie ograniczeni. - Uśmiechnąłem się, patrząc na jej zszokowaną minę. - Przepraszam, doszłaś już do siebie?

- Nie.

- Nie martw się. Dojdziesz.

W tej samej chwili coś rąbnęło w wagon, rzucając Rosjanina na podłogę. Pozbierał z uwagą swoją gazetę i zmienił miejsce. Gruba metalowa ściana ugięła się do wewnątrz, powoli ustępując pod wściekłym naporem. Punkowa nie uniosła głowy znad swojej Biblii, ale jej wargi poruszały się w bezdźwięcznym szepcie. Wgniecenia pogłębiły się, a cała jedna sekcja wagonu zapadła pod niewyobrażalnym naciskiem. Joanna skurczyła się w sobie.

- Spokojnie - uspokoilem ją. - Cokolwiek to jest, nie może wejść. Pociąg jest pod ochroną.

Jej spojrzenie stało się nieco błędne. Szok kulturowy. Widziałem takie objawy już wcześniej.

- Jaką ochroną? - wykrztusiła wreszcie.

- Stare pakt, umowy, zaufaj mi, nie chcesz znać szczegółów, zwłaszcza jeśli niedawno jadłaś.

Na zewnątrz coś ryczało wściekle z zawodu. Z pewnością nie był to ludzki głos. Ryk cichł, w miarę jak pociąg jechał naprzód. Metalowa

ściana wagonu powoli wróciła do swych oryginalnych kształtów, wgniecenia znikają jedno po drugim. I nagle coś, a raczej całe stado cosiów, przebiegło po ścianie i popędziło na dach. Lekko, pospiesznie, zastukało licznymi odnóżami, niczym spora grupa gigantycznych owadów. Brzmiało to, jakby na dachu było ich całe mnóstwo, biegających w tę i z powrotem. I usłyszeliśmy głosy, przenikliwe i wysokie, głosy jak jeden zwielokrotniony. Gdzieś w tle dało się słyszeć metaliczne brzęczenie w nadmiernie przeciąganych samogłoskach, czułem, jak kręgosłup rezonuje mi dreszczem. Kruche Siostry Roju znów wyruszyły na łowy.

- Wyjdz, wyjdz, kimkolwiek jesteś - zaśpiewał chór jednego głosu. - Wyjdz i zabaw się z nami. Albo nas wpuść, wpuść i wtedy my zabawimy się z tobą, aż już nie będziesz mógł tego znieść. Chcemy wepchnąć nasze lepkie paluszki wprost do twojej puli genów i rzeźbić twoje łono naszymi żywymi skalpelami...

- Niech się zamkną. Zrób coś, żeby się zamknęły - wymamrotała Joanna przez zaciśnięte zęby. - Nie mogę znieść ich głosów. Zupełnie, jakby skrobały mi mózg, próbując dostać się do środka.

Zerknąłem na Rosjanina i punkówkę, konsekwentnie zajmowali się swoimi sprawami. Popatrzyłem w górę.

- Odejdźcie i przestańcie nas nękać - powiedziałem twardo. - Nic tu dla was nie ma, w imię traktatu i ofiary.

- Kto ośmiela się do nas zwracać? - zapytało wiele głosów jednym głosem, który niemalże utonął w nieustannym postukiwaniu szponów o stalowy dach wagonu.

- To ja, John Taylor - powiedziałem wyraźnie. - Nie zmuszajcie mnie, żebym tam do was wyszedł.

Wszystko ucichło. Aż wreszcie po dłuższej chwili nieludzki wielogłos odezwał się znów:

- A więc żegnaj nam, słodki książę, nie zapomnij nas, gdy przybędziesz do swego królestwa.

Znów dach i ściany rozbrzmiały stukotem odnóży, a potem wszystko ucichło. Pociąg toczył się dalej w zupełnej ciszy. Współpasażerowie zerknęli na mnie i szybko odwrócili wzrok, zanim zdążyłem popatrzeć im w oczy. Joanna też na mnie spoglądała. Jej

spojrzenie było twarde i nieruchome. Głos wręcz przeciwnie.

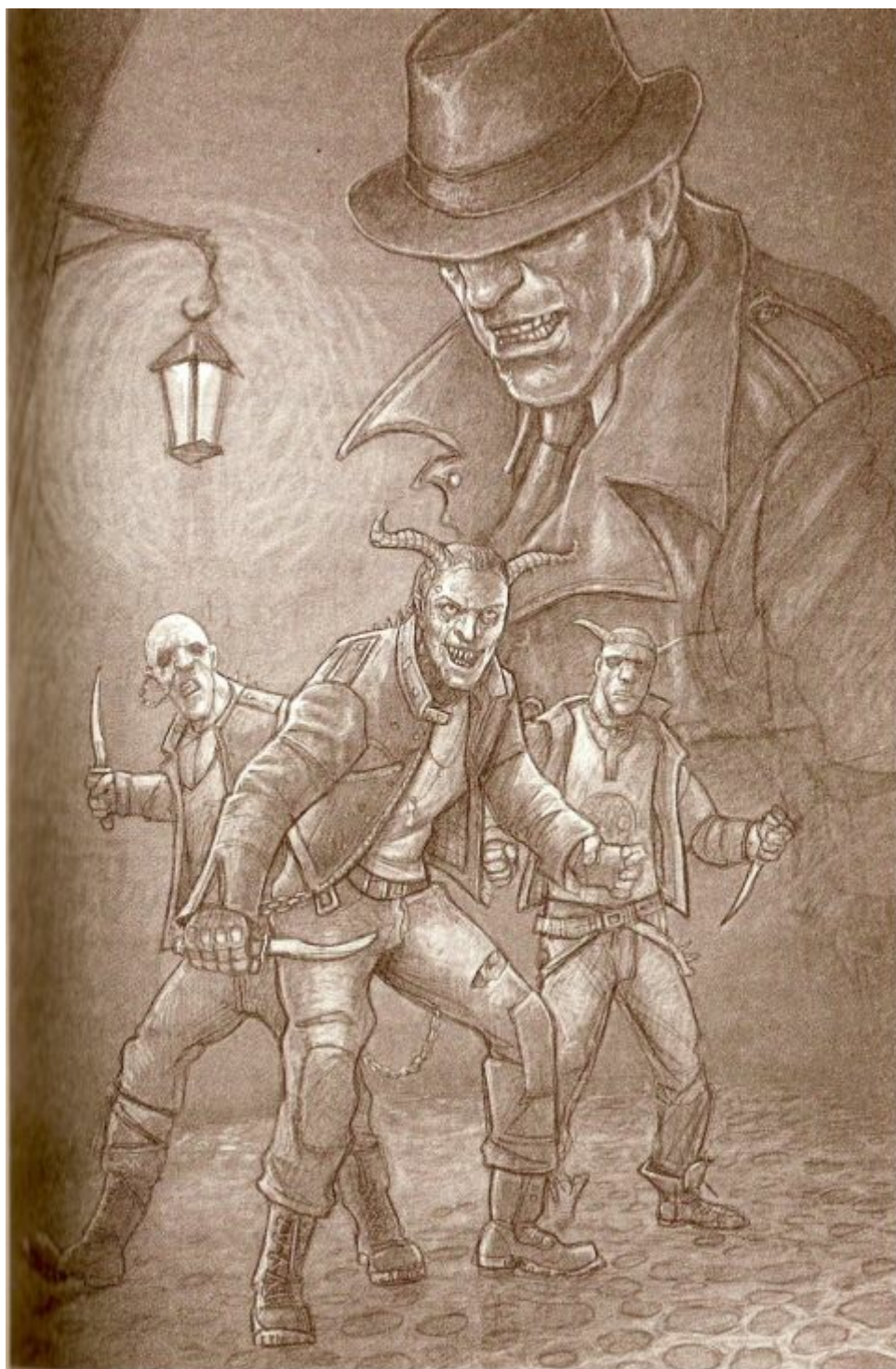
- To coś cię znało. O co im chodziło?

- Nie wiem - odparłem. - Nigdy nie wiedziałem. I to zawsze był mój problem. W Nightside jest niezliczona ilość tajemnic i, ku mojemu niezadowoleniu, ja jestem jedną nich.

Żadne z nas nie odezwało się już ani słowem do końca podróży.

TRZY

Neon Noir



Wynurzyliśmy się z podziemnych tuneli metra niczym dusze z głębin Hadesu, przy akompaniamencie niecichnącego tupotu nóg ludzi zmierzających w obu kierunkach.

Pociąg już dawno odjechał, pospiesznie, jakby nie mógł się doczekać, kiedy ruszy w dalszą drogę. Ruchome schody pełne były nowych w tej dzielnicy pielgrzymów, przybywających tu po prośbie. Starannie unikali patrzenia na siebie nawzajem. Nikt nie chciał przyciągać uwagi, póki nie dotrze do celu. Tych kilku osobników o zimnych, pustych oczach, którzy rozglądali się bez skrępowania, należało do tutejszych drapieżników albo werbowników. Otwarcie typowali swe późniejsze ofiary. Nikt nie patrzył wprost na mnie, choć nie zdołałbym zliczyć spojrzeń rzucanych mi z ukosa, a i szeptów za moimi plecami rozbrzmiewało niemało. To by było na tyle, jeśli chodzi o krótką wizytę incognito. Jedyna rzecz, która porusza się szybciej niż światło, to plotka w Nightside.

Obrzuciłem spojrzeniem tłum przybyszów, dochodząc do wniosku, że ten widok też się nie zmienił. Widziałem głównie chłopców i dziewczęta, przybywających do Nightside w poszukiwaniu dobrej zabawy. Wysypywali się na ulicę, węsząc okazje i wolność, których woń przesycala rześkie powietrze, i zanurzali się w wiecznej nocy, szukając własnego zbawienia albo potępienia. Joanna przeszła może z tuzin kroków i zamarła, z oczami wytrzeszczonymi i twarzą zastygłą w grymasie zdumienia, zszokowana cudami i dziwami nowego świata.

To tętniące energią miasto było przytłaczająco żywe. Płonące jasno kolory i antracytowe cienie, zapraszające i wszechogarniające, przerażające i przytłaczające, uwodzące i odpychające, wszystko naraz. Wszędzie świeciły neony, krzykliwe, oślepiające, lśniące niczym lameta na bożonarodzeniowej choince, niegasnące zaproszenie dla wszelkiego rodzaju frajerów, ofiar i wszystkich samotnych dusz. Kuszące znaki wabiły nieświadomych do klubów wszelkiej kategorii, obiecywały mroczne rozkosze i nieznane przyjemności, życie szybkie niczym ferrari, żadnych barier i ograniczeń prędkości. Płeć oblizywała lubieżnie wargi i kołysała biodrami. Wszystko to sprawiało, że było tu równie niebezpiecznie jak w piekle, tylko że dwa razy bardziej rozrywkowo.

Do diabła, dobrze wrócić do domu.

Ludzie przepływali obok mnie, ludzie najróżniejsi, począwszy od tych, którzy wyglądali na obcych, a skończywszy na tych, którzy byli zwyczajnie nieprawdopodobni. Nie ustawali w pogoni za własnymi chęciami i zamiarami. A ich niekończącej się wędrówce towarzyszył niecichnący ryk ruchu ulicznego. Wszystkie pojazdy poruszały się z ogromną prędkością, nie zatrzymując się wcale. Stanowiły przy tym ostry i hałaśliwy kontrast dla zatłoczonych ulic codziennego Londynu, gdzie ruch uliczny odbywa się w tym samym tempie od wieków, czyli oscyluje w granicach dziesięciu mil na godzinę. I nie ma znaczenia ani czym jedziesz, ani jak ważną jesteś osobą. Zasadnicza różnica polega na tym, że zapach spalin zastąpił woń końskiego gówna. To chyba lepiej.

Nie możesz wdepnąć w spaliny.

Wiele z tych mknących lśniących pojazdów musiało się wydać Joannie zaskakująco odmiennymi, takich kształtów, rozmiarów czy rozwiązań nie widziały zwyczajne ulice. Część z nich korzystała z paliwa, którego lepiej było nie badać zbyt dokładnie, szczególnie gdy miało się w planach spokojną noc. Taksówki jeździły na wodzie święconej, z której już dawno wywietrzało sacrum, limuzyny napędzała świeża krew, a karetki - destylowane cierpienie. W Nightside wszystko można zmienić na brzęcząca monetę, ze wszystkiego wyciągnąć jakieś korzyści.

Musiałem przytrzymać Joannę za ramię, bo niechcący znalazła się zbyt blisko krawężnika.

- Ostrożnie - krzyknąłem jej w ucho. - Nie wszystko tutaj to prawdziwe samochody. A niektóre z nich są głodne.

Ale ona mnie nie słuchała. Patrzyła w górę, w niebo, a na uniesionej twarzy zdumienie walczyło o pierwszeństwo z zachwytem i oszołomieniem. Uśmiechnąłem się i też podniosłem wzrok. Absolutna czerń nieskończonej płaszczyzny nieba iskrzyła się milionami gwiazd, tyłu nigdy się nie zobaczy nad żadnym z ziemskich miast, a jednak cały ten brokatowy przepych zniknął niemal, przyćmiewany przez księżyc w pełni, z tuzin razy większy niż owo blade coś, do którego moja towarzyszka była przyzwyczajona. Właściwie nigdy nie miałem pewności, czy księżyc w Nightside jest większy, czy też po prostu jest bliżej. Może pewnego dnia ktoś obrzydliwie bogaty zatrudni mnie, bym

znalazł odpowiedź na to pytanie.

Zerknąłem ponownie na Joannę, wciąż walczyła o odzyskanie równowagi, więc zacząłem się rozglądać. Jak by nie patrzeć, minęło pięć lat. Tymczasem okolica niewiele się zmieniła. Ludzie, pogrążeni w tej samej cichej desperacji, spieszyli wilgotnymi od deszczu ulicami, zmierzając wprost w takie same słodkie pułapki. A może to ja po prostu stałem się bardziej cyniczny. W Nightside można było odnaleźć skarby i cuda, widoki i wspaniałości, w których się rozsmakujesz, które chwycą cię za serce, wystarczy tylko patrzeć nieco uważniej, a je znajdziesz. Nightside jest jak każde inne większe miasto, tylko zintensyfikowane, wzmocnione, podobne do miast, których ulicami kroczyliśmy w snach i koszmarach.

Kiosk przy stacji oferował cały stojak zafoliowanych T-shirtów. Zacząłem czytać napisy na niektórych.

GRZECZNI CHŁOPCY IDĄ. DO NIEBA, A NIEGRZECZNI DO NIGHTSIDE.

MOJA MATKA BRAŁA TALIDOMID I JEDYNE, CO DOSTAŁEM, TO TE BEZNADZIEJNE PALCE MŁOTECZKOWATE.

Nie mogło też zabraknąć odwiecznego: MICHAEL JACKSON UMARŁ ZA NASZE GRZECHY. Parsknąłem cichym śmiechem. Typowy asortyment dla turystów.

Joanna odwróciła się gwałtownie w moją stronę, zamknęła usta ze słyszalnym kłapnięciem, zupełnie jakby właśnie uświadomiła sobie, że szczeka jej opadła.

- Witamy w Nightside - powiedziałem z uśmiechem. - Porzućcie wszelki gust, wy, którzy tu wchodzić.

- Jest noc - stwierdziła oszołomiona. - Co się stało z resztą dnia? Kiedy wyszliśmy, dopiero zaczynało się ściemniać...

- Mówiłem już, tutaj zawsze jest noc. Ludzie przybywają tu w poszukiwaniu rzeczy, których nie znajdą nigdzie indziej, a sporo tych rzeczy może istnieć jedynie w ciemności.

Pokręciła wolno głową.

- Rzeczywiście nie jesteśmy już w Kansas, prawda? Cóż, postaram się mieć otwarty umysł.

- Nie robiłbym tego - odpowiedziałem z całą powagą. - Nigdy nie

wiadomo, co może do niego wejść.

Rzuciła mi kose spojrzenie.

- Nie potrafię ocenić, czy żartujesz, czy mówisz poważnie.

- Sam tego nie potrafię, kiedy jestem w Nightside. Tutaj życie i śmierć to dość płynne pojęcia.

Wśród gwizdów i ryków zmierzała ku nam wesoła grupa przedstawicieli gangu ulicznego. Pokrzykując, zmuszali wszystkich do schodzenia im z drogi, spychając, w imię dobrej zabawy, niektórych przechodniów wprost na ulicę w niekończący się strumień pojazdów, które nawet nie raczyły zatrąbić, a co dopiero zwolnić choć trochę. Gangsterzy rechotali zachwyceni, trącąc się nawzajem łokciami i pociągając spore łyki z krążącej z rąk do rąk butelki. Byli hałaśliwi i nieznośni, i bardzo tym zachwyceni. Zapowiedź nagłej przemocy spowijała ich niczym smród niemyte ciało. Było ich trzynastu, ubranych w lśniące skóry ozdobione łańcuchami, twarze mieli wymalowane w barwy plemienne, zęby igłokształtne, a na czołach diabelskie rogi, poprzipinane paskami. Szli napuszeni, hałasując, ile wlezie, klnąc paskudnie każdego, kto nie schodził im z drogi dostatecznie szybko. Wyraźnie szukali jakichś kłopotów. Najlepiej takich, w których komuś dzieje się krzywda.

Nagle jeden z nich zauważył Joannę, natychmiast rozpoznając w niej świeże mięso. Łatwy cel - chodząca kasa i do tego kobieta. Pokazał ją kumplom i grupa ruszyła szybciej, zyskawszy cel i konkretny kierunek. Zrobiłem krok, opuszczając tym samym cień, i zastąpiłem im drogę. Zatrzymali się gwałtownie i usłyszałem swoje imię powtarzane półgłosem. Nagle w ich dłoniach pojawiły się noże o długich, smukłych ostrzach połyskujących ponuro w świetle neonów. Uśmiechnąłem się i kilku z nich zaczęło się cofać. Pozwoliłem, by mój uśmiech stał się szerszy, i cała banda grzeczniutko udała się w przeciwnym kierunku. Zasadniczo czułem ulgę. Właściwie sam nie wiedziałem, blefowałem czy nie.

- Dziękuję - odezwała się Joanna. Głos miała nad wyraz spokojny. - Przez chwilę byłam zaniepokojona. Kim oni byli?

- To demony.

- Tak się nazywa ich gang?

- Nie, to były demony, które bawiły się w gang uliczny. Prawdopodobnie w ramach jakichś warsztatów zawodowych. Pełno tu takich.

Zastanawiała się przez chwilę.

- Oni się ciebie bali.

- Owszem.

- Jesteś tu kimś wyjątkowym? Dlaczego?

Musiałem się uśmiechnąć.

- Niech mnie diabli wezmą, jeśli wiem. Powiedzmy, że mam w Nightside jakąś tam reputację. Albo przynajmniej kiedyś miałem. To będzie interesujące przekonać się, jaką wartość ma jeszcze moje imię w tych miejscach, które przyjdzie nam odwiedzić.

Joanna rozejrzała się.

- Nie powinniśmy zawiadomić policji? Albo coś w tym rodzaju? Te... demony mogą przecież zaatakować kogoś innego.

- W Nightside nie ma policji - wyjaśniłem spokojnie. - Nie ma też zbyt wielu praw, których należy przestrzegać. Tutaj wszystko jest dozwolone, to jedna z atrakcji. Istnieją... Władze i w ich mocy leży ukaranie poważnych przestępców, ale lepiej módl się, byśmy nie wzbudzili ich zainteresowania.

Nabrała głęboko powietrza i wypuściła je powoli.

- Dobrze. Poradzę sobie z tym. Przyszłam tu, żeby odnaleźć córkę, i dam sobie radę ze wszystkim, co tylko pomoże mi ją odzyskać. Powiedziałeś, że masz dar znajdowania ludzi. Pokaż mi.

- To nie takie proste.

- Dlaczego byłam pewna, że coś takiego usłyszę?

Wytrzymałem jej oskarżycielskie spojrzenie.

- Mam dar. Możesz go nazwać magią, talentem albo czym tam chcesz. Mogę używać tego daru, by odszukać ludzi albo przedmioty, które pozostają ukryte przed zwykłym wzrokiem i nie można ich znaleźć w drodze zwyczajnego dochodzenia. Mogę go używać jedynie w Nightside, gdzie prawa natury nie są aż tak sztywne. Ale muszę być bardzo ostrożny. Mam tu wrogów. To źli ludzie. Kiedy korzystam z daru, to tak jakbym zapalił lampę w ciemnościach. Natychmiast zwraca uwagę. Moi wrogowie mogą podążyć za tym światłem, by mnie

odnaleźć. I zabić.

- Kim są ci wrogowie? - zapytała Joanna i po raz pierwszy coś jakby troska błysnęło w jej chłodnych, błękitnych oczach. - Dlaczego tak im zależy na tym, by cię zabić? Co zrobiłeś? I dlaczego ktoś, kogo obawiają się demony, tak boi się tych ludzi?

- Ich jest wielu, a ja jestem jeden. Ścigali mnie, od kiedy pamiętam. Jeszcze jak byłem dzieckiem. Kiedyś spalili cały kwartał, próbując mnie dorwać. Przez lata zabili mnóstwo ludzi, którzy byli ze mną związani. To cud, że jeszcze w ogóle mam jakichś przyjaciół. Nie zawsze na mnie polują, czasem... myślę nawet, że się mnie boją. W każdym razie nigdy nie udało mi się ustalić, kim są i dlaczego tak im zależy na mojej śmierci. Jestem bezpieczny w zwyczajnym świecie. Nie mogą mnie tam wyśledzić, ale Nightside jest tak samo ich terytorium jak i moim. Zgodziłem się wziąć tę sprawę tylko dlatego, że wydaje się prosta i łatwa. Przy odrobinie szczęścia będziemy w stanie namierzyć twoją córkę, doprowadzić do waszego spotkania, padniecie sobie w objęcia, a potem się stąd wyniesiemy. A teraz cicho, muszę się skoncentrować. Im mniej czasu mi to zajmie, tym lepiej.

Skupiłem się, sięgnąłem głęboko do wnętrza siebie i mój dar rozwinął się niczym kwiat, wypełnił umysł i przelał się przezeń, sięgając w noc. Moje trzecie oko się otworzyło i nagle znów mogłem Widzieć. I wtedy ją zobaczyłem tuż przede mną. Powidok Cathy Barrett, lśniący i migoczący w rześkim powietrzu nocy. Jej cień, odcisnięty w materii Czasu przez obecność, półprzezroczysta pastelowa zjawia. Przechodnie mijali lub przechodzili przez nią, nie dostrzegając niczego. Skupiłem się na obrazie i sięgnąłem bardziej w przeszłość. Zobaczyłem Cathy u szczytu schodów prowadzących z metra, jak się rozgląda, zafascynowana i zachwycona nowo odkrytym światem. Miała na sobie ciuchy z zasobów Armii Zbawienia, ale poza tym wyglądała na zdrową i szczęśliwą. Rozejrzała się gwałtownie, jakby usłyszała, że ktoś ją woła. Uśmiechnęła się, a ten szeroki, pełen szczęścia uśmiech zupełnie odmienił jej buzię. Widziałem wyraźnie tę promienną, rozanieloną twarzyczkę, zupełnie jakby Cathy spotkała niespodziewanie ukochanego przyjaciela. Ruszyła w dół ulicą, spiesząc się do... czegoś. Do czegoś, czego nie mogłem ani zobaczyć, ani wyczuć, ale owo coś przyzywało

dziewczynę, ciągnęło nieubłagane, tak jak świeca przyciąga ćmę.

Obejrzałem wszystko raz jeszcze od początku. Ślad, jaki zostawiła Cathy, był zbyt świeży, zbyt czysty, by mógł mieć więcej niż kilka tygodni. Zapewne przybyła tu niedawno. Płynące z obrazu wrażenia były zaskakujące. W przeciwieństwie do większości uciekinierów Cathy nie przybyła do Nightside w poszukiwaniu schronienia czy też zapomnienia, nie szukała azylu. Przybyła tu w jakimś konkretnym celu, szukając konkretnej osoby lub rzeczy. Ktoś albo coś ją tu wezwało. Skrzywiłem się i otworzyłem umysł szerzej, ale w rytmie nocy nie było niczego niezwykłego, żadnego magicznego tonu, syreniego śpiewu, który mógłby skłonić śmiertelników do opuszczenia ich zwykłego, bezpiecznego świata.

Chyba że ten, który wzywał, pozostawał przede mną ukryty.

To była niepokojąca myśl. Niewiele rzeczy można przede mną ukryć. Do cholery, jestem John Taylor. Znajduję rzeczy. Bez względu na to, czy chcą być znalezione, czy nie.

Chyba że... miałem do czynienia z jedną z Mocy.

Zebrałem się w sobie i otworzyłem umysł na oścież. Ukryty świat wskoczył na miejsce w mgnieniu oka. Dawne ścieżki mocy krzyżowały się ze sobą, przecinając nieświadomy świat materialny, płonęły tak jasno, że musiałem odwrócić głowę. Duchy zawodziły, przemierzając swe niekończące się szlaki, uwięzione w czasie niczym insekty w bursztynie. Smukłe, niematerialne olbrzymy podążały wolno przez miasto, nie racząc nawet spojrzeć w dół, na wszystkich tych maluczkich śmiertelnych. Faerie, Istoty Transcendentne, Paskudny Ludek - wszyscy mijali mnie zajęci swoimi tajemniczymi sprawami, nie byli mną zainteresowani nawet na tyle, by rzucić mi przelotne spojrzenie.

I wciąż nigdzie nie dostrzegałem nawet najmniejszego śladu istoty, która tak kusząco wołała do siebie Cathy Barrett.

Zamknąłem umysł nieskończenie uważnie, warstwa po warstwie przywracając mu osłony. Tyle już lat nie miałem okazji cieszyć się możliwościami, jakie daje mi dar, że zapomniałem o ostrożności. Przez chwilę musiałem świecić niczym słońce. Najwyższy czas ruszać z tym cyrkiem. Złapałem Joannę za rękę i pozwoliłem, by nasze umysły się połączyły, teraz mogła zobaczyć ulice poprzez moje tajemne oko.

Słyszałem, jak gwałtownie wciąga powietrze. Dostrzegła niewyraźny obraz Cathy i rzuciła się w jej kierunku, wołając. Puściłem ją natychmiast, zatrzasnąwszy umysł, utykając dar na jego dnie z jak największą dokładnością, by nawet najdrobniejsza iskierka światła nie mogła mnie zdradzić.

Joanna odwróciła się z wściekłością.

- Co się stało? Gdzie ona jest? Widziałam ją!

- Widziałas obraz z przeszłości - poinformowałem ją łagodnie. - Ślad odcisnięty w Czasie. Cathy była tu przed dwoma tygodniami, a to wystarczająco długi okres, by wpakować się w naprawdę wielkie kłopoty. Ale przynajmniej teraz wiemy na pewno, że tu dotarła. No i że dwa tygodnie temu była jeszcze cała i zdrowa. Widziałas wyraz jej twarzy? Ona nie przybyła tutaj bez celu. Podążała w bardzo konkretnym kierunku.

Twarz Joanny znów była maską bez wyrazu. Zupełnie jakby pani Barrett czuła się skrępowana, że przyłapałem ją na okazywaniu prawdziwych emocji.

- Bardzo konkretnym. To dobrze czy źle?

- To zależy - odpowiedziałem uczciwie. - To jest Nightside. Cathy może być już wszędzie. Mogła znaleźć przyjaciół, ochronę, oświecenie albo potępienie. Wszystko to jest tu raczej tanie. Myślę... Sądzę, że przyda nam się pomoc. Co powiesz na wizytę w najstarszym barze i nocnym klubie na świecie?

Kącik jej ciemnoczerwonych ust drgnął. To mógł być uśmiech.

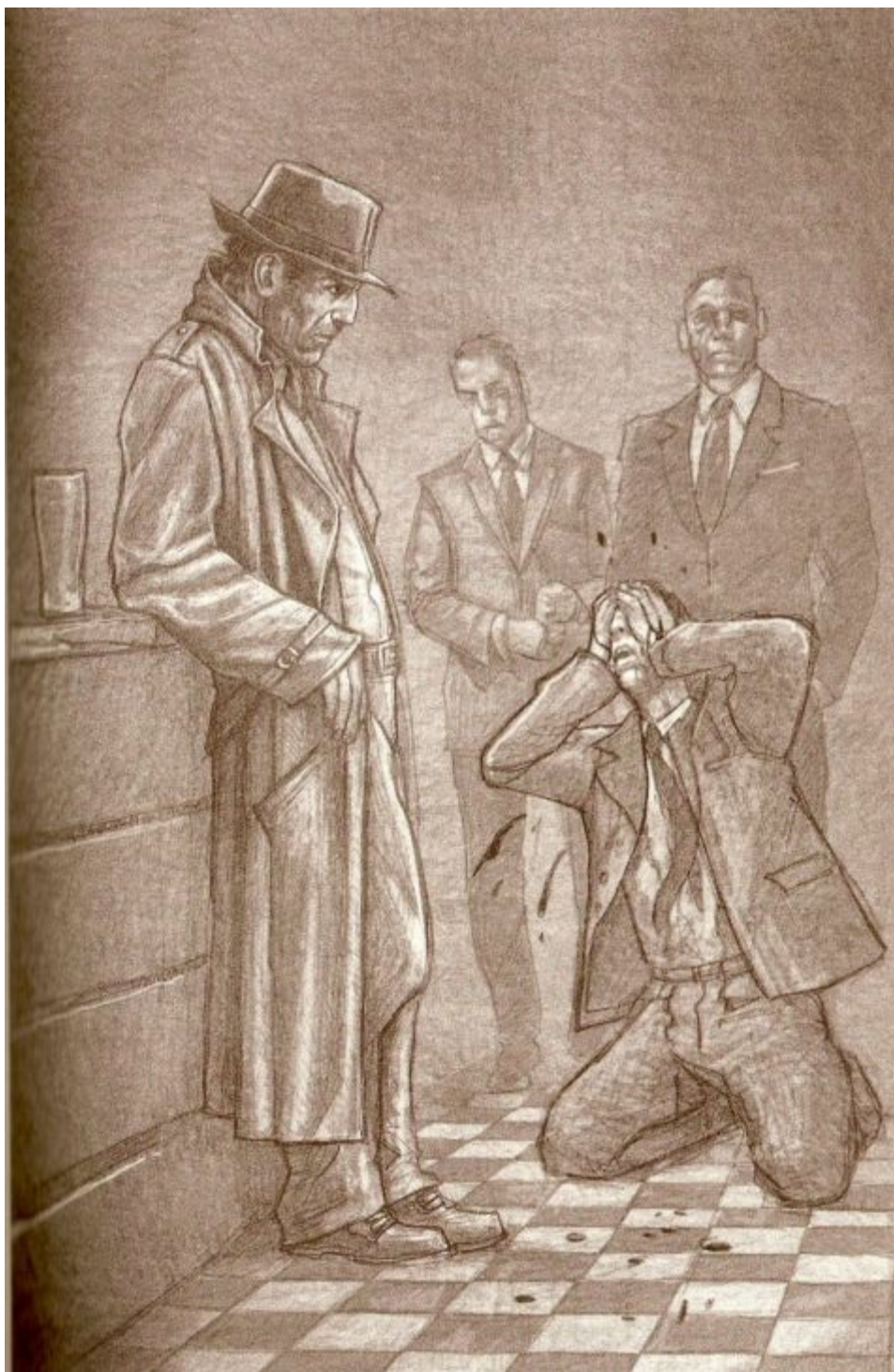
- Brzmi zachęcająco. Przydałaby mi się szklaneczka czegoś mocniejszego. Cholera, kilka szklaneczek i coś na adrenalinę. Jak się nazywa to miejsce?

Wyszczrzyłem zęby w szerokim uśmiechu.

- Obcy Znajomkowie.

CZTERY

Jeśli wiesz, co dobre, idziesz do Obcych Znajomków



Obcy Znajomkowie, najstarsza pijacka speluna, nora gawędziarzy i zanęta na szumowiny w całej historii rodzaju ludzkiego. Trafisz tam, idąc uliczką z gatunku tych, co to jeżą włosy na karku, a następnie skręcając w boczną alejkę, która nie zawsze tam jest. Zasadniczo mam wrażenie, że czuje się zawstydzona bezpośrednim sąsiedztwem takiej dziury. Alejka jest ciemna, a uliczka wyboista. Wejście do Obcych Znajomków stanowi płaska stalowa płyta ozdobiona brudnawym malunkiem muru, nad nią niewielki, lecz szykowny neon z nazwą baru w starożytnym sanskrycie. Właściciel przybytku nie wierzy w reklamę. Nie musi. Jeśli pisane ci jest znaleźć najstarszy pub w Anglii, to znajdziesz. Jeśli nie... Cóż, możesz szukać drogi całe życie i nigdy doń nie trafisz. Właściwie to nie ma listy oczekujących, ale opłaty członkowskie bywają zabójcze. Czasem dosłownie. Przetłumaczyłem Joannie treść neonu, ale ona popatrzyła do góry z twarzą bez wyrazu.

- To bar dla gejów?

Nie zdołałem powstrzymać uśmiechu.

- Nie. To po prostu miejsce, gdzie najdziwniejsi ludzie na świecie mogą przyjść i wypić w spokoju drinka. Nikt tu nie będzie nikogo zaczepiał, nikt nie będzie zmuszał do rozmów o sporcie, polityce czy religii i nikt nie poprosi cię o autograf. Dobro i Zło mogą stawiać sobie nawzajem drinki, neutralność jest tu absolutnie obowiązkowa. Ta knajpa była tu przez wieki, choć nie zawsze wyglądała tak samo. Nikt tak naprawdę nie wie, jak stary jest ten pub, ale zawsze był to jakiegoś rodzaju bar. Przy okazji mojej ostatniej wizyty Obcy Znajomkowie byli luksusowym i bardzo ekskluzywnym klubem, wspaniałym w ten szczególnie przerażający sposób, drinki były tu wyśmienite, a klientela... interesująca. Ale w Nightside chyba nic nie zmienia się równie szybko jak tożsamości, więc gdy wejdziemy, trzymaj się mnie, pilnuj torebki i nie rozmawiaj z żadnymi obcymi kobietami.

- Bywałam już kiedyś w klubach nocnych - odpowiedziała lodowatym tonem.

- Nie w takich jak ten.

Ruszyłem w stronę drzwi, a one wolno otworzyły się przede mną. Choć za nic nie przyznałbym tego głośno, ten widok sprawił, że poczułem ulgę. Drzwi otwierały się tylko przed tymi, którzy pozostawiali

w dobrych układach z właścicielem pubu, a nie miałem pewności, jakie są właściwie moje układy po tylu latach. Szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że nie rozstaliśmy się w wyjątkowo przyjaznej atmosferze. Do cholery, jeśli spojrzeć na mój rachunek w knajpie, to wciąż miałem tu pewne długi.

A jednak drzwi otworzyły się przede mną.

Przekroczyłem więc próg równie pewnie, jakbym był co najmniej właścicielem tego miejsca, a przy moim boku szła Joanna z najbardziej chyba kuszącą, a zarazem onieśmielającą miną, na jaką było ją stać. Głowa do góry, krok pewny, spojrzenie nieruchome. Tutejsi goście z daleka potrafią wywąchać strach.

Stałem w foyer i rozejrzałem się bez pośpiechu. Stara dziura wcale się tak bardzo nie zmieniła. Te same meble z czasów Tudorów i owinięci wokół nich ludzie, usiłujący złapać nieco snu, zanim wyruszą w drogę do domu. Te same obsceniczne freski i płaskorzeźby na suficie i ścianach. Te same plamy na perskim dywanie. Zalała mnie fala nostalgii. Zerknąłem na Joannę, ale ona zajęta była utrzymywaniem najbardziej pokerowej ze wszystkich pokerowych twarzy. Ruszyłem więc do przodu, raz po raz przełaząc nad czyimiś wyciągniętymi nogami, i już po chwili ze szczytu metalowych schodów mogliśmy zobaczyć obszerną jamę o kamiennych ścianach, gdzie mieścił się bar.

Pierwszym słowem, jakie przyszło mi do głowy na ten widok, było „obskurny”. Ale „rozespany”, uplasowało się zaraz na drugiej pozycji. Najwyraźniej wystrój ekskluzywny i luksusowy okazał się niewypałem. Zeszliśmy po schodach, a metalowe stopnie głośno brzęczały pod naszymi stopami. Tak zostały zaprojektowane. Bywalcy tego miejsca nie lubili niespodzianek. Sala jak zawsze zastawiona była krzesłami i stolikami, o których można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że pochodziły z jednego kompletu. Pod ścianami niewielkie kabiny zapewniały dodatkową prywatność tym, którzy akurat jej potrzebowali. Lub chcieli na chwilę ukryć jakieś ciało. Światła jak zwykle były przyciemnione, częściowo z uwagi na atmosferę lokalu, a częściowo po to, byś nie mógł zbyt dokładnie przyjrzeć się otoczeniu. Lub gościom przy sąsiednim stoliku. Większość miejsc była zajęta, ten mieszany tłum przypominał mi jeden z powodów, dla których opuściłem Nightside.

Rozpoznałem mnóstwo twarzy - ich właściciele ostentacyjnie na mnie nie patrzyli. Typowy gwar podniesionych głosów tonął w dźwiękach ciężkiego rocka, płynących ze sprytnie ukrytych głośników. Gęste stojące powietrze przesycone było dymem, częściowo pochodził on ze źródeł legalnych, częściowo z ziemskich. Przy dolnym podeście schodów napis na ścianie ostrzegał: „Wchodzisz na własne ryzyko”.

- To tak serio? - spytała Joanna, wskazując go ruchem podbródka.

- Jasne - odpowiedziałem półgłosem. - Jedzenie tu jest okropne.

- Jak i całe to miejsce - stwierdziła zimno. - Czuję, jak moja reputacja traci na wartości od chwili, gdy przekroczyliśmy próg. Powiedz, że wizyta tutaj ma jakiś sens.

- Szukamy informacji - wyjaśniłem cierpliwie. Nigdy nie zaszkodzi udzielić klientowi szczegółowych wyjaśnień, szczególnie jeśli wiesz, że to go wkurzy. - Musimy się dowiedzieć, kto lub co wezwało Cathy do Nightside i dokąd poszła w chwili, gdy przestała być w zasięgu mojego daru. W Obcych Znajomkach możesz znaleźć odpowiedź na praktycznie każde pytanie, jeśli wiesz, kogo zapytać.

- Albo które ręce posmarować?

- No widzisz, uczysz się. W Nightside forsa nie przemawia, ona wrzeszczy i krzyczy, i wykręca ręce. No i jeszcze trzeba pamiętać, że większość tych, którzy skupiają w swoich rękach władzę, prędzej czy później odwiedza to miejsce, w drodze na szczyt albo w dół. To oni właśnie twierdzą, że ten przybytek istnieje od początku cywilizacji.

Joanna pociągnęła nosem.

- I najwyraźniej nikt tu nie sprzątał od tamtych czasów.

- Merlin, syn szatański jedyny, został tu pochowany pod piwniczką z winami. Pojawia się od czasu do czasu wśród gości, żeby upewnić się, że wszyscy tu postępują uczciwie. To, że jesteś martwy, nie oznacza, że nie możesz być jednym z głównych graczy w Nightside.

- Zaraz, czekaj! Stój! Ten Merlin?

- Przeraża mnie myśl, że może być ich więcej niż jeden! Tylko raz widziałem, jak się zamanifestował, ale niemal zesrałem się ze strachu.

Joanna potrząsnęła głową.

- Potrzebuję drinka. Solidnego. I to zaraz.

- Mnóstwo ludzi tak właśnie czuje się w Nightside. - Ruszyłem w

stronę mahoniowego baru, który rozciągał się w przeciwległym końcu pomieszczenia. Dobrze było wrócić na stare śmieci, czułem, jak części mojego „ja”, dotychczas pogrzebane głęboko, budzą się i przeciągają. Czasami nienawidziłem Nightside serdecznie, czasem je kochałem, ale dzięki ucieczce stąd właśnie dowiadywałem się, jak bardzo potrzebuję tego miejsca. Mimo wszystkich niebezpieczeństw, czyhających za rogiem zagrożeń, wszechobecnych brutalności i okrucieństwa i głęboko zakorzenionej niegodziwości Nightside było jedynym miejscem, gdzie czułem się naprawdę żywy. A w tym barze nie raz i nie dwa dobrze się bawiłem w czasach, gdy byłem jeszcze młody. Po prawdzie głównie dlatego, że byłem młody, nic nie znaczyłem i większość miała głęboko w dupie, kim byłem czy też kim mogę się stać.

Poprowadziłem Joannę między zatłoczonymi stolikami, gwar prowadzonych rozmów nie przycichł ani odrobinę, za to z głośników ryknęli Stranglersi, informując wszystkich głośno, że „Nie ma już bohaterów”. Właściciel baru dawał mi znać, że zauważył moje przybycie. Hałas wywołał skrzywienie pięknych ust Joanny.

- Zawsze tu puszczają ten jazgot? - wykrzyczała mi do ucha

- Mniej więcej - odpowiedziałem równie głośno. - To miejsce należy do Aleksa Morriseya, a on gra taką muzykę, jaka mu się podoba. Lubi ciężkiego rocka, nie wierzy w optymizm ani dobry nastrój i nie spełnia próśb klientów. Ktoś kiedyś poprosił o zmianę muzyki na country i Alex go zastrzelił. Goście nagrodzili go brawami.

Podeszliśmy do baru. Za kontuarem jak zawsze stał Alex Morrisey - słupek stuprocentowego marudzenia odziany w czerń. Był ostatnim z długiej linii barmanów czy też właścicieli pubu, rodu, którego korzenie sięgały w przeszłość dalej, niż ktokolwiek chciałby pomyśleć. Nie było dokładnie wiadomo, czy rodzina Aleksa pozostawała tu, by chronić Merlina, czy też odwrotnie, a nikt nie pytał o to samego Morriseya, ponieważ w odpowiedzi miał zwyczaj ciskać przedmiotami. Nie było natomiast tajemnicą, że Alex opuściłby Obcych Znajomków natychmiast, gdyby tylko mógł. Niestety. Jego rodzina związana była z pubem poprzez starożytne i wielce nieprzyjemne pakta i tak Alex nie mógł odejść, póki nie znajdzie zmiennika ze swego rodu, a biorąc pod uwagę, że był ostatnim z długiej linii... No cóż, nic dziwnego, że był

nieprawdopodobnie drażliwy i lubił się odgrywać na klientach.

Mówiło się, że Morrissey urodził się w złym humorze, a potem było już tylko gorzej. Nieustannie wściekły na cały świat, złośliwie nieuczciwy dla sportu i uporczywie szarmancki, gdy przychodziło do wydawania reszty. Ale niech Bóg ma w opiece twą duszę, jeśli spróbujesz oszukać Aleksa choćby o grosz. Morrissey twierdzi, że jest prawowitym dziedzicem brytyjskiego tronu, albowiem jest (mniej lub bardziej) bezpośrednim potomkiem Uthera Pendragona, poczętym po tej niewłaściwej stronie łoża. Twierdzi też, że może widzieć aury ludzi, o ile wcześniej walnie odpowiednio głową o ścianę.

Kiedy stanąłem przy kontuarze, Alex właśnie zabawiał się na swój sposób, obsługując kolejnego klienta, ale doskonale wiedział, że jestem. W tym pubie nie działo się nic, o czym by nie wiedział, jego popisową sztuczką było odbieranie telefonu, zanim ten zdążył zadzwonić.

Oparłem się o mahoniowy blat i bezczelnie gapilem na Aleksa - wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętałem: w równej mierze strasznie, jak niepokojąco. Teraz chyba zbliżał się już do trzydziestki, choć wyglądał dziesięć lat starzej. Szczupły, blady, z ponurą miną i zawsze czymś zirytowany. Wieczny grymas niezadowolenia wyrył mu głęboką bruzdę u nasady nosa, a w tych rzadkich chwilach, gdy na twarzy Aleksa pojawiał się uśmiech, człowiek od razu wiedział, że wpadł w kłopoty. Morrissey ubierał się na czarno, uzupełniając strój ciemnymi okularami topowej marki i odjazdowym beretem zsuniętym na tył głowy. Ten beret miał zasłonić łysinę, której Alex dorobił się, będąc jeszcze nastolatkiem. Twierdził, że jest to namacalny dowód, o ile ktoś potrzebowałby takiego, że Bóg nienawidzi go personalnie. Morrissey golił się, kiedy sobie przypominał, że trzeba, co nie zdarzało się często. Czarne włosy sterczały sztywno, bo nieustannie za nie szarpał, zaś kwestia jego higieny osobistej była raczej niepokojąca.

Na ścianie za barem zauważyłem wciąż ten sam kalendarz z Elvirą, władczynią ciemności^[*], seria zdjęć przedstawiała ją w takich pozach, że gdyby kiedykolwiek się o tym dowiedziała, z pewnością nie przyjęłaby tego spokojnie. Obrazki na podkładkach pod piwo też były radośnie pornograficzne. Jeśli chodzi o całokształt, to Alex nie przepada

za kobietami, większość z nich nie dorasta do jego oczekiwań. Kiedyś był żonaty, ale do dzisiaj nie chce rozmawiać na ten temat. To właśnie cały Alex Morrissey. Wkurwiony na cały świat i bardzo z tego dumny, barman, który przyrządza najgorsze martini w całym Nightside.

Chyba jesteśmy przyjaciółmi. Tak mi się wydaje, bo puściliśmy sobie płazem rzeczy, jakich nie tolerowalibyśmy u nikogo innego nawet przez sekundę.

Wreszcie przestał udawać, że mnie nie ma, i zbliżywszy się krokiem nonszalancko niedbałym, rzucił mi ponure spojrzenie.

- Wiedziałem, że to będzie parszywy dzień już od samego rana, kiedy stwierdziłem, że w nocy moja królicza łapka wyhodowała sobie resztę królika - stwierdził tonem, w którym pobrzmiwała uraza. - Gdybym tylko wiedział, że w ten sposób ostrzegła mnie przed twoim powrotem, zaryglowałabym wszystkie drzwi i okna, a klucze stopił. Czego chcesz?

- Dobrze znów cię widzieć, Alex. Jak interesy?

Prychnął głośno

- Utargi tak spadły, że potrzebuję koparki, by znaleźć swój zysk, poltergeist zamieszkał u mnie w piwnicy i nawiedza beczki z piwem, zakręcając i odkręcając kurki, a Blady Michael twierdzi, że skoro jest teraz zombie i oficjalnie martwy, na co ma świadectwo koronera, to nie musi płacić swojego wcale nie małego rachunku za drinki. A teraz ty się zjawiasz. W takie noce marzę o krwawych powstaniach i bombach podłożonych w miejscach publicznych. Co tu robisz, John? Mówiłeś, że nigdy tu nie wrócisz, i była to jedyna rozsądna rzecz, jaką kiedykolwiek od ciebie usłyszałem.

- Dama u mego boku to Joanna Barrett. Jej córka zaginęła w Nightside, a ja utknąłem w ślepym zaułku.

Alex rzucił mi spojrzenie znad ciemnych szkieł.

- Myślałem, że możesz znaleźć wszystko i wszystkich?

- Ja też. Ale dar pozwolił mi zobaczyć zaledwie część, potem ktoś mnie zablokował. Coś albo ktoś ukrywa tego małego zbiega. Nie będę mógł podjąć tropu, jeśli nie znajdę się bliżej niej. A to oznacza, że potrzebuję wskazówki. Eddie tu jest?

- Jest, choć życzyłbym sobie, żeby go nie było. Siedzi przy swoim

stoliku w kącie i odstrasza klientelę.

W tej samej chwili znikąd pojawiło się trzech japiszonów. Stanęli półkregiem, odcinając mi drogę w głąb sali. Odwróciłem się powoli, gdy dostrzegłem ich odbicia w lustrze za kontuarem, i popatrzyłem na nich z ciekawością. Wyglądali bardzo typowo, wszyscy młodzi, w garniturach szytych na miarę, krótko ostrzyżeni, każdy z kolczykiem w uchu i doskonałym manicure. No i oczywiście mieli krawaty. Oldskulowe. Wszyscy trzej wyglądali na niezbyt zadowolonych z mojego powrotu, a ten, który wgapiał się we mnie, zdawał mi się nieco znajomy. Joanna, co zauważyłem, ostentacyjnie nie była pod prażeniem. Bardzo dobrze. Oparłem się plecami o kontuar i uniosłem brew z odpowiednią dozą pogardy, rzecz jasna. Wielki, zły yuppie zbliżył swoją twarz do mojej i wionął mi w nos ostrą wonią mięty pieprzowej. Nienawidzę mięty.

- John Taylor! - ryknął, starając się ze wszystkich sił zabrzmieć przerażająco i groźnie, jak na prawdziwego twardziela-zabijakę przystało. Niestety, jego głos osiągnął zbyt wysokie tony, by zamiar można było uznać za zrealizowany. - John pierdolony Taylor! Bóg jest dobry, o tak! Przysłał mi ciebie. Zawsze wiedziałem, że któregoś dnia przycołgasz się tu z powrotem, Taylor, żebym mógł osobiście dopilnować, że dostaniesz, na co zasłużyłeś!

- Odnoszę wrażenie, że mnie znasz - odpowiedziałem spokojnie. - Obawiam się, że nie mogę się zrewanżować. Czy jestem ci może winien jakąś kasę?

- Nawet nie próbuj udawać, że mnie nie pamiętasz! Powiedziałem ci, żebyś tu nigdy nie wracał. Powiedziałem ci, żebyś nie odważył się pokazywać tu swojej gęby. Narobiłeś mi obciachu!

- Co nie było trudne - zauważył Alex zza kontuaru. Obserwował całą akcję z zainteresowaniem i najwyraźniej nie miał w planach przerywać sobie zabawy.

Yuppie udał, że tego nie słyszał. Może i był szalony, ale nie aż tak, żeby wchodzić w drogę Morrisseyowi. Całą siłą spojrzenia skupił na mnie, wlepiając wyłupiaste oczy w moją twarz, podczas gdy jego dwaj przyjaciele z tyłu starali się wyglądać groźnie, gotowi w każdej chwili udzielić mu wsparcia.

- Powiedziałem ci, Taylor, że jeśli tu wrócisz, to mnie popamiętasz,

ty mały gnojku, wpięprzając się w sprawy lepszych od ciebie!

- A! - Wątle światełko rozjaśniło mrok mojej niepamięci. - Wybacz, minęło pięć lat. Teraz już cię kojarzę. To ograniczone słownictwo i powtarzane w kółko te same groźby sprawiły, że wreszcie sobie przypomniałem. Ffinch-Thomas, prawda? Spotkaliśmy się tutaj pewnej nocy, akurat byłeś zajęty spuszczeniem lania swojej dziewczynie, dlatego że miałeś nie najlepszy humor. No i dlatego, że mogłeś. Wcale nie zamierzałem się wtrącać. Serio, serio. Skoro była na tyle głupia, żeby umawiać się z takim bandziorem o podejrzenie podwójnym nazwisku tylko dlatego, że zawsze miał kasę na najlepsze drinki i najdroższe kluby, to była jej sprawa, ile razy dostanie po gębie. Ale ty powaliłeś ją na podłogę i zacząłeś kopać, póki jej żebra nie pękły. Chichocząc przy tym cały czas. Więc stłukłem cię na kwaśne jabłko, ukradłem wszystkie karty kredytowe, a na koniec wywaliłem przez okno, które akurat było w pobliżu. O ile dobrze pamiętam, te swoje groźby wykrzykiwałeś, kuśtykając jak najszybciej w stronę jakiegoś bezpieczniejszego miejsca i próbując wydobyć kawałki szkła z własnej dupy. Każdy inny wyciągnąłby z tego spotkania cenną naukę. Alex, naprawdę jestem zaskoczony, że pozwoliłeś tu wrócić tej małej świni.

Morrisey wzruszył ramionami i oparł łokcie na kontuarze.

- Co mam ci powiedzieć? Jego tatuś jest grubą rybą w mieście. Obaj tatusiowie.

Muzyka ucichła nagle, a chwilę później stopniowo cichł gwar rozmów, w miarę jak ludzie zaczynali kojarzyć, co się dzieje. Teraz już wszyscy klienci zwrócili na nas uwagę, a z rąk do rąk zaczęły przechodzić wcale nie małe kwoty. Każdy chciał się przekonać, czy John Taylor ma jeszcze to coś. Sam byłem ciekaw.

- Nie możesz do mnie mówić w ten sposób - wrzasnął Ffinch-Thomas załamującym się z napięcia głosem.

- Oczywiście, że mogę. Właśnie to zrobiłem, nie słuchałeś?

Z kieszeni marynarki wyciągnął smukły złoty sierp o rękojeści fachowo uformowanej tak, by pasowała do jego dłoni. Ostrze zaślniło jasno i nie miałem jakoś wątpliwości, że jest niczym brzytwa. Dwóch pozostałych japiszonów wyciągnęło identyczną broń. Najpewniej ostatni krzyk mody. Druidzki szyk.

- Zrobimy ci to, Taylor - powiedział Ffinch-Thomas, uśmiechając się szeroko. Mówił już lekkim tonem, oddech mu przyspieszył, a w oczach zapłonęło podniecenie. - O tak! Zrobimy to i potem jeszcze, i jeszcze raz. Będiesz wrzeszczał, Taylor. Będiesz krzyczał. A my zedrzymy z ciebie skórę i wytoczmy krew, i nie przestaniemy, aż zaczniesz błagać, byśmy pozwolili ci zdechnąć. Nigdy nie wierzyłem w te wszystkie historie na twój temat. Ostatnio po prostu wzięłeś mnie przez zaskoczenie. A kiedy już zmusimy cię, byś skomlał i płakał, przestaniemy na chwilę, żebyś mógł popatrzeć, jak robimy to z twoją kobietą. I... i...

Głos uwiązał mu w gardle, kiedy spojrzałem mu prosto w oczy. Dość już się nasłuchałem. A nawet więcej niż dość. Niektóre robaki po prostu aż się proszą, żeby je rozdeptać. I już go miałem. Próbował odwrócić wzrok, ciężkie krople potu zrosiły jego pobladłą twarz. Chciał uciekać, ale nie mógł. Zaskamlał i przestał panować nad pęcherzem, na bardzo drogich spodniach pojawiła się szybko rosnąca ciemna plama. Jego dłoń otworzyła się wbrew nakazom woli, a złoty sierp wypadł z bezwładnych palców i zabręczał, uderzając o podłogę. W absolutnej ciszy dźwięk zdał się nad wyraz głośny. Teraz już Ffinch-Thomas się bał, był naprawdę przerażony.

Uśmiechnąłem się do niego i z wytrzeszczonych oczu, po policzkach, popłynęła mu krew. Skowytał cichym przejmującym głosem uwięzionego w pułapce zwierzęcia, nagle oczy uciekły mu w głąb czaszki, błysnął białkami i zwałił się nieprzytomny na podłogę. Jego dwaj kumple stali przez chwilę w bezruchu, gapiąc się z otwartymi ustami na bezwładne ciało, wreszcie podnieśli wzrok na mnie. Wciąż trzymali swoje złote sierpy w drżących teraz dłoniach, widać było, że wyteżają wszystkie siły, by zmusić się do ataku.

- Lucy! Betty! Kłopoty! - krzyknął Alex. I nagle Lucy i Betty Coltrane zmaterializowały się tuż za plecami japiszonów. Coltranki od lat pracują na bramce u Aleksa. Wysokie i potężne kulturystki, zazwyczaj ubrane zaledwie w koszulki i szorty, by lepiej prezentować oszalamiające mięśnie. Jedna brunetka, druga blondynka - i to zasadniczo wszystko, czym się od siebie różnią. Mają swój specyficzny przerażający urok i potrafią rozłupać orzecha, głośniej pokasłując.

Dopadły japiszonów w mgnieniu oka, jednym ruchem wyrwały im sierpy, rąbnęły głowami delikwentów o bar, błyskawicznymi kopniakami w krocza pozbawiły wszelkich chęci oporu, następnie ucapiwszy silnie, wyprowadziły obu na zewnątrz. Klienci nagrodzili je oklaskami, kilku odważyło się nawet zagwizdać w uznaniu.

Popatrzyłem na Aleksa z wyrzutem.

- Dałbym sobie z nimi radę.

Prychnął pogardliwie w odpowiedzi.

- Widziałem już, jakie są efekty twojego dawania sobie rady, miesiącami trzeba potem zmywać krew. Masz, to na koszt firmy, i na Boga, zostaw resztę moich klientów w spokoju.

Przyjąłem brandy z ukłonem. To wszystko, na co Aleksa stać było w temacie przeprosin. Coltranki wróciły i sprawnie wyniosły dygocącego Ffincha-Thomasa.

- Naskarzy na ciebie tatusiowi - stwierdził Alex. - A tatuś nie będzie zadowolony. Może się nawet nieco na ciebie rozzłościć.

- Powiedz mu, żeby wziął numerki i stanął w kolejce - powiedziałem, ponieważ dobrze jest mówić takie rzeczy w miejscach publicznych. Bóg mi świadkiem, że nie potrzebowałem więcej wrogów, i tak miałem ich pod dostatkiem, ale młody Ffinch-Thomas zasłużył na zdrowe lanie. W imię zasad.

Joanna nie przestawała obserwować Coltranek.

- Kim... czym one są?

- Moją dumą - odpowiedział Alex z czułością. - Lucy i Betty Coltrane. Najlepsi bramkarze na świecie. Choć oczywiście nigdy im tego nie mówię. Bardziej zajadłe niż pitbull i tańsze w utrzymaniu. Poślubione sobie nawzajem. Raz miały psa, ale go zjadły.

Joanna sprawiała wrażenie zszokowanej.

- Powinniśmy chyba pogadać z Eddiem - odezwałem się łagodnie. - Porozmawiamy później, Alex.

- Skoro musisz. Powiedziałbym „nie”, ale i tak nie posłuchasz. Jesteś chodzącym problemem, John, zawsze byłeś.

Z głośników znów popłynął rock, a jaskinię wypełnił gwar wznowionych rozmów, po tym jak goście zorientowali się, że przedstawienie definitywnie dobiegło końca. Z tym że teraz mieli

jeszcze więcej tematów do rozmowy. John Taylor wrócił, i to równie ostry jak przed laty. Nie mógłbym tego lepiej zaplanować. Dobra, pełna dramatyzmu scena pomoże mi utrzymać ścierwojady z daleka. Zawsze pomaga. Choć trzeba się liczyć z tym, że przyciąga uwagę innych, o których zainteresowanie raczej nie należy zabiegać.

Ruszyłem w stronę odległego końca jamy. Joanna cały czas dreptała u mego boku, teraz jednak rzucała mi nieco dziwne spojrzenia.

- Nie przejmuj się Alekssem - uspokoiłem ją. - To jedyny facet, który cierpi na nieustający zespół napięcia przedmiesiączkowego.

- Te kobiety naprawdę zjadły swojego psa?

Wzruszyłem ramionami.

- Czasy były ciężkie.

- A co zrobiłeś temu biednemu draniowi?

- Zmierzyłem go wzrokiem.

Rzuciła mi ciężkie spojrzenie i najwyraźniej postanowiła odpuścić. I słusznie.

- Kim jest ten Eddie, z którym chcemy rozmawiać? I jak może pomóc mi odzyskać córkę?

- Ostry Eddie - odpowiedziałem. - Uliczny Bóg Brzytwy. Zdobył sobie ksywkę kilka lat temu, w wojnie ulicznych gangów o terytorium. Eddie miał wtedy czternaście lat i już był wyjątkowo zręcznym i okrutnym zabójcą. Specjalistą od operowania brzytwą. Potrafił przy jej pomocy robić paskudne rzeczy. Już wtedy był bardziej niż trochę stuknięty. Przez następne lata zabijał dla każdego, kto miał kasę, albo tylko po to, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Znasz prawdziwie czarujących ludzi - mruknęła. - Jak ktoś taki może nam w ogóle pomóc?

- Moment. Zaraz będzie lepsze. Pewnego dnia Eddie zniknął. Coś mu się przytrafiło na Promenadzie Bogów, coś, o czym do dziś nie chce rozmawiać, a kiedy wrócił, był zarazem bardziej i mniej ludzki. Teraz mieszka w przygodnych bramach, żyje z tego, co mu dadzą inni, je resztki i chadza własnymi ścieżkami, wiodąc przy tym pełne wyrzeczeń, okrutne życie pokutnika w nadziei odkupienia swoich wcześniejszych grzechów. Jego ofiarami są ci źli, na których nikt inny nie śmie nawet krzywo spojrzeć. Którzy myślą, że władza i kasa czynią ich nietykalnymi

i wolnymi od wszelkiej odpowiedzialności czy konsekwencji. Zazwyczaj są znajdowani martwi i nie ma wątpliwości, że ich życie zakończyło się w sposób nie tylko nieoczekiwany i tajemniczy, ale i bardzo bolesny. Tak działa Ostry Eddie. Wyjątkowo niebezpieczny agent dobra. Oczywiście samo dobro nie otrzymało prawa głosu w tej sprawie.

- Znowu robisz mi wykład. - Po raz pierwszy od chwili, gdy przyprowadziłem ją do Nightside, Joanna wyglądała na zaniepokojoną.

- Wszystko, co tak naprawdę ma teraz znaczenie, to czy pomoże on odszukać moją Cathy. Będzie chciał zapłaty?

- Nie. Eddie nie potrzebuje już pieniędzy. Ale wciąż jest mi winien przysługę.

- Boję się zastanawiać za co.

- I słusznie - zgodziłem się.

Zatrzymaliśmy się przed stolikiem umiejscowionym w wyjątkowo odległym i wyjątkowo ciemnym kącie. Po drugiej stronie blatu siedział Ostry Eddie - boleśnie chuda obecność i zbyt obszerne płaszczysko, zespojone razem dzięki sporym pokładom brudu i tłuszczu. Wystarczyło popatrzeć, by człowiek miał ochotę się drapać, a i zapach był odpowiedni do wrażeń wizualnych. Mówiło się, że szczury nurkowały bezpośrednio w kanałach, gdy tylko poczuły woń zbliżającego się Eddiego. Nie zmienił się przez te pięć lat. Ta sama twarz o zapadniętych policzkach i oczach rozpalonych gorączką, ten sam niepokój, który odczuwało się w jego obecności.

Przebywanie obok Eddiego dla większości ludzi oznaczało znalezienie się tak blisko śmierci, jak to tylko możliwe za życia, zanim przyjdzie po nich ta prawdziwa, z nieco dłuższym ostrzem. Eddie lubi wpadać do Obcych Znajomków, żeby przepłukać gardło, zaszyć się gdzieś na tyłach, z dala od światła, ze szklaneczką, którą Alex napęlnia na koszt firmy. W zamian Eddie nigdy nie zabija nikogo na terenie lokalu. Nikt też go tu nie zaczepia.

Na stole stała butelka markowej wody, wokół której kręciło się kilka much. Więcej much kręciło się wokół Eddiego, poza tymi, oczywiście, które podleciały zbyt blisko i padły w powietrzu czy właściwie z braku powietrza. Uśmiechnąłem się, a Uliczny Bóg Brzytwy

odpowiedział mi ponurym skinieniem głowy. Usiadłem naprzeciwko. Smród był dokładnie tak paskudny, jak to pamiętałem, ale lubiłem myśleć, że nigdy nie dopuściłem do tego, żeby te wrażenia znalazły odzwierciedlenie w wyrazie mojej twarzy. Joanna przycupnęła na krześle obok, widziałem, jak stara się oddychać jedynie przez usta. Kiedy Eddie się odezwał, głos miał niski, modulowany, niemalże jak u ducha.

- Cześć, John, witaj w domu. Dobrze wyglądasz. Dlaczego przychodzisz do mnie tylko wtedy, gdy czegoś potrzebujesz?

- Bo niełatwo cię znaleźć, Eddie. No i przerażający z ciebie drań. Więc jak się mają sprawy? Zabiłeś ostatnio kogoś interesującego?

Błądy uśmiech przemknął przez blade wargi.

- Nikogo, kogo byś znał. Słyszałem, że szukasz uciekiniera.

- Skąd pan wie? - nie wytrzymała Joanna.

- W Nightside wieści rozchodzą się szybko - odparł i zwrócił swe płonące spojrzenie na mnie. - Zajrzyj do Fortecy.

Skinąłem głową. Sam powinienem był na to wpaść.

- Dziękuję, Eddie.

- Spotkasz tam Suzie.

- O, dobrze - powiedziałem, starając się sprawiać wrażenie zadowolonego. Suzie i ja mamy wspólną przeszłość. Już miałem wstać, gdy nagle Eddie odwrócił się do Joanny, która aż wzdrygnęła się, uderzona siłą jego wzroku.

- Proszę na siebie uważać przy tym człowieku, proszę pani. John nie jest najbezpieczniejszym możliwym towarzystwem.

- Nawiazujesz do czegoś konkretnego, Eddie? - zapytałam ostrożnie.

- Pewni ludzie cię szukają, John.

- Zawsze szukają mnie jacyś ludzie.

- Ale to są źli ludzie. - Eddie uśmiechnął się łagodnie.

Odczekałem chwilę, ale nie miał już nic więcej do powiedzenia, więc ukloniłem się w podziękowaniu i wstałem. Joanna poderwała się w tym samym momencie. Poprowadziłem ją z powrotem do baru. Oddychała głęboko raz za razem, aż wstrząsnął nią nagły dreszcz.

- Okropny, mały człowieczek. Co to był za odór? Cuchnął jak coś, co

zdechło, a potem zostało ponownie wykopane.

- Są sprawy związane z Eddiem, o które lepiej nie pytać - poradziłem. - Dla własnego spokoju.

Stanęliśmy przy kontuarze. Alex rzucił mi gniewne spojrzenie w ramach powitania.

- Zaczekaj tu - poprosiłem Joannę. - Zawiadomię Fortecę, że wpadniemy. Lepiej nie zaskakiwać ludzi, którzy mają taką ilość broni.

Odsunąłem się nieco, by skorzystać z telefonu przy barze, ale nawet gdy wybierałem numer, wysłuchiwałem automatycznej sekretarki i nagrywałem swoją wiadomość, ani na chwilę nie przestałem przysłuchiwać się rozmowie Joanny z Alekssem. Wrogów trzymaj blisko, a jeszcze bliżej przyjaciół. I klientów. W ten sposób będziesz żył dłużej.

Alex posłał Joannie grymas, który on sam uważa za ujmujący uśmiech. Nie odwzajemniła go.

- Poproszę dużą whiskey. Bez lodu.

- Nareszcie - ucieszył się. - Klient z cywilizowanym gustem. Nie uwierzyłybyś, o co ludzie tu proszą. Jakieś wyszukane piwa, smakowe wódki i cholerne koktajle o nazwach jak tytuły pornosów. Jeden facet zażyczył sobie kiedyś wódki z wywarem z suszonych śliwek! Zwierzę! - Nalał Joannie solidną porcję do wcale czystej szklaneczki.

Patrzyła na niego z namysłem.

- Znasz Johna Taylora.

- W ramach kary za grzechy, owszem.

- Jak dobrze go znasz?

- Na tyle dobrze, na ile mi pozwala - odpowiedział wyjątkowo serio. Wiedziałem, że ma słabość do blondynek, szczególnie takich, które nie pozwalały sobie wmówić byle czego. Dlatego zostawiłem ich razem. Alex oparł się o mahoniowy blat, pochylając w stronę Joanny.

- John nie wierzy w otwieranie się przed innymi. No i minęło pięć lat... Jednak byłem pewny, że któregoś dnia wróci. To miejsce już dawno zapuściło mu szpony w duszę. Urodził się w Nightside i umrze w Nightside, i nie będzie to śmierć ze starości. Zawsze musi odgrywać rolę rycerza na białym koniu i ratować biedaków uwięzionych gdzieś między młotem a kowadłem. Takich, którzy nie mają już kogo prosić o pomoc. John zawsze dawał się złapać na smętne historyjki o pechu i ciężkim

życiu, no i wszystko wskazuje, że ciągle jest na tyle arogancko pewny siebie, żeby wierzyć, że to on wie najlepiej, co jest dobre dla innych.

- Dlaczego został prywatnym detektywem?

- Ma dar znajdowania rzeczy. Jedyłą porządną rzecz, jaką zostawili mu starzy. Znasz tę historię? Tu wszyscy ją znają. Jak to ojciec Johna zabił się, kieliszek po kieliszku, gdy odkrył, że kobieta, którą poślubił, nie do końca była... człowiekiem. Mam podobne odczucie względem mojej byłej żony, niech spoczywa w spokoju.

- Kondolencje - powiedziała Joanna. - Kiedy zmarła?

- Nie zmarła. - Skrzywił się. - To było moje pobożne życzenie.

- Czy mogę zaufać Taylorowi? - zapytała nagle z naciskiem.

- Możesz ufać, że zrobi to, co uzna za najlepsze w danej sytuacji. Co nie jest równoznaczne z tym, że zrobi, co chcesz. Więc raczej bądź ostrożna.

- Ostry Eddie powiedział, że powinniśmy pójść do Fortecy.

Alex skrzywił się na dźwięk tej nazwy, ale zaraz dodał:

- Brzmi całkiem rozsądnie.

- Co to jest? Kolejny pub?

- Nie, nie bardzo. Forteca to ufortyfikowany obóz uchodźców dla Uprawdzonych-Przez-Obcych. Całkiem spora liczba takich ludzi zebrała się raz do kupy, zakupili całe mnóstwo broni i postarali się, by wszyscy dowiedzieli się o tym, że nikt nie będzie ich porywał bez piekielnie zajadłej walki. W każdym pokoju mają zamontowane kamery, więc czuwają jeden nad drugim nawet podczas snu. Niektórzy przylepiają sobie do ciała bomby. Słowo daję, w Fortecy jest wystarczająco dużo broni i amunicji, żeby rozpętać trzecią wojnę światową.

- I co, to działa? - zainteresowała się Joanna.

Alex wzruszył ramionami.

- To nie są ludzie, którym zadaje się tego typu osobiste pytania. Zawsze spodziewają się wizyt Facetów w Czerni. W każdym razie przez lata Forteca stała się mekką tych wszystkich, którzy potrzebują pomocy albo ochrony, albo zwyczajnie bezpiecznego miejsca, by się przyczaić na kilka dni. Mnóstwo uciekinierów przechodzi przez Fortecę.

- To dobrzy ludzie?

- O, jasne. Paranoidalni, brutalni, szaleni jak kot na cracku, ale...

Uznałem, że usłyszałem dość. Odłożyłem słuchawkę i podszedłem do nich. Być może Alex wiedział, że przysłuchuję się tej rozmowie, a może nie wiedział, to nie miało znaczenia. Kiwnąłem głową na Joannę.

- Udało mi się połączyć jedynie z automatyczną sekretarką. Trzeba będzie pofatygować się osobiście, jeśli chcemy uzyskać jakieś odpowiedzi.

- Nie mogę się doczekać. - Jednym haustem opróżniła do dna szklaneczkę. Alex aż zamrugnął na znak głębokiego szacunku. Joanna stuknęła szklanką o blat.

- Zapisz to na rachunek Taylora.

- Szybko się uczysz - stwierdził Morrissey.

Szedłem już w kierunku metalowych schodów, Joanna obok mnie. Nikt nie podnosił wzroku, gdy przechodziliśmy obok. Joanna nagle spojrzała mi w twarz.

- John?

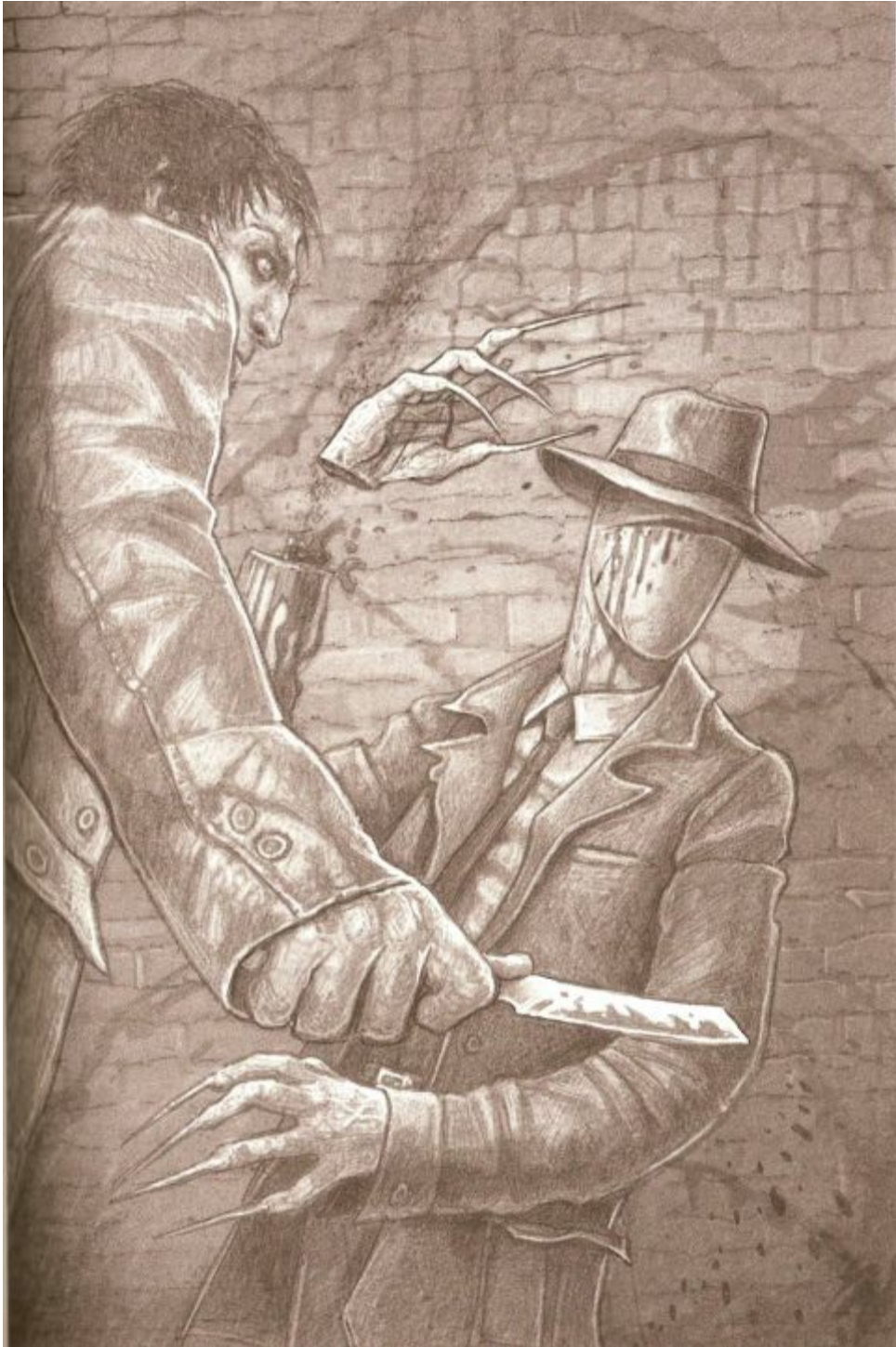
- Tak?

- Czy one naprawdę zjadły swojego psa?

[*] „Elvira, władczyni ciemności” to film zjechany przez krytykę, ale ukochany przez widzów. Ubrana na czarno Elvira stała się jednym z symboli amerykańskiej kultury masowej oraz bohaterką wielu gier komputerowych i komiksów.

PIĘĆ

Udręka



Wyszliśmy z Obcych Znajomków prosto w ponurą ciemność alejki, stalowe drzwi zamknęły się ciężko za nami. W sumie nie poszło najgorzej. Eddie podsunął nam całkiem solidny trop, nikt nie próbował mnie zabić, nikt, kogo należałoby brać serio, a Alex nie wspomniał nawet o moim dawno nieuregulowanym rachunku. Prawdopodobnie dlatego, że potrafi rozpoznać bogatego klienta od pierwszego wejrzenia. Nawet nie chcę myśleć, że mógłby mięknąć wraz z upływem lat.

Joanna rozejrzała się pospiesznie i skuliła się wstrząśnięta nagłym dreszczem. Nic dziwnego. W alejce wiało lodowatym zimnem, grube spirale szronu osiadły na ścianach i kamieniach bruku. Noc nagle stała się zimowa. Joanna popatrzyła na mnie oskarżycielsko, jej oddech gęstniał w zimnym powietrzu.

- No dobrze, co się stało z pogodą? Zanim przeszliśmy przez te drzwi, była miła i ciepła noc!

- My tu właściwie nie mamy pogody - wyjaśniłem cierpliwie. - Ani pór roku. Tu, w Nightside, noc nigdy się nie kończy. Myśl o tych skokach temperatury nie tyle jak o pogodzie, ale raczej jak o nastrojach. Tak miasto wyraża uczucia. Jeśli nie podobają ci się warunki w tej chwili, to poczekaj moment, zaraz się zmienią na inne, choć zapewne równie stresujące. Czasem sobie myślę, że mamy taką pogodę, na jaką sobie zasłużyliśmy. Pewnie dlatego tyle tu pada.

Ruszyłem w dół alejki, Joanna obok mnie, jej obcasy głośno stukały na kamieniach bruku. Szykowała się, by zadać mi jakieś wścibskie pytanie. Widziałem to w jej twarzy.

- Eddie mówił, że szukają cię źli ludzie - odezwała się w końcu.

- Nie martw się. Nightside jest całkiem spore, na tyle duże, byśmy bez trudu mogli się tu zgubić. Znajdziemy twoją córkę i znikniemy niczym sen, zanim zdążą nas dopaść.

- Skoro tutaj zawsze ktoś cię ściga... dlaczego nie trzymasz się jak najdalej od Nightside?

Zrobiłem jej tę uprzejmość i zastanowiłem się chwilę.

To było pytanie zadane jak najbardziej serio, zasługiwało więc na równie poważną odpowiedź.

- Próbowałem przez pięć długich lat. Ale Nightside kusi, ma prawdziwie uwodzicielski urok. W zwyczajnym Londynie nie ma nic, co

mogłoby się z tym równać. To tak, jak gdyby życie było kolorowe, podczas gdy gdzie indziej zaledwie czarno-białe. Wszystko jest bardziej intensywne, pierwotne, prawdziwe. Wszystko ma większe znaczenie. Wiara, czyny, życie... wszystko to zapisuje się o wiele wyraźniej na tym wielkim płótnie wszechświata. Ale koniec końców wszystko też sprowadza się do tego, że tutaj mogę zarobić więcej niż w Londynie. Tutaj jestem kimś, nawet jeśli czasem nie bardzo mi się ów ktoś podoba. A tak przy okazji, nie możesz pozwalać, by ktoś ci mówił, gdzie możesz, a gdzie nie możesz pójść. To nie służy interesom.

- Alex powiedział, że tutaj jest twój dom, miejsce, do którego należysz.

- Tam dom twój, gdzie serce twoje - rzuciłem sentencjonalnie. - A większość ludzi nie ośmiela się tutaj ujawniać, gdzie ma serce. Ktoś z pewnością by je zjadł.

- Eddie mówił, że to źli ludzie - powtórzyła Joanna z uporem. - A wyglądał na takiego, co to doskonale wie, co znaczy źli. Bądź ze mną szczery. Jesteśmy w niebezpieczeństwie?

- Zawsze, póki jesteśmy w Nightside. Tu trafiają ci, których prowadzą pragnienia, o jakich nigdzie indziej nie wypada nawet wspominać. Większość z nich lubi grać ostro. Ale też większość z nich wie, że nie należy ze mną zadzierać.

Spojrzała na mnie rozbawiona.

- Prawdziwy twardziel.

- Tylko gdy okoliczności tego wymagają.

- Jesteś uzbrojony?

- Nie mam pistoletu ani niczego w tym rodzaju - odpowiedziałem. - Nigdy nie czułem takiej potrzeby.

- Też potrafię o siebie zadbać - stwierdziła nieoczekiwanie.

- Nie wątpię - zapewniłem ją. - W przeciwnym wypadku nigdy nie pozwoliłbym ci ze sobą pójść.

- Więc kim jest Suzie, którą wedle Eddiego spotkamy w Fortecy?

Patrzyłem przed siebie nieruchomym wzrokiem.

- Zadajesz niemało pytań.

- Skoro płacę, to i wymagam. Lubię czuć, że dobrze wydałam pieniądze. Kim ona jest? Stara miłość? Stary wróg?

- Tak.
- Przysporzy nam kłopotów?
- Może. Łączy nas przeszłość.

Joanna uśmiechnęła się. Kobiety uwielbiają takie historie.

- Ona też jest ci winna przysługę?

- Nie tyle przysługę, co raczej kulkę w tył głowy. Więc... Wystrzałowa Suzie. Znana też jako Suzie Shotgun, znana też jako „O Boże, to ona, ratuj się kto może”. Jedyne kobiety wyrzucone z SAS za niedopuszczalną brutalność. Pracuje jako łowca nagród w Nightside i sąsiedztwie. Widocznie ma papiery na kogoś, kto ukrywa się w Fortecy.

Joanna przyglądała mi się uważnie, ale wciąż patrzyłem twardo przed siebie i pilnowałem, żeby zachować łagodnie obojętny wyraz twarzy.

- No dobrze - stwierdziła w końcu. - Czy ta Suzie zechce nam pomóc?

- Może, o ile cię stać na tę pomoc.

- Kiedy w grę wchodzi moja córka, pieniądze nie stanowią problemu.

Zerknąłem na nią.

- Gdybym o tym wiedział, zażądałbym więcej. Roześmiała się, ale śmiech zaraz przeszedł w kaszel,

kiedy znów złapały ją dreszcze. Objęła się ramionami.

- Cholera, ale zimno! Ledwie czuję palce. Nie mogę się doczekać powrotu do światła. Może na ulicy będzie choć trochę cieplej.

Zatrzymałem się gwałtownie. Miała rację. Było zimno. Nienaturalnie zimno. A my szliśmy stanowczo zbyt długo, jeśli wziąć pod uwagę, że nadal tkwiliśmy w alejce. Powinniśmy już dawno wyjść na ulicę. Obejrzałem się, by zobaczyć, jak neon Obcych Znajomków słabo połyskuje daleko w ciemności za nami. Spojrzałem w kierunku wylotu alejki - nie zbliżył się nawet o krok od chwili, gdy wyszliśmy z pubu. Rozproszyły mnie pytania Joanny i nie zauważyłem, że alejka nagle się wydłużyła. Ktoś tu bawił się ze strukturą przestrzeni... a ponieważ najwyraźniej pobierał energię z otoczenia, zrobiło się nagle zimno... Czuję, jak wokół mnie zatrząskuje się pułapka. Teraz, kiedy wreszcie wiedziałem, gdzie patrzeć, mogłem dostrzec magię w

powietrzu, trzeszczącą niczym wylądowania statyczne i podnoszącą mi włoski na ramionach. Wydawało mi się, że wszystko wokół widzę ze sporej odległości, dźwięki były stłumione i spowolnione, zupełnie jakbyśmy byli pod wodą. Ktoś kontrolował przestrzeń wokół nas i nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że właśnie zamknął pokrywę pudełka.

U wylotu alejki pojawiło się sześć sylwetek. Sześciu facetów w garniturach blokujących przejście i czekających, bym do nich podszedł.

- Następnym razem, gdy zechce ci się wdawać w bójkę - szepnęła Joanna - zrób to w swoim czasie wolnym. Wygląda na to, że tato Ffincha-Thomasa przysłał posiłki.

Skinałem głową, starając się ze wszystkich sił, by ulga jaką czułem, nie była widoczna na mojej twarzy. Oczywiście, Ffinch-Thomas i jego pogrożki. Magia druidów i honor miastowych. Nie ma sprawy. Byłem gotów stawić czoła i tuzinowi yuppie, którzy mają ambicję stać się druidami. I wszystkich odesłać z rykiem do mamusi. Czar spowijający alejkę rozwieje się jak dym, gdy zniszczę ich koncentrację, stosując niewielką dawkę wypraktykowanej brutalności.

Nagle alejkę zalało bladoczerwone światło, kąpiąc otoczenie w niezliczonych odcieniach krwi, jakby Ktoś inny miał zamiar oglądać przedstawienie, i dopiero teraz zobaczyłem, co właściwie czekało mnie na końcu alejki.

I wewnątrz skręcił mi strach tak potężny, że niemal się porzygałem.

Stali razem, sześciu, z daleka wyglądali jak ludzie, choć ludźmi nie byli. Ludzkie były zaledwie ich kształty, ale nie natura. Nosili czarne, proste garnitury, schludne wąskie krawaty, wypolerowane buty i kapelusze o opuszczonych ciężkich rondach, ale było to tylko przebranie. Coś, co pozwalało im choć na moment wtopić się w tłum, przejść ulicą incognito, bez akompaniamentu krzyków grozy. Nawet skuteczne, ale jedynie tak długo, póki nie zajrzało się pod opuszczone rondo, gdzie powinna być twarz. Nie mieli twarzy. Tylko skórę, gładką płaszczyznę od podbródka do czoła. Nie mieli oczu, choć mogli widzieć. Nie mieli uszu, choć mogli słyszeć. Nie mieli ust i nosów, ale i nie potrzebowali oddychać. I było coś absolutnie przerażającego w tym widoku, jak policzek wymierzony naturze i zdrowemu rozsądkowi,

ohyda przyprawiająca o mdłości każdego normalnego człowieka.

Znałem ich. Byli szybcy i silni, nigdy się nie męczyli i raz wysłani nigdy nie porzucali tropu, choćbyś ukrył się na samym dnie piekieł, nigdy się nie wahali i nigdy nie rezygnowali. Widziałem, jak dosłownie rozrywali ludzi na kawałki, a potem przechodzili ponad wrzeszczącymi z bólu strzępami. O tak, znałem ich z dawnych czasów. Ruszyli w moją stronę, spokojnie, bez pośpiechu, w idealnej harmonii i absolutnej ciszy, nie towarzyszył im nawet odgłos kroków.

Z gardła wydobył mi się odgłos, jaki wydaje lis, widząc zbliżające się psy myśliwskie. Albo człowiek, który nie może obudzić się z najgorszego z koszmarów. Bałem się tak bardzo, że drżałem cały, a po twarzy płynęły mi grube krople potu. Moje własne strachy, demony, moi prześladowcy z czasów, gdy jeszcze byłem dzieckiem. Dopadli mnie. Joanna zauważyła mój strach i natychmiast też zaczęła się bać. Widziała, z czym radziłem sobie bez trudu, odgadła więc, że tym razem niebezpieczeństwo jest poważne. Nie miała pojęcia jak bardzo. W głębi duszy wrzeszczałem opętańczo ze zgrozy. Po tych wszystkich latach ukrywania się, uciekania, dopadli mnie. Teraz miałem umrzeć powolną, bolesną i krwawą śmiercią, a ci, którzy znajdą moje szczątki, będą rzygać z obrzydzenia. Widziałem już, co moi prześladowcy robili z ludźmi.

Spojrzałem przez ramię, zastanawiając się, czy zdążę dotrzeć do Obcych Znajomków. Przebiegłbym przez salę, na zaplecze, w dół do piwnic... Ale oni już tam byli. Kolejnych sześciu, stojących razem, odgradzających mnie od nadziei i bezpieczeństwa. Nawet nie wyczułem, że nadchodzą. Zbyt wiele czasu spędziłem w zwyczajnym świecie. Stałem się miękki, nieostrożny. Spojrzałem na tamtych sześciu, którzy szli w moją stronę. Oddech miałem ciężki, dłonie zaciskały się i otwierały bezradnie.

- Co... Co to jest? - Joanna wczepiła się oburącz w moje ramię. Była tak przerażona jak ja.

- To Siewcy Udręki - powiedziałem głosem niewiele mocniejszym od szeptu. Ledwie mówiłem. Usta miałem wyschnięte na wiór, a gardło zdławiła mi niewidzialna pętla. - Szukają mnie od zawsze. To sama śmierć, morderstwo, które przybrało prawie ludzkie kształty.

- Żli ludzie, o których mówił Eddie?

- Nie, to ich wysłannicy. Ci, których zawsze wysyłają, by mnie zabili. Ktoś mnie zdradził. Nie mogli mnie wyśledzić tak szybko, zastawić tak doskonałej pułapki w tak krótkim czasie. Ktoś im powiedział, gdzie mnie szukać. Ktoś mnie sprzedał. Siewcom.

W czasie gdy plotłem, co ślina na język przyniosła, mój umysł pracował wściekle. Musiało być jakieś wyjście. Musiało. To nie mogło się skończyć w tak głupi sposób, nie mogłem umrzeć wypatroszony w jakiejś ponurej alejce, i to przez bezsensowną sprawę.

- Możesz z nimi walczyć? - w głosie Joanny pobrzmiwały wysokie, histeryczne tony.

- Nie, moja torba ze sztuczkami jest już pusta po tak długim czasie.

- Ale ty jesteś twardzielem!

- Oni są większymi.

- Nie możesz... po prostu... zmierzyć ich wzrokiem?

Jak Ffincha-Thomasa? - głos jej się załamał. Teraz zobaczyła ich dokładniej. Siewców Udręki.

- Nie mają oczu! - powiedziałem i w moim głosie też zadźwięczała histeria. - Nie można ich zranić, bo niczego nie czują. Nie można ich zabić, bo tak naprawdę nie są żywi.

Sięgnąłem po dar. Większość moich umiejętności wciąż pozostawała uśpiona gdzieś z tyłu głowy po pięciu latach lenistwa. Brutalnie zmusiłem je do pracy. Wiedziałem, że zapłacę za to później bolesną cenę. O ile będzie jakieś „później”. Starłem się ze wszystkich sił, badając umysłem otaczający mnie czar, szukając jego słabości. Droga w górę i w dół alejki była niedostępna, ale może mury... Potrafię znajdować rzeczy, więc robiłem, co mogłem, by znaleźć wyjście. Mury były z solidnej cegły, jednak tutaj, w Nightside, w ścianach może kryć się niejedno. Moje trzecie, wewnętrzne oko wkrótce odkryło zarys starych drzwi, schowanych pod cegłami i zaprawą terażniejszości. Drzwi doskonale ukrytych przed wszystkimi, którzy nie mają daru. Wyglądały na nieotwierane od wielu lat, ale ich terażniejsza inercja była niczym w porównaniu z siłą mojej desperacji. Uderzyłem w nie całą mocą mojego umysłu i przestrzeń zadrżała.

Siewcy lekko unieśli głowy, wszyscy razem, równo, coś wyczuwali.

Ponownie uderzyłem drzwi, a one w odpowiedzi jęknęły potępieńczo i uchyliły się nieco. Wokół skrzydła zapłonęło jasne światło, sączyło się w alejkę, pokonując upiorny krwawy blask. Światło słoneczne, czyste i nieskażone. Siewcy cofnęli się odrobinę. Słyszałem, jak za uchylonymi drzwiami wyje wiatr, dziki i gniewny, to był dźwięk wolności.

- Co to? - wykrztusiła Joanna.

- Nasza droga ucieczki - mój głos brzmiał o wiele mocniej. - Tu, w Nightside, jest wiele słabych punktów, rys, pęknięć, jeśli tylko wiesz, gdzie szukać. Chodź. Spadamy stąd.

- Nie mogę.

- Co?

- Nie mogę się ruszyć!

Spojrzałem na nią. Nie żartowała. Jej twarz był biała niczym czaszka obrana z mięsa, oczy wytrzeszczone jak u zwierzęcia w rzeźni, dłonie zaciskały się boleśnie na moim ramieniu.

- Boję się, John! Boję! Nie mogę... nie mogę się ruszyć. Nie mogę oddychać. Nie mogę myśleć!

Panikowała. Przegrała z histerią i strachem. Dla niej Nightside okazało się nie do zniesienia. Widziałem to już wcześniej. Musiałem działać za nas oboje. Pociągnąłem ją ku drzwiom, ale jej nogi nie chciały współpracować, upadła, jakoś tak dziwnie bezwładnie osunęła się na bruk, niemalże ciągnąc mnie za sobą. Oderwałem jej dłonie od swojego rękawa, a wtedy ona skuliła się na ziemi, dygocząc i płacząc bezradnie. Spojrzałem na drzwi, a potem na zbliżających się Siewców. Były tak daleko, a oni tak blisko. Nie mogłem jej wlec. Wciąż jednak miałem szansę uciec. Mogłem dopaść drzwi, otworzyć je szerzej, przecisnąć się na drugą stronę i zatrzaskać je za sobą. Bezpieczny. Ale to oznaczałoby pozostawienie klientki. Zabiliby ją. W potworny sposób. Po części dlatego, że nie zostawiali świadków, a po części jako wiadomość dla mnie i innych. Robili tak wcześniej.

Była dla mnie nikim. Pieprzona Joanna Barrett, kasa, duma i zasmarkane maniery ważniaczki. Przyciągnęła mnie tutaj, do Nightside, choć wiedziałem, że to głupi pomysł. Sprawiała, że było mi jej żal, jej i jej pieprzonej, durnej córeczki. Nic nie byłem im dłużny. Nic, co mogłoby mnie skłonić do ryzykowania życiem w jej obronie. Nie mogła biec.

Upadła. Sama jest sobie winna. Musiałem jedynie zostawić ją Siewcom i byłbym bezpieczny.

Zwróciłem się w stronę drzwi i zwolniłem mentalny chwyt. Zatrzasnęły się z hukiem w mgnieniu oka, gasząc jasne światło słońca, i alejkę na powrót zalał wstrętny rdzawy poblask. Cofnąłem się, by stanąć nad Joanną, zacisnąłem pięści. Może nie była moją przyjaciółką, czy też nawet sprzymierzeńcem, ale była klientem. Nie zliczę, ile razy zdołałem zawieść sam siebie, ale zawsze robiłem wszystko, by nie zawieść klienta. Człowiek musi mieć choć odrobinę szacunku do samego siebie.

Odrzuciłem resztkę dumy i pozwoliłem sobie na jeden, ostatni mentalny krzyk o pomoc. Nie żebym spodziewał się wielkiego zainteresowania, nie w Nightside, ale może Alex usłyszy... może coś zrobi. Ale gdy otworzyłem umysł, myśli Siewców zalały mnie gwałtowną falą. Ogłuszająca kakofonia obcego jazgotu, całkowicie nieludzka, wdarła mi się do głowy, starając się zagłuszyć moje własne myśli. Musiałem zamknąć umysł w samoobronie. Zrozumiałem, że nie będzie pomocy, żadnej kawalerii, żadnego ratunku w ostatniej chwili. Jak zawsze byłem zdany na siebie, samotny w niekończącej się nocy. Tylko ja, moi wrogowie, no i moje gardło.

Siewcy zbliżyli się, sześciu od przodu, sześciu z tyłu, nie spieszyli się, teraz gdy już wiedzieli, że nie mam dokąd uciec. Poruszali się bezszelestnie, niczym duchy lub cienie, albo myśl o śmierci. Ich puste twarze były straszniejsze niż jakikolwiek morderczy grymas. Ich cel był oczywisty, ruchy - krótkie, oszczędne, doskonale synchroniczne. Pozbawione gracji - to była cecha zbyt ludzka jak dla nich. Uniosłem pięści w ostatnim geście wyzwania, a oni w odpowiedzi podnieśli blade dłonie. Po raz pierwszy ujrzałem wąskie palce, z pozbawionych paznokci opuszków wystawały długie na cal igły do zastrzyków podskórnych, z każdej kapał zielony płyn. To było coś nowego. I nagle, w głębi duszy, głębiej niż najgłębsze instynkty, narodziła się pewność. W czasie mojej nieobecności reguły gry uległy zmianie. Siewców nie przysłano, by mnie zabić. Mieli skłuć mnie tymi igłami, naćpać, aż już nie będę mógł się bronić i zawlec... gdzieś. Do swoich tajemniczych nieznanym panów. Do złych ludzi.

Chyba krzyczałem. Zrozumiałem, że odmówiono mi łaski godnej,

szybkiej, nawet jeśli paskudnej, śmierci. Moi wrogowie zaplanowali dla mnie coś, co zajmie wiele więcej czasu, coś powolnego. Tortury, horror, szaleństwo, może mieli zamiar zmusić mnie, bym im służył. Powtarzał ich słowa, wykonywał polecenia, podczas gdy maleńka część mnie będzie skowyczeć bezradnie w cierpieniu, uwięziona tuż za moimi oczyma. Prędzej umrę. Bałem się tak bardzo, że poczułem, jak ogarnia mnie złość. Do diabła z tym, do diabła z nimi wszystkimi. Nawet jeśli nie mogłem uciec, wciąż jeszcze mogłem ich pokonać. Zmuszę ich, by mnie zabili, i w ten sposób pozbawię zwycięstwa i okazji do triumfu nade mną.

I, kto wie, być może, jeśli zdołam utrzymać ich z dala wystarczająco długo, to w końcu znajdę sposób, by wyjść cało z tego bałaganu. Cuda zdarzają się czasem tutaj, w Nightside.

Kiedy pierwszy z Siewców znalazł się dostatecznie blisko, walnąłem go wprost w tę pustą twarz, wkładając w cios całą siłę. Moja pięść zatnęła głęboko w miejscu, gdzie ludzie zwykli mieć nos. Miękkie ciało poddało się, rozciągając nienaturalnie, jak ciasto. Wyrwałem dłoń, czując, jak biała skóra odkleja się z obrzydliwym mlaśnięciem. Stwór ledwie się zachwiał. Obróciłem się błyskawicznie, uderzając kolejnych. Byli szybcy, ale ja byłem szybszy. Byli silni, ale ja byłem zdesperowany. Przez moment udawało mi się ich trzymać na dystans tylko dzięki czystej furii, ale równie dobrze mógłbym uderzać w zwłoki. Ich ciała poddawały się ciosom, jak gdyby były puste w środku i może rzeczywiście tak było. Byli naczyniem na nienawiść moich wrogów. Uderzenia nie robiły na nich większego wrażenia, przyjmowali je i chwilę później wracali po następne. Ich zbrojne w igły dłonie sięgały ku mnie z każdej strony, niczym węże, raz po raz próbując zatruć mnie swoim jadem. Atakowali z tą bezmyślną nieustępliwością właściwą maszynom i jedyne, co mogłem, to wciąż się ruszać, robić uniki, parować ciosy, odrobinę wolniej z każdym bolesnym wdechem. Igły rozdarły mój płaszcz, na materiale zostały bladozielone plamy. Wkurzyłem się na tyle, by podnieść jednego z nich i cisnąć nim o ścianę. Zwykłemu człowiekowi połamałbym kości, ale Siewca jedynie rozpląszczył się lekko na twardych ceglach, a potem znów ruszył na mnie, jak koszmarna zabawka, której nie można zniszczyć.

Pozbawione twarzy, uczuć, żalu, absolutnie ciche. Niczym koszmary senne. Wrzasnąłem do Joanny, nakazując jej biec, bo upiory wciąż były zajęte mną, ale ona leżała tylko bez ruchu, z ustami otwartymi jak do krzyku. W wytrzeszczonych oczach widziałem jedynie szok i strach. Siewcy otoczyli mnie całkiem. Byłem już tak strasznie zmęczony i przemarznięty. Jedyne, co mogłem jeszcze zrobić, to spróbować zmusić Siewców, by działali przeciw sobie, by kłuli siebie nawzajem, nie mnie. Nawet najpotężniejszy gniew czy przerażenie mogą napędzać tylko przez jakiś czas, gonilem resztkami sił, a i tych szybko ubywało. Próbowałem wymyślić, jak skłonić Siewców, by mnie zabili, gdy nagle jakiś cień zjawił się między nimi i wszystko się zmieniło.

Głowy Siewców Udręki odwróciły się równiutko, jak na komendę, nagle zdali sobie sprawę, że nie są już sami ze swoją ofiarą. Coś jeszcze pojawiło się w alejce, coś straszniejszego i nawet bardziej niebezpiecznego niż oni sami. Czuli to, tak jak drapieżnik zawsze wyczuje rywala. Zapomnieli o mnie, przynajmniej na chwilę, a ja wdzięcznie osunąłem się na kamienie tuż obok Joanny. Serce tłukło mi się boleśnie w klatce żeber, spazmatycznie walczyłem o łyk powietrza. Joanna zarzuciła mi ramiona na szyję, wczepiła się z całych sił i, ukrywając twarz na mojej piersi, dygotała. Ja patrzyłem na sceny rozgrywające się w alejce.

Siewcy rozglądali się, a ich puste twarze poruszały się równocześnie, jak gdyby kierowała nimi jedna myśl. Byli zmieszani i dezorientowani. Tego nie było w planie. I nagle jedna z twarzy zaczęła wyraźnie różnić się od innych. Cienka czerwona linia przecięła pustą płaszczyznę tam, gdzie powinny znajdować się oczy, i natychmiast spłynęła krwią. Siewca z wahaniem uniósł dłoń ku krwawym śladom, jakby chciał zbadać cięcie. A wtedy znikąd popłynął ku niemu cień, szybko jak myśl, i zbrojna w igły dłoń zachybotła się i odpadła, równiutko obcięta w nadgarstku. Krew trysnęła strumieniem, który w zmrożonym powietrzu natychmiast otoczył gęsty woal pary. A ja się uśmiechnąłem, grymas paskudnej złośliwej satysfakcji wykrzywił mi usta, bo właśnie odgadłem, kto przybył mi na ratunek. Już było po wszystkim. Siewcy przegrali. Tylko jeszcze o tym nie wiedzieli.

Coś poruszało się między istotami bez twarzy, zbyt szybko, by można to było zobaczyć. Krew parowała w powietrzu, lejąc się z tysiąca ran. Siewcy próbowali walczyć, ale bezskutecznie, trafiali tylko siebie nawzajem. Próbowali uciekać, ale dokądkolwiek się zwrócili, cień już tam był i ciało, rozrywał ich na strzępy, rozcinał na kawałeczki. Nie mogli krzyczeć, ale z przyjemnością myślałem, że w tych ostatnich momentach istnienia dane im było poznać choć ułamek tego przerażenia i cierpienia, jakie zwykle stawało się udziałem ich ofiar.

Minęło kilkanaście sekund i było po wszystkim. Tuzin Siewców, śmiercionośnych psów na moim tropie, przestał istnieć. Zostały po nich setki, a może nawet tysiące maleńkich kawałków rozrzuconych w alejce. Niektóre wciąż jeszcze się ruszały. Posępne ceglane mury ociekały teraz krwią, a bruk był śliski i czerwony, z wyjątkiem niewielkiego kręgu, w którym kuliliśmy się z Joanną. A tuzin pustych twarzy, zdartych fachowo z bezkształtnych czaszek, został przybity ładnie i równo obok zamkniętych drzwi wiodących do Obcych Znajomków.

Zgasł krwawy blask, teraz alejka była zwyczajnie mroczna. Odpuścił też kłujący mróz. Mamrotałem do

Joanny uspokajająco, aż jej ramiona powoli zaczęły się rozluźniać, wtedy mogłem skinąć głową nieruchomej postaci stojącej pod niewielkim neonem.

- Dzięki, Eddie.

Uliczny Bóg Brzytwy uśmiechnął się blado, wciskając ręce głębiej w kieszenie swojego płaszczyska. Nie było na nim nawet kropli krwi.

- Dług spleacony, John.

Sposób, w jaki to powiedział, sprawił, że natychmiast połączyłem kilka elementów układanki.

- Wiedziałeś, że mnie zaatakują!

- Oczywiście.

- Dlaczego nie zjawileś się wcześniej?

- Bo chciałem się przekonać, czy wciąż jeszcze masz to coś.

- Mogłeś chociaż coś powiedzieć! Dlaczego mnie nie ostrzegłeś?

- Bobyś nie posłuchał. Bo chciałem przesłać wiadomość szefom Siewców. I bo nienawidzę być komuś coś dłużny.

Wtedy zrozumiałem.

- To ty im powiedziałaś, że tu będę.

- Witaj w domu, John, stare śmieci nie były takie same bez ciebie.

Coś przemknęło jak drgnienie cienia, może powiew wiatru, i nikogo już nie było pod neonem. Alejka była pusta, o ile nie liczyć kawałków ciał na bruku. Powinienem był wiedzieć. W Nightside każdy ma swój własny plan.

- To koniec?

- Tak. Już po wszystkim.

- Przepraszam. Powinnaś pobiec. Ale byłam przerażona. Nigdy jeszcze w życiu tak się nie bałam.

- W porządku - powiedziałem. - Nie każdy wrzucony na głęboką wodę od razu potrafi pływać. Nic w twoim dawnym życiu nie mogło przygotować cię na spotkanie z Siewcami Udręki.

- Zawsze uważałam, że potrafię dać sobie radę ze wszystkim - szepnęła. - Zawsze musiałam być twarda, być wojownikiem, żeby bronić swoich interesów, interesów mojego dziecka. Znałam reguły gry i wiedziałam, jak się w nią gra. Jak wykorzystać... swoje atuty, żeby dostać to, co chcę, żeby pokonać innych. Ale to... to okazało się być ponad moje siły. Czulałam się jak małe dziecko. Zagubiona. Bezradna. Krucha.

- Tu reguły wcale nie są takie znów inne - odezwałam się po chwili.

- Wciąż chodzi o to, że tym potężnym morderstwo też ujdzie na sucho. Ale kilku z nas nie da się łatwo pokonać. Stajemy w swoim narożniku i walczymy, pomagamy tym, którym możemy, bo tak trzeba.

- Mój bohaterze. - Uśmiechnęła się lekko po raz pierwszy.

- Nie jestem bohaterem - zaprotestowałam. - Ja tylko znajduję rzeczy. Nie jestem bohaterem, który posprząta Nightside. Jest zbyt duże, a ja zbyt mały. Jestem facetem, który używa swojego daru, by pomóc innym. Ponieważ każdy powinien mieć kogoś, do kogo mógłby się zwrócić w potrzebie.

- Nigdy nie spotkałam mężczyzny godnego mojego szacunku - odpowiedziała Joanna. - Aż do teraz. Mogłeś uciec i mnie zostawić. Ocalić własną skórę. Ale tego nie zrobiłeś. Mój bohaterze.

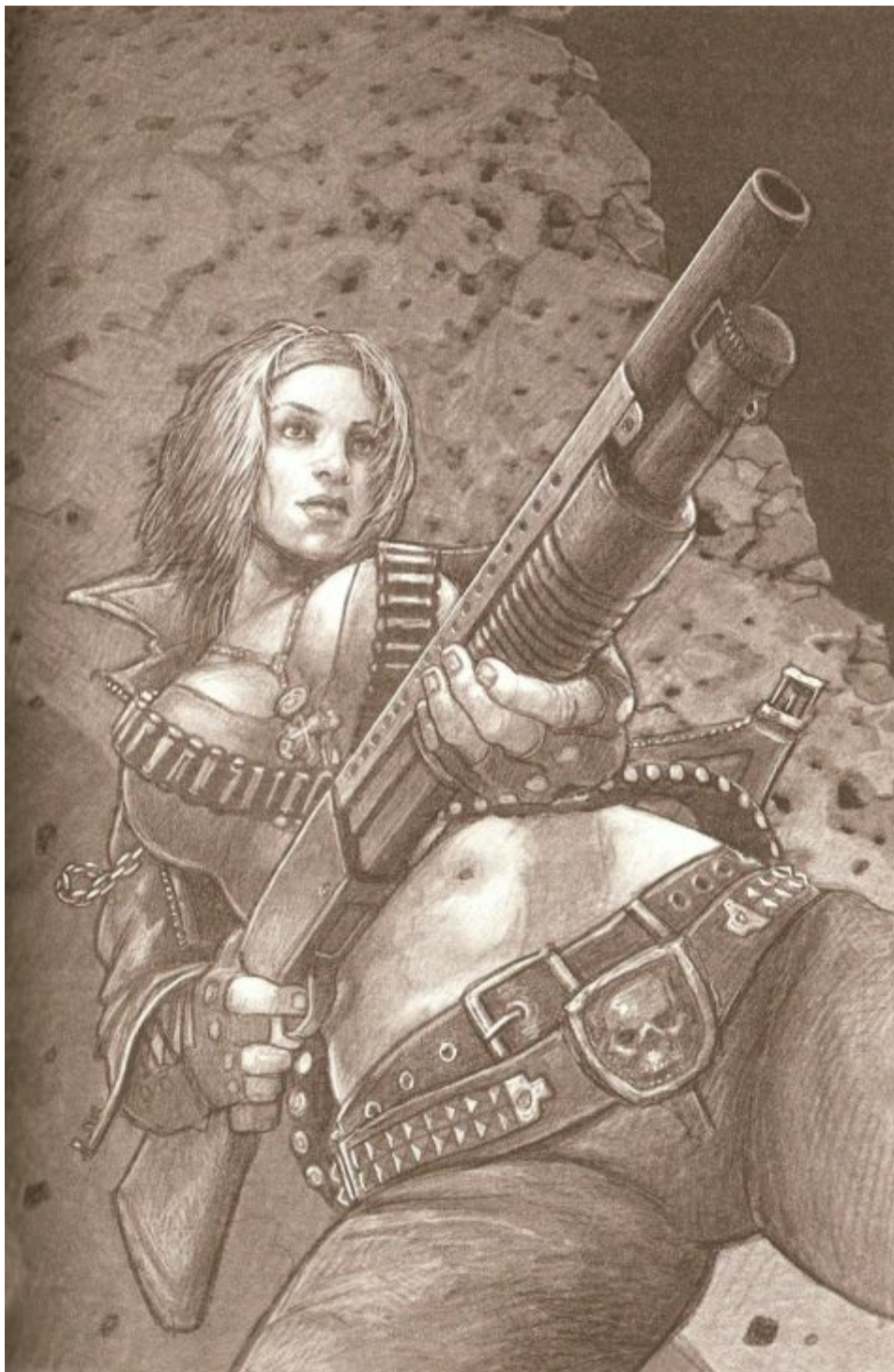
Uniosła ku mnie twarz i po sekundzie nasze usta spotkały się w pocałunku. Trzymałam ją w ramionach, ciepłą i miękką, tak blisko

mnie, i po raz pierwszy od długiego czasu poczułem, że żyję. Przez chwilę nawet czułem się szczęśliwy. Zupełnie jakbym obudził się w innym świecie.

Potem przycupnęliśmy na krwawym bruku i tuliliśmy się do siebie. I nic więcej nie miało znaczenia.

SZEŚĆ

Szturm na Fortecę



Wynająłem konia i powóz, bo byłem zbyt poturbowany, by iść do Fortecy pieszo. Myśl o tym, żeby przysiąc, okazała więcej niż kusząca. No i niewątpliwie powinienem zniknąć z ulicy choć na chwilę. Koń zbliżył się do nas klusem, dzikim wzrokiem łypiąc na każdego, kto próbował zajechać mu drogę. Była to ogromna bestia z Clydesdale, biała niczym księżyc, o szerokiej piersi i podkutych srebrem, masywnych kopytach. Ciągnęła zgrabny, dziewiętnastowieczny powozik z hebanu i drzewa sandałowego z solidnymi miedzianymi wykończeniami. Mężczyzna na koźle, odziany w wielgachny skórzany płaszcz, dzierzył długą na pięć stóp rusznicę, której kolba lśniła ofensywnymi czarami i pieczęciami. Gość rozglądał się uważnie, gotów wypalić ze swej fuzji pod byle pretekstem, podczas gdy koń manewrował powozikiem. Pani *'nic mnie nie wzruszy'* Barrett zdołała już się pozbierać i odzyskać formę, choć brakło jej nieco wcześniejszej arogancji. Koń zauroczył ją od pierwszego wejrzenia. Podeszła do niego, poklepała po silnej szyi, pieścotliwie potarła miękkie nozdrza. Rumak parsknął z aprobatą.

- Co za przepiękne zwierzę - zaćwierkała. - Myślisz, że chciałby nieco cukru? Albo cukierka?

- Nie, dziękuję, proszę pani - odezwał się koń. - Od cukru mam dziury w zębach. A nienawidzę chodzić do dentysty. Ale nie odmówiłbym marchewki, jeśli ma pani przypadkiem takową przy sobie.

Joanna zamrugła kilkakrotnie, a potem rzuciła mi oskarżycielskie spojrzenie.

- Robisz to specjalnie. Za każdym razem, gdy już prawie, prawie udaje mi się oswoić z tym miejscem, ty wyskakujesz z czymś takim! Przysięgam, teraz to już moje nerwy tylko siedzą w kącie i szlochają rozpaczliwie. - Wróciła spojrzeniem do konia. - Przykro mi. Żadnej marchwi.

- W takim razie proszę wsiadać i nie marnować mojego czasu - polecił zwierzak. - Czas to pieniądz w tym biznesie, a ja potrzebuję pieniędzy na opłaty.

- Przepraszam - zaczęła niepewnie - czy mam rozumieć, że to jest pański powóz? Pan tu rządzi?

- Ma się rozumieć, że ja - odpowiedział koń. - A czemu by nie? To ja odwalam całą ciężką robotę. W każdą pogodę i niepogodę, mam już

odciski na piersi od tej uprząży. I znam tu każdą drogę, uliczkę, każdą trasę i każdy objazd, i całą masę skrótów, których nie ma na żadnej mapie. Wystarczy wymienić miejsce, a zawiozę tam panią szybciej niż jakakolwiek przekłeta taksówka.

- A... a dżentelmen na koźle? - indagowała Joanna.

- Stary Henry? On tylko pobiera opłaty, wydaje resztę i trzyma gnata. Nikt z nami nie zadziera, jeśli nie chce wracać do domu z płucami w wiaderku. Poręczna sprawa takie ręce. Jak spłacę kredyt, to chyba zainwestuję w parę cybernetycznych ramion. Choćby tylko po to, by móc się podrapać po przekłętym nosie. A teraz proszę mi powiedzieć, będziemy tak stać i gawędzić całą noc, za co policzę ekstra, czy też faktycznie gdzieś pojedziemy?

- Znasz drogę do Fortecy? - odezwałem się.

- Jasne. Nie ma sprawy. Ale wyrzucę was na końcu ulicy. Nigdy nie wiadomo, kiedy ci wariaci zaczną strzelać.

Stary Henry mruknął coś z aprobatą i machnął fuzją. Otworzyłem Joannie drzwi powozu, a ona wsiadła bez słowa, wciąż jeszcze oszołomiona. Poszedłem w jej ślady i trzasnąłem drzwiami. Siedzenia, obite czerwoną skórą, były bardzo wygodne. Wnętrze nie było specjalnie przestronne, ale za to przytulne. A i resory musiały być całkiem niezłe, bo pojazd prawie płynął nad ulicą.

- Nie lubię taksówek - wyznałem Joannie, kiedy już zdołała otrząsnąć się z zaskoczenia. - Nigdy nie wiadomo, dla kogo tak naprawdę pracują albo komu donoszą. A kierowcy zawsze chcą gadać o polityce. Te kilka powozów, które kursują po Nightside, zachowało niezależność. Konie są wyjątkowo uparte w tym względzie. Zwróć uwagę, że Stary Henry nie trzyma żadnych lejców, wszystkie decyzje podejmuje sam koń. Pomijam już fakt, że Henry potrzebuje obu rąk, by obsługiwać tę swoją broń masowej zagłady.

- Po co mu ta strzelba? - głos Joanny znów był normalny.

- Żeby trzymać resztę pojazdów na stosowny dystans. Nie wszystko, co wygląda jak samochód, jest samochodem. No i nigdy nie wiadomo, kiedy trolle znów uznają, że porywanie środków lokomocji jest jednak opłacalne.

- Odczuwam wyraźną potrzebę zmiany tematu - mruknęła. -

Opowiedz mi o tej Wystrzałowej Suzie, na którą możemy się natknąć w Fortecy. Brzmi... fascynująco.

- I taka właśnie jest Suzie, nawet więcej niż fascynująca. - Uśmiechnąłem się. - Ściga różnych złoczyńców, niczym wielki łowczy lisa na polowaniu. Gdziekolwiek by się ukryli, ona podąży za nimi, nie ma takich zabezpieczeń, których by nie sforsowała. Nie należy może do najsubtelniejszych osób, ale z pewnością do tych najbardziej zdeterminowanych. Nigdy nie odrzuciła zlecenia, żaden cel nie jest dla niej zbyt niebezpieczny, jeśli tylko cena jest odpowiednia. Używa każdego rodzaju broni, kilka nawet sama wymyśliła, ale najbardziej lubi shotguna. Pompkę. Jeśli chcesz znaleźć Suzie, musisz iść śladem wyważonych drzwi, rozbryzgów krwi na ścianach i rozpaczliwych wrzasków. W jej obecności albo rozpoczyna się walka, albo walczący kładą się trupem. Szatan nie baba.

- Byliście ze sobą... blisko? Mówiłeś, że macie wspólną przeszłość...

- Pracowaliśmy razem nad kilkoma sprawami, ale Suzie nie dopuszcza blisko nikogo. Chyba nie wie jak. Mężczyźni pojawiali się w jej życiu i zazwyczaj znikali z niego, uciekając, aż się kurzyło.

- Ostry Eddie, Suzie Shotgun... znasz wyjątkowo interesujących ludzi. A znasz jakichś zwyczajnych?

- Zwyczajni ludzie z zasady nie wytrzymują długo w Nightside.

- Suzie pomoże nam czy przeszkodzi?

- Trudno powiedzieć - wyznałem szczerze. - Nie jest najłatwiejszym partnerem w robocie, szczególnie gdy zamierzasz przyprowadzić swoją zwierzynę żywą. Została łowcą nagród, bo to najlepszy sposób, żeby legalnie strzelać do ludzi.

- Ale lubisz ją, prawda? Słyszę to w twoim głosie.

- Wiele przeszła. Przetrwiała rzeczy, które połamałyby kogoś mniejszego kalibru. Podziwiam ją.

- Ufasz jej?

Uśmiechnąłem się lekko.

- Tutaj nie ufa się nikomu. Powinnaś już to wiedzieć.

Skinęła głową.

- Ostry Eddie.

- Właśnie. A on jest moim przyjacielem. Przeważnie.

Resztę drogi spędziliśmy w milczeniu. Każde z nas miało sporo do przemyślenia. Joanna większość czasu wyglądała przez okno. Ja nie. Już to wszystko kiedyś widziałem. Wreszcie powóz się zatrzymał, a koń wrzasnął, że dojechaliśmy na miejsce. Wsiadłem pierwszy i zapłaciłem Staremu Henry emu, podczas gdy moja klientka korzystała z okazji przyjrzenia się Fortecy. Upewniłem się, że Stary Henry otrzyma suty napiwek, taki, który zapamięta. Nigdy nie wiadomo, kiedy będę gwałtownie potrzebować podwoły. Koń czekał na potwierdzenie od Henry ego, że wszystko jest w porządku, i chwilę później ruszył w dalszą drogę. A ja podszedłem do Joanny, która wciąż gapiała się na Fortecę. A było na co patrzeć. Przez pięć ostatnich lat nic tu się nie zmieniło.

Na początku był tu dyskont. Towar składowany ciasno, sprzedawany tanio i bez możliwości zwrotu. Handlowali głównie bronią z dowolnego czasu czy miejsca, bez zadawania zbędnych pytań. Niestety, zrobili ten błąd, że zalali rynek. Nawet w Nightside istnieje skończona liczba osób, które muszą kogoś zabić w danej chwili. Właściciele Fortecy próbowali więc wzniecić kilka wojen, żeby zwiększyć popyt, i wtedy wtrąciły się Władze. Następnego dnia nieruchomości wystawiono na sprzedaż. Uprowadzeni-Przez-Obcych przejęli ją w całości, razem z wyposażeniem i zalegającym towarem.

Forteca była przysadzistym budynkiem o kilku kondygnacjach i oknach zabezpieczonych stalowymi okiennicami. Drzwi również posiadały specjalne wzmocnienia. Na płaskim dachu rozsiadło się parę ciężkich karabinów, a ich lufy omiały przestrzeń wokół i nad budynkiem. Pełno też było elektroniki. Do murów nie miał szans zbliżyć się nikt, kto nie został uprzednio dokładnie zbadany. Słowo Forteca zostało wypisane wielkimi literami na frontowej ścianie w każdym języku znanym pod słońcem i jeszcze w kilku takich, którymi mówiono jedynie w Nightside. Mieszkańcy tego miejsca nie zamierzali się kamuflować, byli dumni z tego, kim się stali. Dla Uprowadzonych-Przez-Obcych Forteca oznaczała ostateczny azyl, ale dawała też przejściowe schronienie i innym. Otrzymywali poradę, adres nowego lokum, odpowiedniego do potrzeb, i tyle broni, ile potrzebowali, by poczuć się bezpieczniej. W Fortecy . uznawano słuszność terapii: zabij wszystkich i pozwól Bogu rozpoznać swoich. Jeśli jesteś regularnie

porywany przez obcych, od chwili gdy ukończyłeś dziesięć lat, to tak właśnie rozumiesz. Tych paru głupców, którzy odważyli się nadużyć gościnności Fortecy, nie żyło na tyle długo, by mogło się tym chwalić.

Forteca sąsiadowała z Wyższą Szkołą Voodoobiznesu i Magazynem Nadwyżek Armii. Joanna musiała zatrzymać się i zerknąć w okna wystawowe. Uczelnia reklamowała korzeń Świętego Jana Zdobywcy w łatwych do połknięcia kapsułkach, korzeń mandragory z krzyczącymi ludzkimi twarzyczkami i analizę porównawczą wybranych czarów i uroków. Wystawowego manekina przebrali za Barona Samedi, dodali nawet sztuczny cmentarzyk, ale wyglądało to wyjątkowo tandetnie. W oknie

Nadwyżek Armii wystawiono mundury ze wszystkich epok, medale z krajów, których od dawna nie było na mapach, i jedną zamkniętą walizeczkę opatrzoną napisem: „podręczna bomba atomowa, czekamy na oferty”. Joanna przyglądała jej się przez dłuższą chwilę, po czym odwróciła się do mnie.

- To tak na serio? To może być prawdziwa rzecz?

- Coś z nią musi być nie tak, w przeciwnym wypadku już by ją kupiła Forteca - odpowiedziałem. - Może musisz mieć własny pluton, żeby ją uruchomić.

- I Jezus zapłakał - stwierdziła sentencjonalnie Joanna.

- I owszem - zgodziłem się.

- I to nad sprawami wiele gorszymi niż to.

Do Fortecy zbliżyliśmy się od frontu i wtedy po raz pierwszy doznałem wrażenia, że coś jest tu mocno nie w porządku. Kamera nad drzwiami była rozwalona w drobny mak, a wzmocnione, stalowe skrzydło lekko uchylone. Zmarszczyłem brwi. Tego wejścia nigdy nie zostawiano otwartym. Nigdy. Złapałem Joannę za ramię i zatrzymałem, gestami nakazałem jej, by była cicho i trzymała się za mną, po czym delikatnie pchnąłem drzwi. Z wnętrza napłynął do nas stłumiony odgłos strzałów i pojedyncze krzyki. Uśmiechnąłem się pod nosem.

- Wygląda na to, że Suzie już tu jest. Trzymaj się blisko mnie i postaraj się wyglądać nieszkodliwie.

Otworzyłem drzwi na oścież i zajrzałem. Hol wyglądał na opuszczony, więc wszedłem po cichu, analizując przy tym sytuację.

Pomieszczenie zapewne było kiedyś urządzone na tyle komfortowo, by nowi przybysze od progu czuli się jak w domu, jednak teraz panował tu tylko bałagan.

Meble wywrócono do góry nogami, obrazki z sielankowymi krajobrazami wisiały krzywo, podziurawione kulami, filodendron w kącie został zmasakrowany wybitnie nieprzyjacielskim ogniem. Potężny wykrywacz metalu rodem z lotniska, który wcześniej bronił wejścia do holu właściwego, teraz leżał ciśnięty na środek pomieszczenia.

W powietrzu wciąż jeszcze unosił się dym i charakterystyczny zapach kordytu. Ktoś wystrzelał tu niejedną magazynkę i stało się to cholernie niedawno.

Ale ciało nie było nigdzie.

Powoli przeszedłem przez hol z Joanną za plecami, trzymającą się mnie tak blisko, jak tylko się dało bez wpełzania mi do kieszeni. Sprawdziłem kamery ochrony w rogach pomieszczenia, małe czerwone diody nadal świeciły, czyli sprzęt był sprawny i pracował. Ktoś musiał widzieć, co się tu wydarzyło, ale nie zauważyłem nawet śladu posiłków. A to oznaczało, że prawdziwe starcie jeszcze się nie skończyło. Zaczynałem mieć naprawdę złe przeczucia. Odrzwia po drugiej stronie holu, za którymi rozpościerało się prawdziwe wnętrze Fortecy, również były uchylone. Wszystkie zamki i bolce poszły w diabły, a jeden z mocarnych zawiasów został równiutko oddarty od futryny. Ostrożnie otworzyłem drzwi szerzej i zerknąłem w głąb korytarza. W ścianach pełno było świeżych śladów po kulach, ale nadal nie dostrzegłem ciała.

- Może powinniśmy zajrzeć do tego sklepu obok i wybrać sobie kilka pistoletów z wojskowych nadwyżek - zasugerowała Joanna.

- I wiedziałabyś, jak się z nimi obchodzić?

- Tak.

Rzuciłem jej zaciekawione spojrzenie.

- Jesteś pełna niespodzianek. Nie lubię broni. Sprawia, że człowiek zbyt łatwo popełnia ten rodzaj błędów, którego nie można naprawić, mówiąc: „Wybacz, w sumie nawet nie chciałem tego zrobić”.

- A co z Siewcami Udreki?

- Żaden pistolet by ich nie zatrzymał.

- Po co te wszystkie zabezpieczenia? - Wskazała na liczne kamery

pod sufitem.

- Logika Urowadzonych. Mają kamery w każdym pokoju, przedsionku i korytarzu, każdym kącie i szczelinie. I więcej bomb-pułapek, niż mógłbym i chciałbym sobie wyobrazić. A do tego cały zespół ludzi, których jedynym zajęciem jest siedzenie i gapienie się w monitory. Ludzie tutaj naprawdę się boją, że Obcy znów po nich przyjdą. A ponieważ nikt dokładnie nie wie, jak te małe, zielone gnojki wchodzą i wychodzą, to kamery nigdy nie przestają pracować. Zamyśl jest taki, że oko ludzkie można oszukać, a oko kamery już nie tak łatwo. Zakładam, że kiedy ochrona ich zauważy, to uruchamia wszelkie możliwe alarmy, a każdy z Urowadzonych-Przez-Obcych łapie całą broń, jaką ma pod ręką, i strzela do wszystkiego, co się rusza i nie wygląda jak człowiek. Mają kamery nawet pod prysznicami i w kibelkach, na wszelki wypadek. Nikt tutaj nie zamierza dać się uprowadzić bez walki.

- Żadnej prywatności? - Joannie aż się twarz wydłużyła. - To już jest poważna paranoja.

- Nie, jeśli Oni naprawdę chcą cię dopaść. A im dłużej przyglądam się temu, co się tutaj stało, tym mniej mi się to podoba. Wszystko wskazuje na to, że ktoś lub coś wpadło do holu niczym bomba, a ludzie z Fortecy otworzyli ogień. Bez żadnych rezultatów. Na ucho wciąż jeszcze walczą, ale są w odwrocie. Coś spycha ich dalej i dalej, w głąb ich własnego terytorium. Tyle, jeśli chodzi o oczywistości. Ale gdzie są ciała? Może, ale tylko może... Obcy przybyli nareszcie, szukając swych zaginionych przedmiotów badań...

- Poważnie mówisz? Obcy?

Spojrzałem w dół pustego korytarza, rozważając inne możliwości.

- Wszystko kiedyś trafia do Nightside, przeszłość i przyszłość. Obcy nie są mniej prawdopodobni niż inne rzeczy, które tu widziałem. Ani dziwniejsi.

- Może powinniśmy przyjść kiedy indziej? - zaproponowała.

- Nie. To dobrzy ludzie. Nie mogę odejść, kiedy potrzebują pomocy. Nigdy nie mogłem. A do tego Suzie jest prawdopodobnie gdzieś tam. Kurwa. To nie jest odpowiedni moment na coś takiego. Możesz poczekać na zewnątrz, a ja sprawdzę co i jak.

- Nie. Z tobą czuję się najbezpieczniej, mój bohaterze.

Uśmiechnęliśmy się do siebie i ruszyliśmy w głąb korytarza. Odgłos strzałów stawał się coraz wyraźniejszy, teraz słyhać było też bezładne wrzaski i przeklinanie. Otoczenie nosiło coraz więcej śladów walki, ale ciał nadal nie widziałem. Krwi też nie. A biorąc pod uwagę ilość wystrzelanej amunicji, był to fakt prawdziwie niepokojący. Korytarz gwałtownie zakręcał. Dotarliśmy do miejsca, gdzie trwała wymiana ognia. Upewniłem się, że Joanna stoi w bezpiecznej odległości, i wyjrzałem zza rogu.

I natychmiast wszystko stało się krystalicznie jasne. Westchnąłem głęboko i wyszedłem zza zakrętu.

- Wszyscy mają. natychmiast przestać! - podniosłem głos; zimny, rozkazujący ton pozwalał natychmiast domyślić się, jak bardzo jestem wkurzony.

Kanonada ustała jak nożem uciał. Pole bitwy zaległa cisza, na przeciwległym krańcu korytarza grupa ludzi chroniła się za stosem mebli, najwyraźniej powyciąganych z sąsiednich pokojów. Doliczyłem się co najmniej dwudziestu rozmaitych rodzajów broni wystających zza tej prowizorycznej barykady, potem przestałem liczyć. A twarzą do nich, bliżej mnie, wysoka blondynka z shotgunem w rękach klęczała za swoją byle jaką osłoną. Spojrzała na mnie i skinęła głową.

- John. Słyszałam, że wróciłeś. Zaraz z tobą pogadam, tylko rozprawię się z tą bandą specjalistów od samogwałtu.

- Opuść broń, Suzie - powtórzyłem twardo. - Mówię poważnie. Żadnego strzelania. Albo naprawdę się zirytuję. Gwałtownie, brutalnie i wszędzie dokoła.

- Kurwa mać - zaklął głos za odległą barykadą. - Jak gdyby nie było dostatecznie źle, to jeszcze pojawił się John Taylor. Niech to szlag. No dobra, który z was, idiotów, wkurzył jego?

Wystrzałowa Suzie wstała i prychnęła na mnie. Zbliżała się już do trzydziestki, ale wciąż niejednen chciałby ją schrupać. Oczywiście, o ile pogodziłby się z tym, że danie mu się odgryza. Jak zawsze występowała w czarnych motocyklowych skórkach, ozdobionych łańcuchami, ćwiekami i dwoma pasami naboju, krzyżującymi się na imponującej piersi. Całości dopełniały buty do kolan z metalowymi noskami.

Najwyraźniej Suzie oglądała „Dziewczynę na motorze” i „Easy Ridera” więcej razy, niż to było zdrowe, i uwielbiała każdy film o Aniołach Piekieł, jaki Roger Corman kiedykolwiek nakręcił.

Miała twarz, którą trudno było zapomnieć, o mocnej strukturze kości i zdecydowanej szczęce. Słomiane, sięgające ramion włosy przytrzymywała opaska, zrobiona ze skóry pierwszego gościa, którego Suzie zabiła. Kiedy miała dwanaście lat.

Jej oczy były ciemno ciemnoniebieskie, zimne i nieruchome, a usta, które rzadko rozluźniał uśmiech, zazwyczaj pozostawały lekko ściągnięte, chyba że akurat znajdowała się w samym centrum chaosu i rozlewu krwi, gdzie była w swoim żywiole. Nie znosiła głupoty, wydawała kasę równie szybko, jak ją zarabiała, i ogólnie kopała tyłki z energią i entuzjazmem. Mawiała, że nie ma żadnych przyjaciół, a jej wrogowie są dawno martwi, ale trafiło się kilku takich, którym udało się zbliżyć do Suzie mimo jej niechęci w tym względzie. I ja, niechaj mi bogowie wybaczą, byłem jednym z nich.

Stojąc tak w oparach dymu, oświetlona przez chybotące się lampy, Suzie wyglądała jak walkiria z piekła rodem.

- Niech zgadnę - powiedziałem trochę już zmęczony. - Wdarłaś się tu, rozwalając drzwi, zażądałaś, żeby natychmiast wydali ci twoją zwierzynę, a kiedy odmówili, wypowiedziałaś im wojnę. Mam rację?

- Mam nieliczne papiery na tego gościa - odpowiedziała Suzie. - A oni byli dla mnie niegrzeczni.

Zastanowiłem się chwilę.

- Na pewno teraz im bardzo przykro. Nie możesz pozabijać wszystkich, Suzie. Potrzebuję jednego z nich żywego i w miarę w dobrym stanie, żeby odpowiedział na kilka pytań.

- Hej! Wstrzymajcie się chwilę! - odezwał się głos zza tamtej barykady. - Jest możliwe... no może działaliśmy nieco zbyt pośpiesznie. Nikt tutaj nie chce mieć na pieńku z Wystrzałową Suzie ani Johnem cholernym Taylorem, chyba że już naprawdę nie będzie innego wyjścia. Możemy o tym pogadać?

Spojrzałem na Suzie, a ona wzruszyła ramionami.

- Muszą mi oddać mojego zbiega i zaraz znikam.

- Jak ci go oddamy, zabijesz go - zaproponował głos. - On przyszedł

do nas po azyl!

- Facet ma rację - wtrąciłem się. - Wolisz dostarczać zbiegów martwych raczej niż żywych.

- Mniej papierkowej roboty - mruknęła.

Spojrzałem w stronę dwudziestu luf wycelowanych we mnie.

- Gdyby Suzie chciała was pozabijać, już byście byli martwi. Dała wam każdą możliwą szansę. Naprawdę uważam, że powinniście rozważyć poddanie się.

- Gwarantujemy bezpieczeństwo ludziom, którzy do nas przychodzą - odpowiedział głos uparcie. - Tym właśnie jesteśmy, ostatnim azylem. Dlatego istniejemy. Z chęcią pójdziemy na układ, ale nie możemy działać wbrew naszym podstawowym założeniom.

- Jakiego biedaka ścigasz tym razem? - zwróciłem się do Suzie.

- Nikogo ważnego. Jakiś szumowina adwokat, zabrał kasę klienta i dał nogę. Pięć milionów funtów z hakiem. Dostaję dziesięć procent od kwoty, jaką odzyskam.

- Adwokat? - powtórzył głos. - O, do diabła, dlaczego nie mówiłaś! Gdybyśmy wiedzieli, że to jeden z nich, zaraz byśmy ci go oddali.

Uśmiechnąłem się do Suzie.

- Kolejny triumf dyplomacji i zdrowego rozsądku. Widzisz, jakie wszystko staje się łatwe, gdy spróbujesz trochę ponegocjować?

Warknęła i dopiero teraz opuściła lufę shotguna.

- Nienawidzę być rozsądna. To mi psuje reputację.

Odwróciłem się w stronę barykady, żeby nie widziała, jak się śmieję.

- Szukam nastolatki, nazywa się Cathy Barrett. Uciekła z domu i prawdopodobnie wpakowała się w większe kłopoty, niż jest w stanie pojąć. Mówi wam coś to imię?

- Nie wyjdę stąd, póki Suzie tam stoi - odpowiedział głos zza barykady.

- Nie musisz wychodzić - tłumaczyłem cierpliwie. - Wystarczy, jeśli odpowiesz na pytanie. No chyba że chcesz, żebym się na ciebie pogniewał.

- Cathy tu była - szybko powiedział głos. - Ale odeszła jakiś tydzień temu. Mówiła, że coś ją wzywa. Coś cudownego. Wszyscy

namawialiśmy ją, żeby nie słuchała wezwania, ale ona nas nie słuchała. A to w końcu nie jest więzienie, więc... Mówiła coś o ulicy Blaiston. To wszystko, co wiem.

- Dziękuję. Byłeś bardzo pomocny - zapewniłem go.

- Jakbym miał jakiś wybór - odparł głos. - Już się rozeszło między ludźmi, co zrobiłeś pod Obcymi Znajomkami. Wciąż jeszcze sprzątaj ten bałagan.

Ograniczyłem się do kiwnięcia głową. Nie po raz pierwszy przypisywano mi cudze wyczyny. Tym razem zapewne sam Eddie rozpuścił tę plotkę w ramach przeprosin. Dobrze czasem mieć reputację skończonego drania. Wtedy ludzie uwierzą we wszystko na twój temat.

- Zostawię tu was z Suzie, żebyście dokończyli wasze sprawy - stwierdziłem. - Dajcie jej to, o co prosi, a nie powinniście mieć z nią żadnych więcej problemów.

- Wielkie dzięki - odpowiedział głos kwaśno. - Już raczej znów stawię czoła Obcym.

Skinąłem na Suzie, żeby poszła ze mną kilka kroków dalej, w ten sposób mogliśmy porozmawiać prywatnie. Przedstawiłem ją Joannie. Uśmiechnęły się do siebie słodko. Od razu wiedziałem, że nie przypadną sobie do gustu.

- Więc - odezwała się Suzie - znalazłeś kolejne zagubione jagniątko, którym możesz się opiekować, prawda, John?

- Takie życie. Upłynęło nieco wody, Suzie.

- Pięć lat i trzy miesiące. Zawsze wiedziałam, że w końcu wrócisz do mnie na kolanach.

- Wybacz, Suzie, ale jestem tu tylko dlatego, że pracuję nad sprawą. Jak tylko znajdę mojego zbiega, spadam stąd. Wracam do bezpiecznego, normalnego świata.

Postąpiła krok do przodu, przygważdżając mnie dzikim, poważnym spojrzeniem.

- Nigdy nie będziesz tam pasował, John. Twoje miejsce jest tutaj. Razem z resztą nas, potworów.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Ciszę przerwała Joanna.

- Jak dobrze zna pani Johna?

Suzie prychnęła.

- Raz go postrzeliłam. Ale jakoś to przeboleał. Papiery, które na niego miałam, okazały się sfalszowane. Potem pracowaliśmy razem. Super gość w trudnych sytuacjach. I do tego zawsze zabierał mnie tam, gdzie się coś działo. Prawdziwa akcja. Ani chwili nudy, gdy John jest w pobliżu.

- I to już wszystko, czym jest pani życie? - zapytała Joanna. - Przemoc? Zabijanie?

- I wystarczy - odpowiedziała Suzie.

Uznałem, że ta rozmowa trwała tak długo, jak było to bezpieczne, i zwróciłem się do Joanny.

- Wiem, gdzie jest ulica Blaiston. Niedaleko stąd. Paskudna okolica, nawet jak na standardy Nightside. Jeśli Cathy tam się wybrała, to im szybciej ją znajdziemy, tym lepiej.

- Potrzebujesz pomocy? - wtrąciła się Suzie.

Spojrzałem na nią z namysłem.

- Nie odmówię, jeśli proponujesz. Jesteś zajęta?

Wzruszyła ramionami.

- Ostatnio było raczej spokojnie. Nienawidzę spokojnie. Niech tylko skończę z tym tutaj, odbiorę, co są mi winni, i was złapię. Normalna stawka?

- Jasne - zapewniłem ją. - Moją klientkę na to stać.

- Lepiej, żeby tak było. - Suzie obrzuciła Joannę uważnym spojrzeniem.

Joanna już miała coś odpowiedzieć, ale zauważyła, że lufa shotguna wycelowana jest prosto w nią, i bardzo rozsądnie uznała, że nie będzie brała słów Suzie do siebie. Odwróciła się ostentacyjnie i skupiła uwagę na mnie.

- Przynajmniej mamy adres. Jakie są szanse, że Cathy wpakowała się tam w poważne kłopoty?

- Ciężko powiedzieć, szczególnie że nie wiemy, co ją tam ciągnęło. Nie pomyślałbym dotąd, że na Blaiston jest w ogóle coś atrakcyjnego. Nie ma gorszego miejsca, no może z wyjątkiem kanałów. Jeśli lądujesz na dnie, lądujesz właśnie tam. Chyba że sytuacja zmieniła się diametralnie w czasie mojej nieobecności. Suzie?

- To nadal odrażająca dziura. - Suzie potrząsnęła głową. - Gdybyś

spalił tę ulicę do fundamentów, całe miasto zaczęłoby lepiej pachnieć.

- Nie martw się - powiedziałem szybko do Joanny. - To twoja córka. Powiedziałaś, że umie sobie radzić. No i teraz depczemy jej już po piętach.

- Nie bądź taki pewien - mruknęła Joanna, kąciki jej ust wyraźnie opadły. - Cathy zawsze była dobra w uciekaniu przed ludźmi.

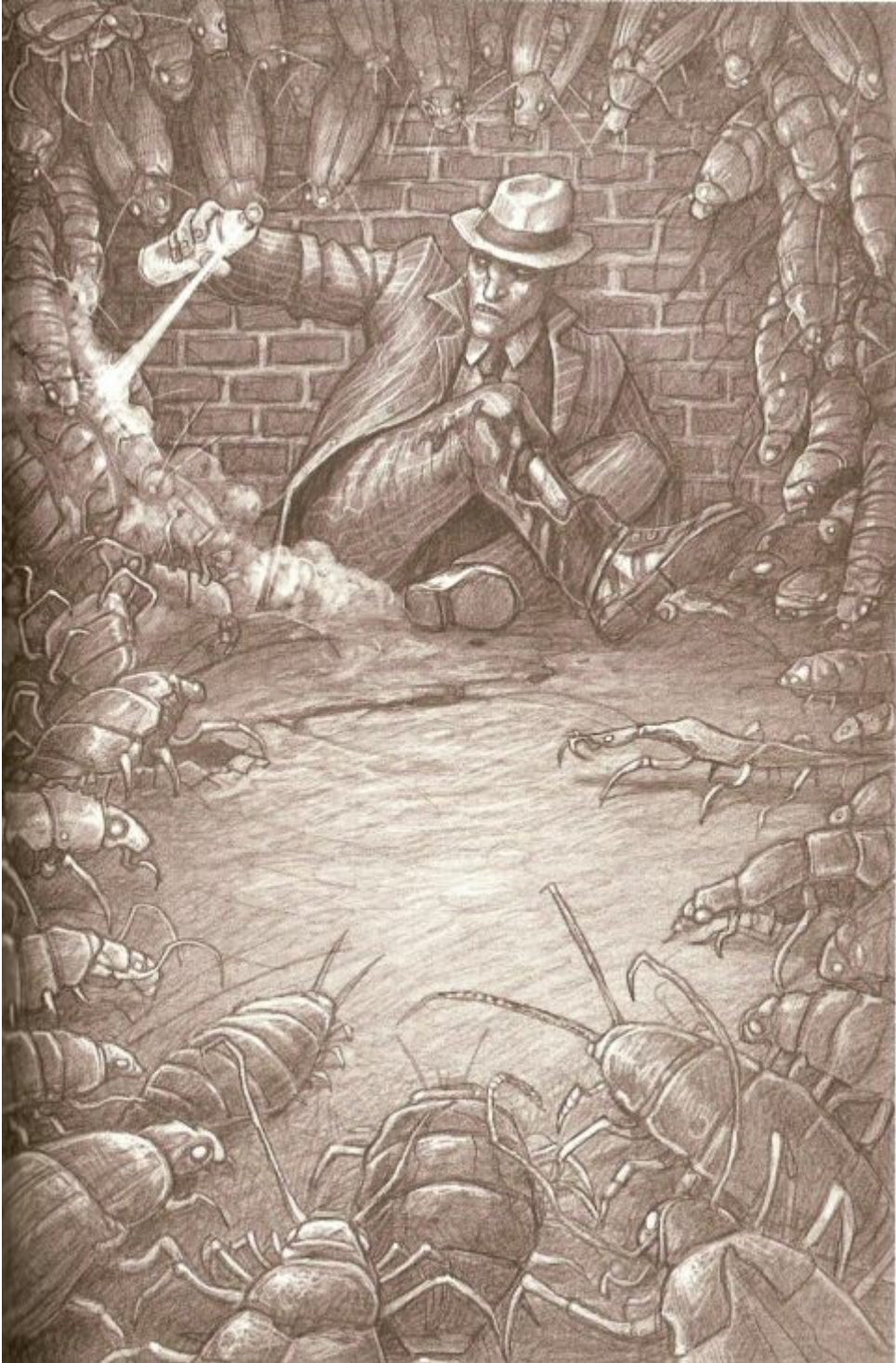
- Ale nie takimi jak my - stwierdziłem z mocą.

- Bo nie ma takich ludzi jak my - stwierdziła Wystrzałowa Susie.

- I dzięki Bogu! - odezwał się głos zza barykady.

SIEDEM

Gdzie mieszkają naprawdę dzikie stwory



Wystrzałowa Suzie kontynuowała zastraszanie Fortecy za pomocą swej powalającej osobowości, a my ruszyliśmy na ulicę Blaiston. Tam, gdzie mieszkają dzikie stwory. Każde miasto ma taką dzielnicę, w której wszelkie zasady uległy już degradacji, człowieczeństwo przychodzi i odchodzi, a cywilizacja jest czymś okazjonalnym. Na Blaiston nikt nigdy nie płacił czynszu, nawet te najmarniejsze udogodnienia przypadały jedynie tym najsilniejszym, a szczury ze strachu poruszały się tylko parami. Rządy sprawowała mafia o tyle, o ile brutalni mieszkańcy ulicy byli w stanie działać wspólnie wystarczająco długo, by tę mafię stworzyć. Żyją w ciemności, bo tak lubią. W ten sposób nie widzą, jak nisko upadli. Wódka, narkotyki i rozpacz to na Blaiston obowiązkowe punkty programu i nikt nie trafia tam przez przypadek. Dlatego też wybór Cathy mocno mnie zaniepokoił. Co, u diabła, czy też u anioła, mogło wzywać zdrową, zasadniczo rozsądną dziewczynę w tak paskudne miejsce?

Co chciała tam znaleźć?

Padło, miękkie krople o temperaturze krwi spowiły ulicę ułudą świeżości. Powietrze ciężkie było od restauracyjnych woni potraw z najróżniejszych epok i miejsc, z czego nie wszystkie były zachęcające. Wszechobecne neony rozmyły się i wyblakły za zasłoną deszczu, a ludzie, których mijaliśmy, mieli głodne i złe twarze. Nightside odnalazło swój właściwy rytm.

- Piekielne miejsce - odezwała się nagle Joanna.

- I to niekiedy dosłownie - zgodziłem się. - Ale ma swoje atrakcje. To niegrzeczni chłopcy sprawiają, że grzecznym dziewczynkom serca biją szybciej, czyż nie? To dla mrocznych przyjemności opuszczamy zwyczajny świat i dajemy się prowadzić do Nightside.

- Zawsze uważałam, że przyjemności wszelkiego rodzaju są dostępne w Londynie - prychnęła. - W publicznych budkach telefonicznych można znaleźć ulotki oferujące każdą perwersję, i to po rozsądnych cenach. Każdy rodzaj seksu wymagający kontaktu fizycznego lub bez kontaktu, uprawiany przez przedstawicieli obu płci. A i kilku takich, co z dumą określają się jako osoby „pomiędzy płciami”. Przed operacją, po operacji, w trakcie operacji... Co jeszcze można wymyślić w tej kwestii?

- Wierz mi, nie chcesz tego wiedzieć - odpowiedziałem bardzo serio. A teraz zmień temat.

- Dobrze. Jak to było dorastać tutaj? W Nightside? - Spojrzała mi poważnie w oczy. - To musi być niesamowite miejsce dla dziecka.

Wzdrygnąłem się.

- Innego nie znałem. Kiedy cuda zdarzają się na każdym kroku, przestają zdumiewać. To magiczne miejsce, w każdym tego słowa znaczeniu, więc dorastanie tutaj przynajmniej nie było nudne. Zawsze jakaś kabała, w którą się można wpakować, a czego więcej może chcieć ciekawski dzieciak? No i nigdzie indziej nie nauczysz się tak szybko samodyscypliny. Kiedy mówią ci, że masz być grzeczny, bo cię porwie strach albo potwór spod łóżka, niekoniecznie żartują. Albo szybko uczysz się zasad przetrwania, albo nie dorastasz. Nie możesz liczyć, że ktoś będzie krył twoje plecy... ani przyjaciele, ani rodzina... Ale to jest przynajmniej jasne i nikt niczego nie udaje. Dla mnie Nightside oznaczało zwyczajne życie, Joanno. To twój świat, ten spokojny, rządzący się przeważnie rozsądkiem i prawami logiki Londyn, był dla mnie objawieniem. Bezpieczny, normalny, cudownie przewidywalny... Anonimowość może dać poczucie prawdziwego komfortu, tak jak wiedza, że pewne rzeczy po prostu się dzieją, bez specjalnego znaczenia dla ciebie czy kogokolwiek innego. W Nightside aż się roi od przepowiedni, omenów, wskazówek i interwencji zarówno z Góry, jak i z Dołu. Jednak, choć twój świat jest taki wspaniale bezpieczny, jest przy tym szary i nudny i cholernie trudno w nim zarobić na życie. Wróć tam, gdy zamknę tę sprawę, ale szczerze mówiąc, nie wiem, czy dlatego, że tego chcę, czy może dlatego, że straciłem umiejętność przetrwania w świecie bogów i potworów.

- Ta ulica Blaiston - wtrąciła - brzmi niebezpiecznie, nawet jak na Nightside. Jesteś pewien, że Cathy tam poszła?

Zatrzymałem się, a ona stanęła obok. Sam sobie zadawałem to pytanie. Głos w Fortecy mógł powiedzieć cokolwiek, żeby się nas pozbyć i co ważniejsze, pozbyć się Suzie. Ja bym tak zrobił. Ale... to był nasz jedyny trop. Jęknąłem sfrustrowany, a mijający nas ludzie od razu zwiększyli dystans. Zawsze umiałem znaleźć dowolną rzecz, miałem dar. Tak właśnie zdobyłem sobie reputację. Wrócić do Nightside i nie

korzystać z wewnętrznego oka było niemalże torturą. Jeśli faktycznie Cathy była tak blisko, na Blaiston, powinienem złapać jej ślad.

Smagnąłem noc umysłem, zaatakowałem ciemność jak taranem, zmuszając dar, by zagłębił się w ukrytym świecie. Uderzył w powietrze, dziki i wściekły, otwierając zamknięte dotąd drzwi. Ludzie w pobliżu poczęli łapać się za głowy, krzyczeć z bólu i odskakiwać, niczym oparzeni. Dłonie zacisnęły mi się w pięści, czułem, że się uśmiecham tym złym uśmiechem wilka na tropie, uśmiechem niemal zapomnianym, z czasów gdy liczyło się tylko to, by dojść prawdy. W skroni pulsował niedobry, mdlący ból. Mogłem sobie zrobić poważną krzywdę, zmuszając dar do tak ciężkiej pracy po tak długiej przerwie, ale byłem zbyt wściekły, zbyt sfrustrowany, by się tym przejąć.

Czułem ją. Cathy była tu niedawno, jej ślad wciąż jeszcze wprawiał w drgania membranę ukrytego świata. Ale miałem wrażenie, jakbym sięgał w ciemności po coś, co mogę wyczuć, ale czego nie mogę zobaczyć. Ktoś? coś? nie chciało, bym ją zobaczył. Mój uśmiech stał się szerszy i paskudniejszy. Do diabła z tym. Naparłem mocniej. Jakbym walnął umysłem w ogrodzenie z drutu kolczastego. Z nosa zaczęła mi kapać krew, nie czułem już rąk. Poważna krzywda. I wtedy coś, jakaś bariera, jakieś nieokreślone napięcie, ustąpiło. Przede mną zmaterializował się duch Cathy. Miał nie więcej niż kilka dni, lśnił wyraźny zaledwie o krok. Złapałem Joannę za rękę, by też mogła zobaczyć. Cathy ruszyła w dół ulicy, wyciągając nogi, a my pospiesziliśmy za nią. Jej twarzyczka iskrzyła i lśniła, nie było wątpliwości, że malował się na niej szeroki uśmiech. Słuchała wezwania, które tylko ona mogła usłyszeć, czegoś cudownego, co przemawiało wprost do jej serca i ciągnęło ją, niczym wędkarz rybę, wprost na Blaiston. Ten uśmiech był naprawdę przerażający. Nie potrafiłem wyobrazić sobie niczego, czego mógłbym pragnąć tak bardzo, jak Cathy pragnęła tego, co obiecywał jej ten zew.

- Coś ją woła - krzyknęła Joanna, łapiąc moją rękę tak mocno, że aż zabolęło.

- Przyzywa - poprawiłem. - Jak syreny wabiły starożytnych Greków. Może ją zwodzi, a może nie, w końcu to Nightside. Ale najbardziej martwi mnie, że nie mam nawet cienia podejrzeń, co to może być.

Niczego nie wyczuwam, żadnego nawet najbardziej ogólnego zamysłu, kształtu, żadnej podpowiedzi. Mój dar mówi mi, że nic tu nie ma, nie było. Kompletnie nic. A to oznacza naprawdę potężne osłony i magię ciężkiego kalibru. Tylko że coś tak potężnego powinno pojawić się na wszystkich radarach w tej samej chwili, w której tu przybyło. Nightside powinno aż huczeć od plotek na temat nowego gracza w lidze grubych ryb, zdolnego pokrzyżować plany pozostałym. Tymczasem jedynie ja zauważyłem cokolwiek. I niech będę przeklęty, jeśli wiem, czegoż taka moc może chcieć od smarkuli, która uciekła z domu.

Duch Cathy zniknął, mimo że z całych sił próbowałem go zatrzymać. Mój dar wrócił do swojego legowiska na tyłach umysłu i zatrzaskał za sobą drzwi. Ból głowy osiągnął niespotykane natężenie. Przez dobrą chwilę mogłem jedynie stać na środku chodnika z zaciśniętymi powiekami, zmagając się z huraganem, jaki szalał pod czaszką. Kiedy otworzyłem oczy, Joanna podała mi chusteczkę, wskazując na mój nos. Przycisnąłem szmatkę do lewego nozdrza, czekając, aż krwawienie ustanie. Za bardzo się wysiliłem jak na pięć lat przerwy. Joanna stała tuż obok, wyraźnie starając się mnie wspierać. Ból głowy z wolna ustępował. Wreszcie mogłem zwrócić zakrwawioną chusteczkę - moja towarzyszka przyjęła skrawek materiału z odpowiednią dozą godności - i podjęliśmy marsz w kierunku Blaiston. Żadne z nas nie skomentowało mojej porażki.

- Suzie naprawdę jest taka niebezpieczna, jak wszyscy sądzą? - zapytała Joanna po chwili tylko po to, by przerwać milczenie.

- Nawet bardziej - powiedziałem uczciwie. - Swoją reputację zbudowała na ciałach wrogów, na tym, że absolutnie dobrowolnie, a co gorsza chętnie, podejmowała ryzyko, jakie zastopowałyby nawet wikińskich berserków. Suzie nie rozumie znaczenia słowa „strach”. Inne pojęcia, z których przyswojeniem sobie nie radzi, to: powściągliwość, miłosierdzie, instynkt samozachowawczy.

Joanna nie zdołała powstrzymać śmiechu.

- Do diabła, John, nie znasz tu jakichś normalnych ludzi?

Też się roześmiałem.

- Tu nie ma normalnych ludzi. Normalni ludzie mają zbyt wiele rozsądku, by przebywać w takim miejscu jak to.

Nie zatrzymywaliśmy się. Po drodze mijaliśmy wielu ludzi, ale nikt nawet nie spojrział mi w twarz. Prywatność ma w Nightside niemałą wartość, chociażby dlatego, że każdy tutaj ma sporo do ukrycia. Sznur pojazdów mijał nas z rykiem, z rzadka tylko zwalniając i nigdy się nie zatrzymując, zawsze w pośpiechu zmierzając gdzie indziej, by zrobić coś, co z pewnością zasługiwało na naganę. W Nightside nie ma świateł ulicznych, bo i tak nikt by nie zwrócił na nie uwagi. Tak samo jak nie ma wyznaczonych przejść dla pieszych. Na drugą stronę ulicy dostają się ci odważni i zdeterminowani, którzy umieją przegonić pojazdy ze swej drogi. Aczkolwiek słyszałem, że przekupstwo działa równie dobrze jak zastraszanie.

Zerknąłem na Joannę i postanowiłem zadać jej pytanie, które od dłuższego czasu nie dawało mi spokoju. Teraz, gdy Cathy była tak blisko, musiałem znać odpowiedź.

- Wspomniałaś, że to nie pierwszy raz, gdy Cathy uciekła z domu. Dlaczego ona od ciebie ucieka, Joanno?

- Staram się z nią spędzać czas - odpowiedziała, patrząc sztywno przed siebie. - W sposób wartościowy. Kiedy tylko mogę. Ale nie zawsze mogę. Mam niewiele wolnego czasu. Pracuję, ile Bóg pozwoli, tylko po to, żeby nie stracić tego, co dotąd zyskałam. Kobiecie trudniej utrzymać pozycję w biznesie. Ludzie, z którymi codziennie się spotykam, rekina zjedliby na śniadanie, na przystawkę, a zdradę i ciosy w plecy podnieśli do rangi sztuki. Cholernie ciężko pracuję na to, co Cathy zwyczajnie musi mieć i co traktuje jak oczywistość. I żeby czasem wykazała choć cień zainteresowania moją pracą, która pozwala jej wieść tak komfortowe życie, ale nie. Nigdy.

- Lubisz to, co robisz?

- Czasem.

- Myślałaś kiedyś o tym, żeby zająć się czymś innym?

- Jestem dobra w tym, co robię - stwierdziła, a ja musiałem przytaknąć. Coś wiedziałem na ten temat.

- Żadnego ojczyrna? - zapytałem mimochodem. - Nikogo, kto by spełniał rolę ojca? Kogokolwiek, do kogo mogłaby się zwrócić poza tobą?

- Do diabła, nie. Poprzysięgłam sobie, że nigdy już nie popełnię

tego błędu i nie związę się z mężczyzną - stwierdziła Joanna z mocą. - Nie po tym, co mi zgotował ojciec Cathy, i to tylko dlatego, że mógł. Jestem panią własnego losu i jeśli ktokolwiek chce ze mną być, musi zrobić to na moich zasadach. A niewielu potrafi zaakceptować takie warunki. Zresztą i tak miałam problem, by wytrzymać z tymi, którzy potrafili. Znowu praca wchodziła mi w paradę. Jednak Cathy zawsze miała wszystko, czego potrzebowała. Wychowałam ją na błyskotliwą, bystrą i niezależną dziewczynę.

- Niezależną nawet od ciebie? - zapytał cicho. Joanna nawet na mnie nie spojrzała.

I wtedy właśnie świat zmienił się nagle. Tętniące życiem miasto zniknęło, a my byliśmy w zupełnie innym miejscu. W dużo, dużo gorszym. Zrobiliśmy z rozpędu jeszcze kilka kroków i zatrzymaliśmy się, rozglądając niespokojnie. Większość budynków wokół nas dawno obróciła się w ruinę. Te wyższe musiały zapaść się przed wielu laty, w zasięgu wzroku nie było ani jednego, który miałby więcej niż dwa piętra. Wszędzie dostrzegałem jedynie gruzy, szkielety domów i zniszczenie, aż po horyzont. Obróciłem się wokół własnej osi, ale wciąż widziałem to samo. Znaleźliśmy się w strefie śmierci. Londyn, Nightside, stare miasto, należały już do przeszłości. Coś przyszło i zrównało je z ziemią.

Było ciemno. Wszystkie światła uliczne i neony zniknęły, zamiast tego otaczała nas ponura, fioletowa poświata, jakby noc została posiniaczona, a każdy kąt, każdy załom zalegały cienie, bardzo głębokie i bardzo mroczne. Nigdzie nie widziałem ani iskiereki normalnego światła, żadnej lampki czy nawet blasku ogniska. Najwyraźniej w tej nocy byliśmy tylko my dwoje. Joanna zaczęła grzebać w torebce i po chwili wyciągnęła z niej zapalniczkę. Ręce tak jej się trzęsły, że minęła dobra chwila, zanim udało jej się wyprodukować płomyk. Ciepły, żółtawy blask ognia wydawał się kompletnie nie na miejscu, nie oświetlał też zbyt wiele. Jednak Joanna podniosła dłoń z zapalniczką, gdy rozglądaliśmy się, starając się zgadnąć, gdzie właściwie jesteśmy. Zaczynałem domyślać się, co się stało.

Było cicho. Nienaturalnie cicho. Ani dźwięku poza naszymi niespokojnymi oddechami i szuraniem stóp. Ta cisza była niesamowita,

niepokojąca. Miasto ucichło, a jego mieszkańcy zniknęli. Londyn został uciszony w brutalny sposób. Wystarczyło tylko raz spojrzeć na okolicę, spowitą ohydą, fioletową poświatą, by zrozumieć, że przybyliśmy do miejsca, w którym nikogo nie było. Cisza przytłaczała, przez chwilę walczyłem z chęcią, by wrzasnąć na całe gardło tylko po to, by zaznaczyć swoją obecność. Ale się powstrzymałem. Jeszcze by mnie ktoś usłyszał. Albo - co gorsza - nikt.

Nigdy w życiu nie czułem się taki samotny.

Wszystkie budynki wokół były niskie, zdeformowane, ich kształty zostały przeobrażone, a krawędzie wygładzone przez deszcz i wiatr. I szmat czasu. Wszystkie okna były puste, po szybach nie pozostał nawet ślad i nie widziałem ani jednego wejścia, w którym tkwiłoby jeszcze skrzydło drzwi. Niczym pociemniałe oczy, otwarte usta. Albo otwarte rany. Było coś nieskończenie smutnego w takim upadku potężnego miasta. Domy wznoszone przez wieki, dające schronienie i cel tyłu życiom, wszystko przywiedzione do smutnego końca. Postąpiłem krok i spod moich stóp uniosła się chmura pyłu. Joanna chrząknęła cicho i ruszyła za mną.

Było zimno. Przejmująco zimno, jakby całe ciepło uciekło ze świata. Powietrze stało nieruchomo. Nasze kroki wydawały się strasznie głośne w panującej wokół ciszy, kiedy tak szliśmy czymś, co kiedyś było ulicą kipiącego życiem miasta. Oboje drżeliśmy i nie miało to nic wspólnego z wszechobecnym chłodem. To było złe miejsce i nie powinno nas tu być.

- Gdzie jesteśmy? - wykrztusiła Joanna. Dłoń z zapalniczką przestała już dygotać, ale głos kobiety drżał. Nie dziwiłem się.

- Nie... gdzie - poprawiłem ją. - Kiedy. To przyszłość. Odległa, sądząc po widokach. Londyn obrócił się w gruzy, a cywilizacja przeminęła. To nawet nie epilog. Księga Londynu i Nightside została ostatecznie zamknięta. Musieliśmy trafić na Piaski Czasu. Ograniczony obszar, gdzie czas faluje, skacze do przodu i do tyłu, w przyszłość i przeszłość, i cokolwiek jest między nimi. Nie muszę chyba mówić, że nie było go tutaj, gdy szedłem tą drogą poprzednio. Każdy, kto ma choćby jedną sprawnie działającą synapsę, wie, że Piasków należy unikać, dlatego też zawsze są dobrze oznakowane. Choćby z tego powodu, że są kompletnie nieprzewidywalne. Nikt nie wie, jak działają ani co w ogóle

sprawia, że powstają. Pojawiają się i znikają, tak samo jak ci biedacy, którzy w nie wpadną.

- Chcesz powiedzieć, że jesteśmy tu uwięzieni?

- Niekoniecznie. Użyję daru, by znaleźć drogę wyjścia. W przestrzeni fizycznej Piaski nie są zbyt duże. Jeśli tylko znajdę ich granice, poszukam słabego punktu...

- Nie są duże?! - głos Joanny łamał się z emocji. - Stąd mogę widzieć na mile, aż po horyzont. Miną tygodnie, zanim tam dotrzemy!

- Rzeczy nie zawsze są takie, jakimi się wydają - starałem się tłumaczyć spokojnie i lekko, tak jakbym był w stu procentach pewien tego, co mówię, a nie jedynie zgadywał. - Jesteśmy wewnątrz obszaru Piasków i z tej perspektywy widzimy świat, ale tak naprawdę teren, na którym przytrafiają się fluktuacje czasu, jest o wiele mniejszy. Jeśli uda mi się zrobić wyłom w granicy, będziemy mogli przez niego przejść do naszego czasu. Mamy przed sobą jakieś pół godziny spaceru. Bułka z masłem. O ile oczywiście nic złego się nie wydarzy.

- Złego?! - powtórzyła. - Cóż złego mogłoby się wydarzyć? Jesteśmy tu sami. To odległa przyszłość i wszyscy nie żyją. Nie czujesz tego? Światła Londynu zgasły na zawsze...

- Nic nie jest na zawsze - stwierdziłem. - Wszystko dobiega swego końca w Czasie. Nawet Nightside, jak sądzę. Jeśli minie wystarczająco wiele stuleci, to nawet największe rzeczy obrócą się w nicość.

- Może w końcu ktoś zrzucił atomówkę.

- Nie. Nightside przetrwałoby bombę atomową. Tak mi się wydaje. To, co wydarzyło się tutaj, było bardziej... ostateczne.

- Nienawidzę tego widoku - mruknęła cicho. - Londyn zawsze był taki pełen życia. Miałam pewność, że tak będzie zawsze. Był tak solidnie zbudowany, taki zadbany, taki uwielbiany. Myślałam, że przetrwa nas wszystkich. Jak widać, myliłam się. Wszyscy się myliliśmy.

- Może ludzie po prostu zbudowali drugi Londyn gdzieś indziej. Tak długo jak ludzkość będzie istnieć, tak długo będzie potrzebować jakiegoś Nightside albo czegoś podobnego.

- A co, jeśli ludzi już nie ma? Kto wie w jak odległej przyszłości się znaleźliśmy. Wieki? Milenia? Spójrz na to miejsce. Jest martwe. Kompletnie martwe. Wszystko się kiedyś kończy. Nawet ludzie. -

Wzdrygnęła się gwałtownie i spojrzała na mnie, jakby to była moja wina. - Z tobą nic nie jest łatwe. Piaski Czasu... Czy coś takiego też jest w Nightside normalne?

- No cóż - zacząłem ostrożnie - nie jest niezwykle.

- Typowe - prychnęła. - Tutaj nawet na czasie nie można polegać!

Nie mogłem się spierać z tym stwierdzeniem, więc poświęciłem uwagę okolicy. Milenia? Ruiny wyglądały na stare, ale nie tak stare.

- Ciekawe, gdzie są wszyscy. Tak po prostu wstali i odeszli, kiedy zrozumieli, że miasto jest skazane na zagładę? A jeśli tak, to dokąd poszli?

- Może polecili na księżyc. Jak w piosence.

Podniosłem głowę i chłód przeniknął z moich kości wprost do duszy. Z przerażeniem zrozumiałem, dlaczego jest tak ciemno. Nie było księżycy. Zniknął. Na czarnej płaszczyźnie nieboskłonu brakowało wielkiego, bladego ciała niebieskiego, które niepodzielnie królowało nad Nightside przez niezliczone lata. Tak jak większości gwiazd, została ich zaledwie garstka, przygaszonych, rozrzuconych na niebie - ostatnie okruchy światła w oceanie ciemności. A skoro gwiazdy są tak odległe, to być może i one dawno umarły, a to, co widziałem, było resztką ich blasku przemierzającego kosmos. Ale jak mogło zabraknąć gwiazd? Co tu, u diabła, się stało...

- Zawsze myślałem, że księżyc nad Nightside jest taki wielki, bo jest o wiele bliżej - stwierdziłem wreszcie. - Być może... w końcu spadł. Słodki Jezu, jak daleko w przyszłość zawędrowaliśmy?

- Jeśli nie ma gwiazd - zaczęła Joanna miękko - myślisz, że nie ma też słońca?

- Nie wiem, co sobie myślisz...

- Ale...

- Marnujemy czas - przerwałem jej szorstko. - Zadajemy pytania, na które nie możemy poznać odpowiedzi. Nie ma znaczenia. Nie zostajemy tu. Wiem, gdzie jest przeciwległa granica, zabieram cię tam i wynosimy się stąd. Wracamy tam, gdzie nasze miejsce.

- Moment - zatrzymała mnie. - Przeciwległa granica? Nie możemy po prostu zawrócić do tego przejścia, którym tu trafiliśmy?

- To nie takie proste. Kiedy Piaski się zmanifestują, to jedynie

edykt Świętego Dworu może je przenieść. W przeciwnym razie pozostaną tu określony czas. Jeśli zawrócimy, pojawimy się pod murami Fortecy, a pomiędzy nami a Blaiston nadal będą Piaski. Żeby dojść na Blaiston, musielibyśmy je ominąć, a do tego musielibyśmy dokładnie znać ich granice. Albo znów trafimy tutaj.

- Ile czasu zajęłoby wyznaczanie tych granic?

- Dobre pytanie. Nawet gdybyśmy znaleźli kogoś wystarczająco potężnego, kto nie zażądałby w rozliczeniu przynajmniej jednej kończyny od każdego z nas, a do tego zechciałby nas załatwić bez kolejki, to i tak przysłoby nam czekać dni albo nawet tygodnie.

- A jak duże są takie Piaski?

- Dobre pytanie. Mogą mieć kilka mil.

- To niedorzeczne! Musi być jakiś sposób, by dotrzeć na Blaiston.

Potrząsnąłem głową.

- Piaski w jakiś sposób łączą się z Blaiston. Mogę to wyczuć, więc raczej nie jest przypadkowe. Coś lub Ktoś chroni swój teren. Nie chce, żebyśmy się wtrącili. Nie. Najlepszym rozwiązaniem jest iść do przeciwległej granicy, gdzie zrobię dla nas wyłom. Wyjdziemy najprawdopodobniej prosto na Blaiston. To nie powinno być trudne. To wszystko jest z pewnością niezbyt miłe, ale chyba nic nam nie grozi. Trzymaj się mnie. Mój dar nas stąd wyprowadzi.

Joanna popatrzyła mi w oczy, a ja wytrzymałem jej spojrzenie, starałem się przy tym sprawiać wrażenie pewnego siebie. Tak naprawdę jedynie zgadywałem, mówiłem to, co podpowiadało mi przecucie i instynkt.

W końcu odwróciła wzrok i rozejrzała się z nieszczęśliwą miną.

- Nienawidzę tu być - powiedziała głucho. - Nie powinno nas tu być. Nikt tu nie powinien być. Ale Cathy nie ma już tak długo... Którędy musimy iść?

Wskazałem kierunek i ruszyliśmy przed siebie. Joanna wciąż trzymała zapalniczkę, ale żółty blask nie sięgał zbyt daleko. Małeńki płomyk trwał nieruchomo, nieporuszony nawet najlżejszym tchnieniem wiatru. Staralem się nie myśleć, jak długo jeszcze zapalniczka wytrzyma. Otoczenie, zatopione w fioletowosinej poświacie, wydawało mi się jeszcze ciemniejsze w zestawieniu ze słabym światłem

niesionym przez Joannę. Było mi coraz zimniej, jakby ta pusta noc wysysała ze mnie resztki ciepła. Zrobiłbym pochodnię, ale nie widziałem nigdzie nawet kawałka drewna. Tylko cegły, kamienie i wszechobecny kurz.

Cisza zaczynała działać mi na nerwy. Ten całkowity brak dźwięków był niesamowicie nienaturalny. To była cisza katakumb. Tak cicho jest w grobie. W tej ciszy było jakieś oczekiwanie, jakby gdzieś w ciemności coś się czaiło, obserwowało nas, czekało, by zaatakować. Miasto mogło być pozbawione życia, ale nie oznaczało to, że i noc była. Przypomniało mi się nagle, jak się czułem jako dzieciak, gdy ojciec kładł mnie do łóżka i gasił światło. W czasach, gdy obchodziłem go jeszcze na tyle i gdy był trzeźwy na tyle, by układać mnie do snu. Dzieci znają tajemnice ciemności. Wiedzą, że w mroku mogą zaiść się potwory. A teraz znalazłem się w najciemniejszej nocy wszech czasów i z każdym krokiem nabierałem pewności, że coś nas obserwuje. W mroku zawsze czają się potwory. To pierwsza rzecz, jakiej uczysz się w Nightside. A niektóre z nich wyglądają jak ty lub ja.

Być może potworem był sam Londyn. Martwe miasto, którego spokój zakłócali żywi. Albo samotność. Mężczyzna i kobieta w miejscu, którego życie dobiegło końca. Człowiek nie jest stworzony do samotności.

Nasze kroki wydawały się głośniejsze w miarę, jak podążaliśmy w dół niegdyś głównej ulicy. A przecież kurz powinien zagłuszyć ich dźwięk. Było go tutaj wystarczająco wiele, pokrywał wszystko, grube warstwy, nietknięte Bóg jeden wie jak długo. Na ulicy zalegało najwięcej pyłu, ale nie mieliśmy wyboru, musieliśmy się trzymać jej środka. Budynki zapadały się, gdy podchodziliśmy zbyt blisko. Wystarczyły wibracje naszych kroków, by zakłócić kruchy spoczynek domostw, i całe fragmenty ścian waliły się na ziemię w gigantycznych kłębach pyłu. Podniosłem jedną cegłę, a ona rozpadła mi się w dłoni. Próbowałem odgadnąć, jak stare są pozostałości miasta, skoro stały się tak kruche, ale wszelkie wnioski nie miały sensu. Ludzki umysł nie radzi sobie dobrze z tak wielkimi liczbami.

I kiedy już powoli oswajałem się z tym, w jakim miejscu i czasie się znalazłem, zacząłem coś słyszeć. Dźwięki na początku były tak słabe, że

uznałem je za wytwór własnej wyobraźni. Ale po chwili zaczęły dochodzić z każdej strony, słyszałem je przed i za nami, delikatne, niepokojące, zdawały się skradać ku nam powoli. Tak bujnej wyobraźni to ja już nie mam. Dźwięki były niemalże znajome, ale nie do końca właśnie, co wywoływało u mnie dziwaczne, a zarazem złowieszcze wrażenie.

Nie odwróciłem się ani razu, ale bacznie przepatrywałem cienie przed nami. I nic. Przyspieszyłem kroku, a dźwięki ruszyły w ślad za mną. Szły naszym tropem, śledziły nas, wciąż w pewnej odległości, ale niezbyt wielkiej. Dłonie mi się pociły. Delikatny stukot, cichutkie ćwierkanie, niemalże byłem w stanie odgadnąć, co wydaje taki dźwięk. Joanna też je usłyszała i otwarcie rozglądała się, by odkryć ich źródło. Płomień zapalniczki w jej dłoni migotał dziko, zacząłem się nawet obawiać, że zgaśnie, więc położyłem Joannie dłoń na ramieniu, niby to chcąc zwolnić tempo naszego marszu.

- Co to jest, do cholery? - zapytała niespokojnie. - Czy to znaczy, że jednak coś tu jest? Coś żywego?

- Nie wiem. Dźwięk dochodzi z każdej strony, a to znaczy, że tych cosiów jest wiele i nas otaczają. - Próbowałem przeniknąć wzrokiem spowijający ruiny cień, ale bezskutecznie. Wszystko mogło się kryć w tym mroku. Absolutnie wszystko. Z minuty na minutę czułem się coraz bardziej nieszczęśliwy. - Cokolwiek to jest, w tej chwili trzyma się od nas z daleka. Być może boi się nas bardziej niż my jego.

- Raczej w to wątpię - stwierdziła Joanna. - Jak daleko mamy do granicy?

- Pół godziny marszu. - Użyłem daru. - Kwadrans, jeśli pobiegniemy. Ale bieg może zostać opacznie zrozumiany.

Obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem.

- Czy to mogą być znowu Siewcy?

- Nie. Za szybko, Eddie dopiero co wysłał swą krótką wiadomość. - Pokręciłem głową. - Ktokolwiek stał za atakiem Siewców Udreki, będzie przez chwilę rozważał implikacje tej wiadomości. Ja bym się zastanowił. Nawet najwięksi gracze stają się nerwowi, gdy chodzi o Ostrego Eddiego. Poza tym Siewcy nigdy nie byli w stanie namierzyć mnie tak dokładnie, w przeciwnym razie dawno byłbym martwy. Może to...

owady. Zawsze uważałem, że jeżeli cokolwiek jest w stanie przetrwać dłużej niż człowiek, to będą to pieprzone owady. Nawet naukowcy mówią, że tylko owady przetrwałyby wojnę atomową. Więc to mogą być one. Niech to szlag. Nienawidzę robali.

- Jesteś pewien, że to nie może być człowiek, może jakiegoś innego nieszczęśnika pochłonęły Piaski, może jest ranny, w pułapce, i próbuje zwrócić naszą uwagę.

Aż jęknąłem. Powinienem sam o tym pomyśleć. Mało prawdopodobne, ale... Sięgnąłem darem w noc, starając się zidentyfikować źródło dźwięków, i ku mojemu absolutnemu zaskoczeniu trafiłem na ślad człowieka. I to bardzo blisko nas.

- Tam ktoś jest! Człowiek... jeden, sam. Nie rusza się. Może być ranny... Tędy!

Ruszyłem sprintem, wzbijając tumany kurzu. Joanna biegła tuż obok mnie. Zaczęło mi się to podobać. Nie słyszeliśmy już dziwaczych odgłosów, za to przepełniało nas podniecenie. Szukaliśmy drugiego człowieka, kogoś żywego w tym odrażającym, martwym świecie. To mógł być turysta, może rozbitek, mógł być odpowiedzią na dręczące nas pytania. A mógł być biedakiem potrzebującym pomocy. Ale najpierw najważniejsze. Mój dar działał niczym radar, prowadząc nas w dół ulicy, a potem boczną alejką. Teraz już szliśmy ostrożnie w obawie, że wibracje naszych kroków zwałą nam na głowy ceglane mury. Lecz te nawet nie drgnęły.

Wreszcie stanęliśmy przed ogromną dziurą w ścianie. Poszarpane brzegi sprawiały, że otwór wydawał się... organiczny, jakby to była wielka rana, a nie wejście. Delikatnie zbliżyłem palec do jednej z wystających cegieł.

Nic się nie stało. Nie osypała się pod moim dotykiem. Dziwne. Wewnątrz mrok był nieprzenikniony, powietrze niesło ze sobą odległy zapach stęchlizny. Skinąłem na Joannę, by poświeciła zapalniczką, ale blask płomienia nie sięgał dalej niż cal, może dwa.

- On jest tam? - upewniła się. - Jesteś pewien? Ciemno jak w grobie... i tak samo cicho.

- Jest tam - stwierdziłem z mocą. - Mój dar nie myli się w takich przypadkach. Ale faktycznie jest tu coś... dziwnego. - Ostrożnie

przesunąłem głowę poza krawędź otworu. - Halo? Słyszysz mnie?

Czekaliśmy, ale nie było żadnej odpowiedzi. Cegły nawet nie drgnęły, mimo że mój podniesiony głos musiał spowodować jakieś wibracje. I kiedy tak nasłuchiwałem, uświadomiłem sobie, że prześladowający nas dziwaczny odgłos zamilkł. Na tę chwilę przyjąłem, że zwyczajnie zgubiliśmy owo coś, co szło za nami; choć w głębi duszy miałem wątpliwości, postanowiłem odłożyć je na inną okazję. Zacząłem badać krawędzie dziury. Im dłużej się zastanawiałem, tym mniej mi się podobała ta sytuacja. Wszystko na kilometr śmierdziało pułapką, w której rolę przynęty pełnił ranny (być może) człowiek. W ciemności mogło czaić się wszystko. Ale człowiek był tam na pewno, nawet jeśli nie odpowiadał na wołanie, nawet jeśli był ciężko ranny... stanowiliśmy jego jedyną szansę na ocalenie. I niech mnie trafi szlag, jeśli zostawię kogoś w tym zapomnianym przez Boga miejscu. Więc... Wziąłem głęboki oddech, czując, jak zapach stęchlizny wypełnia moje nozdrza i drapie w gardle. I ostrożnie zanurzyłem się w nieprzeniknionej ciemności. Przez moment stałem nieruchomo, nasłuchując, ale nic się nie wydarzyło. Odsunąłem się nieco i wpuściłem Joannę z jej migotliwym światłem.

Staliśmy w pomieszczeniu, które powstało na skutek dość niechlujnego wyburzenia ściany między dwoma pokojami. Wszędzie wałały się jakieś czarne przedmioty, nie wyglądały jak cegły, ale jakoś nie miałem ochoty ich dotykać, by sprawdzić, czym właściwie są. Omijałem je więc uważnie. W suchym, stojącym powietrzu unosił się nieprzyjemny gryzący zapach, który nie do końca maskował przykrą woń rozkładu, zupełnie jakby coś tu niedawno zdechło. Na podłodze nie było pyłu, za to ściany pokrywał gruby kilim szarej pleśni. Pozwoliłem, by dar prowadził, Joanna nie odstępowała mnie ani na krok, oświetlając drogę zapalniczką zaciśniętą kurczowo w wyciągniętej ręce. Cienie tańczyły wokół nas opętańczo. Krok za krokiem zbliżaliśmy się do kąta, w którym tkwiło coś, co wyglądało jak wielki szary kokon. Siegał aż do sufitu, miał z pięć stóp wysokości i ze trzy szerokości. Przez myśl przemknęło mi pytanie, jak duży insekt może wyleźć z tak wielkiego kokonu, i natychmiast obiecałem sobie więcej się nad tym nie zastanawiać. Nienawidzę robali. Rozejrzałem się, ale człowieka nigdzie

nie było, mimo że dar popychał mnie naprzód.

W końcu stanęliśmy przed samym kokonem, który połyskiwał blado w świetle zapalniczki.

- Powiedz mi, że nie myślisz o tym co ja - wyjąkała Joanna.

- On jest w środku - odpowiedziałem niechętnie. - I wciąż żyje. Żywy, w środku... Musi być w środku, bo nie ma go nigdzie indziej.

Z trudem przełknąłem ślinę i wyciągnąłem dłoń w stronę kokonu. Był wilgotny i gorący, coś jak jedwab, jak sieć pajęcza. Dotyk wywołał ciarki obrzydzenia. Złapałem paskudztwo na wysokości twarzy i rozdarłem brutalnie. Obrzydliwy materiał przylgnął do moich palców, rozciągał się nienaturalnie, zanim wreszcie pękł. Trzeba było całej mojej siły, żeby zrobić dziurę w zewnętrznej powłoce kokonu. Pod spodem była twarz. Ludzka twarz.

O szarej skórze i zamkniętych powiekach. Zawahałem się. Ten człowiek musiał być martwy mimo tego, co mówił mi mój dar, mimo tego, że powieki drgały leciutko, jakby próbował otworzyć oczy.

Zacząłem rozrywać kokon obiema rękami. Ohydna rzecz stawiała opór, sklejała mi palce, przywierała do policzków tamtego, jakby próbowała naprawiać czynione przeze mnie spustoszenie. Wezwałem Joannę na pomoc i w końcu udało nam się uwolnić głowę i ramiona nieszczęśnika. Zerwałem resztki lepkiej materii z jego twarzy i wtedy otworzył oczy. Wreszcie dotarło do mnie, że znam tę twarz. Teraz była starsza, bardziej pobrużdżona, z oczami pełnymi przerażenia większego, niż byłbym w stanie sobie wyobrazić. A jednak nie miałem wątpliwości, to był Ostry Eddie.

Powoli próbował zogniskować na mnie wzrok. Starłem mu resztki lepkiej materii z twarzy za pomocą chusteczki Joanny. Sprawiał wrażenie przytomnego, ale to wszystko. W jego oczach nie było nawet isierki świadomości czy człowieczeństwa. Nie poznawał nas. Mówiliśmy do niego głośno i uspokajająco, ani na moment nie przestając walczyć z oporną materią kokonu. Wreszcie, cal po calu, rozerwaliśmy kokon na tyle, by wy dostać zeń Eddiego. Przelewał nam się przez ręce. Wciąż miał na sobie swój stary płaszcz, teraz jeszcze bardziej złachmaniony, podziurawiony i podarty, cały przesiąknięty śluzem, z konstelacjami plam, które wyglądały jak zaschnięta krew.

Odciągnęliśmy Eddiego od kokonu, ale jego nogi pozostawały bezwładne, więc posadziliśmy go na ziemi, opierając plecami o ścianę. Oddychał ciężko, spazmatycznie, jak gdyby odwykł od tej czynności. Nie chciałem nawet zgadywać, jak długo tkwił w tym kokonie i jakie to miało dla niego skutki. W głowie kłębiły mi się setki pytań, ale nie przestawałem przemawiać łagodnie i kojąco, starałem się do niego dotrzeć i sprowadzić do rzeczywistości z tego miejsca gdzieś w głębi siebie, w którym musiał się ukryć, by przetrwać. Spojrzenie Eddiego koncentrowało się na mnie, ignorując Joannę.

- Wszystko w porządku, Eddie - powiedziałem. - To ja, John Taylor. Wyciągnęliśmy cię z... tego czegoś. Dojdiesz do siebie, staniesz na nogi i wyniesiemy się stąd z powrotem do Nightside. Eddie? Słyszysz mnie, Eddie?

W jego nieruchomym oczach powoli pojawił się błysk zrozumienia, choć zgroza i przerażenie pozostały. Wargi poruszyły się z wysiłkiem. Pochyliłem się, by usłyszeć, co mówi. Głos miał szorstki i chrapliwy, a mówienie sprawiało mu wyraźną trudność, zupełnie jakby nie używał go od bardzo, bardzo dawna.

- John... Taylor. Po tych wszystkich latach. Ty... draniu. Bóg wtrącił cię do piekła.

- Co? - Wyprostowałem się gwałtownie zaskoczony, pewny, że musiałem się przesłyszeć. - Wyciągnę cię stąd, Eddie. Wszystko będzie dobrze.

- Nigdy już nie będzie dobrze... Nigdy więcej. A to wszystko twoja wina. Wszystko.

- Eddie...

- Powinienem był cię zabić... kiedy jeszcze miałem szansę. Zanim... zniszczyłeś nas wszystkich.

- Co ty gadasz? - wtrąciła się Joanna ze złością. - Dopiero co tu trafiliśmy. John nic nie zrobił. To Piaski Czasu!

- Więc bądź przeklęty, John, za to... co zrobisz.

- To moja wina? powiedziałem wolno. - Obwiniasz mnie... za coś, czego nawet jeszcze nie zrobiłem? Eddie, znasz mnie, wiesz, że nie zrobiłbym czegoś, co spowodowałoby koniec świata. Koniec wszystkiego. Nie z wyboru, nie świadomie. Musisz mi powiedzieć.

Powiedz mi, co mam zrobić, żeby do tego nie dopuścić?

Wargi Eddiego wolno ułożyły się w nieskończenie smutny uśmiech.

- Zabij się.

- Zdradziłeś Johna Siewcom Udręki - odezwała się Joanna. - Dlaczego miałby wierzyć choćby jednemu twojemu słowu? Może powinniśmy zapomnieć o ratowaniu ciebie, tylko odejść stąd, a wcześniej wcisnąć cię z powrotem do tego kokonu.

- To się nie stanie - zapewniłem go szybko, widząc, jak w jego spojrzeniu znów pojawia się nieskończona groza. - Chodź z nami. Pomóż nam temu zapobiec. Jesteśmy niedaleko od granicy Piasków. Zrobię wyłom i wrócimy do domu. Tam, gdzie nasze miejsce.

- Do... przeszłości?

Jego słowa mnie zastanowiły. Skoro Eddie trafił tu w ten trudniejszy sposób, czyli poprzez upływ lat, czy mogę ryzykować i zabrać go do przeszłości? Czy Nightside zniesie dwóch Eddiech? Odepchnąłem tę myśl. To nie miało znaczenia. Nie mógłbym pod żadnym pozorem zostawić go tutaj. W ciemności. W kokonie. Pewnych rzeczy zwyczajnie nie możesz zrobić, jeśli nadal chcesz się nazywać człowiekiem.

Postawiliśmy go i tym razem nogi go utrzymały. Choć przeszedł koszmar, wciąż był to Ostry Eddie, twardy jak stal. Pomogliśmy mu przejść przez pomieszczenie i wyjść na zewnątrz przez dziurę, z powrotem do alejki. Kiedy tylko opuściliśmy budynek, znów otoczyły nas dźwięki. Eddie skulił się, gdy je usłyszał, ale tylko na moment. Spojrzenie miał twarde, usta zacięte. Zanim dotarliśmy do głównej ulicy, szedł już sam. Coś go złamało, coś potwornego, ale mimo tego nie przestał być sobą.

- Jak to się stało, że jesteś tu jedynym żywym? - zapytałem w końcu. - I kiedy właściwie jesteśmy? Jak daleko w przyszłości? Dopiero co wróciłem do Nightside po pięcioletniej nieobecności, jeśli pomoże ci to jakoś określić daty. Do diabła, Eddie, ile wieków minęło od upadku miasta?

- Wieków? - powtórzył Eddie. - Wydaje się, jakby minęły wieki, to prawda, ale w rzeczywistości to jedynie osiemdziesiąt dwa lata od dnia, w którym zdradziłeś nas wszystkich i Nightside upadło.

Joanna i ja wpięrow spojrzeliśmy na siebie nawzajem, a potem ponownie na opuszczone martwe miasto. Wszechobecne ruiny, niebo bez księżyca i gwiazd.

- Jakim cudem to wszystko mogło się stać w zaledwie osiemdziesiąt dwa lata? - zapytałem.

- Byłeś wyjątkowo dokładny, John. To wszystko to twoje dzieło. To ty to spowodowałeś - Eddie starał się, by jego słowa brzmiały oskarżycielsko, ale był chyba zbyt zmęczony. - Ludzkość wymarła... dzięki tobie. Świat jest martwy. Zimny i zepsuty, a jedyne życie, jakie przetrwało... jest jak czerw, który toczy gnijący owoc. Tylko ja zostałem... by móc o tym opowiedzieć. Bo nie mogę umrzeć. To część umowy, jaką zawarłem... lata temu. Na Promenadzie Bogów. Głupiec. Przeklęty idiota. Żyłem tak długo... by zobaczyć na własne oczy koniec wszystkich i wszystkiego, na czym kiedykolwiek mi zależało. Zobaczyć, jak moje marzenia zmieniają się w koszmar. A teraz tak bardzo chciałbym umrzeć... i nie mogę.

- Co John zrobił takiego? - naciskała Joanna. - Co mógł zrobić, żeby doprowadzić do czegoś takiego?

- Nie powinieneś być nigdy szukać swojej matki - odparł Eddie. - Nie mogłeś znieść tego, co znalazłeś. Nie mogłeś znieść prawdy.

- Trzymaj się, Eddie - powtórzyłem słabo. - Wracasz do domu. Do przeszłości. Do Nightside, jakim było.

I przysięgam ci... znajdziemy sposób, żeby temu zapobiec. Prędzej umrę, niż pozwolę, by to się wydarzyło.

Ostry Eddie odwrócił głowę, unikając patrzenia mi w oczy. Oddychał głęboko tym niemal świeżym powietrzem, zupełnie jakby już dawno nie miał okazji nabrać w płuca tlenu. Szedł już prawie normalnie i utrzymywaliśmy niezłe tempo, a granica była coraz bliżej. Jednak nie zdążyliśmy jeszcze opuścić ulicy, kiedy wszystko diabli wzięli.

Wylazły z dziur w ziemi, przed i za nami. Ciemne, połyskliwe, przeciskały swoje giętkie ciała przez otwory w zakurzonej gruncie. Zatrzymaliśmy się jak rażeni gromem. Były wszędzie. Patykowate nogi, korpusy okryte pancerzami, kompozytowe oczy, wielkie szczęki, klekoczące zuchwy i długie, drgające czułki. Owady.

W każdym chyba kształcie i każdego gatunku, a wszystkie strasznie,

strasznie wielkie. Kolejne wysypywały się z budynków, zbiegały po murach, lekkie niczym tchnienie mimo swych rozmiarów. Dołączyły do tych, które już nas okręzały, tworząc ruchomy, drgający, żywy kobierzec. Najmniejsze miały z sześć cali, największe dwie, a nawet trzy stopy i potężne żuwaczki, które wyglądały na dość ostre, by odgryźć człowiekowi rękę czy nogę. Czasem wspinały się jeden na drugiego, jakby chciały nas lepiej obejrzeć, ale wciąż jeszcze zachowywały bezpieczny dystans.

Czułem, jak zbiera mi się na wymioty. Naprawdę nienawidzę robali.

- No cóż - starałem się mówić lekkim tonem. - Zawsze uważałem, że insekty w końcu odziedziczą ten świat. Tylko nie przypuszczałem, że będą tak cholernie duże.

- Karaluchy - odezwała się Joanna głosem, który pobrzmiwał odrazą, - Ohydne stworzenia. Powinnaś zdeptać ich więcej, gdy miałam okazję.

Machnęła zapalniczką, a te najbliższe nieco się cofnęły. Ogień. Niewielki płomień nie był dla nich żadnym zagrożeniem, ale instynkt podpowiadał im co innego. Może moglibyśmy wykorzystać zapalniczkę, by utworzyć sobie przejście... Zerknąłem na Eddiego, żeby zobaczyć, jak się trzyma, i z przerażeniem odkryłem, że płacze cichutko. Co takiego mu zrobiły? Wielki i groźny Ostry Eddie, Uliczny Bóg Brzytwy, doprowadzony do łez przez kupę robaków? Ogarnęła mnie taka wściekłość, że nie mogłem wykrztusić słowa. Jeszcze nie wiedziałem, jak to zrobić, ale obiecałem sobie, że zanim opuszczę to miejsce, dam im posmakować tej wściekłości. Odplącę im.

- To... obrzydliwe - stwierdziła Joanna. - Trafiliśmy do miejsca, gdzie żyją naprawdę dzikie stwory. Natura w swej najprostszej i najbardziej przerażającej formie.

- W rzeczy samej - usłyszałem znajomy, radosny głos, przepełniony samozadowoleniem. Obejrzałem się gwałtownie. W centrum niewielkiego kręgu wolnego od owadów stał Kolekcjoner. Mój stary znajomy z czasów zanim odszedłem z Nightside. Nie przyjaciel. Nie sądzę, by Kolekcjoner miał jakichś przyjaciół. Za to wrogów miał od cholery. Ubrany był jak gangster z burzliwych lat dwudziestych, z

zachowaniem najdrobniejszych szczegółów, od białych getrów na butach po rondo panamy.

I jak zawsze było w tym wszystkim coś fałszywego. Takie wrażenie sprawia ktoś, kto na co dzień ukrywa się za setką masek. Jego twarz była przesadnie rumiana, oczy lśniły dziko, a uśmiech był absolutnie nieszczerzy. Otaczało go ciepłe, żółte światło słoneczne, płynące znikąd, które trzymało insekty w całkiem przyzwoitej odległości.

- Co tu robisz, do cholery? - przywitałem go. - I komu ukradłeś ten wyjątkowo tandetny garnitur?

- Świetny, prawda? - stwierdził zadowolony z siebie Kolekcjoner. - Oryginalny Al Capone, zdobyłem go z jego osobistej garderoby, gdy akurat nie patrzył. Nie będzie mu go brakować. Miał jeszcze dwadzieścia takich samych. Mam nawet certyfikat autentyczności od krawca Capone. - Oceniał swój wygląd, jakby szykował się na randkę. - Spotykamy się w najdziwniejszych miejscach, prawda, John?

- Czy mam rozumieć, że znasz tego osobnika? - Joanna spoglądała na mnie niemal oskarżycielsko.

- Tak, to Kolekcjoner - wyjaśniłem z rezygnacją. - Wymień cokolwiek, a on na pewno ma to w swojej kolekcji, nawet jeśli było przybite do podłogi albo ogrodzone drutem kolczastym. Nie istnieje rzecz tak rzadka albo tak niespotykana, aby jej nie posiadał. Ma niekończący się apetyt na unikaty i kolejne polowania. Plotka głosi, że szczytuje już przy katalogowaniu swojej kolekcji. Kolekcjoner, złodziej, naciągacz, oszust, całkowicie pozbawiony skrupułów i sumienia, całkiem prawdopodobnie najbardziej nikczemna postać w Nightside. Nie ma takiej rzeczy, której nie zagarnąłby dla siebie, bez znaczenia, jak cenna jest dla swoich właścicieli. Znam innych kolekcjonerów, z niższej ligi, którzy oddaliby wszystko, co posiadają, wszystko, co ty posiadasz, za jedną wizytę w jego ukrytym magazynie. Jak leci, Kolekcjonerze? Znalazłeś już jajo feniksa?

- Trudno powiedzieć, zanim się coś nie wykluje. - Wzruszył ramionami, po czym zwrócił się do Joanny, posyłając jej całkowicie nieprzekonujący uśmiech. - Nie wierz we wszystko, co o mnie usłyszysz, moja droga. Jestem człowiekiem niezrozumianym.

- Nie, nie jesteś - zaprzeczyłem. - Jesteś hieną cmentarną,

rabusiem grobów, kutwą, gościem, który robi bałagan w historii. Archeologowie straszą tobą dzieci. Masz gdzieś, czy komuś stanie się krzywda, bylebyś tylko dostał to, czego chcesz.

- Chronię rzeczy, które przepadłyby w zawierusze dziejów - oznajmił Kolekcjoner niespieszony. - Kiedyś otworzę w Nightside muzeum, by każdy mógł podziwiać moje skarby... Ale na razie mam zbyt wielu konkurentów, to źli, zazdrośni ludzie, którzy bez mrugnięcia okiem okradliby mnie ze wszystkiego.

- Co tu robisz? - przerwałem mu. - Nie powiedziałbym, żeby zostało tu jeszcze coś cennego, czego mógłbyś chcieć.

- Bo twój punkt widzenia jest ograniczony, John. - Potrząsnął smutno głową. - Otoczony przez skarby i ślepy na ich wartość. Spójrz wokół siebie. Są tu gatunki owadów nieznane w naszym świecie. Unikalne odmiany, niewiarygodne, niespotykane. Znam kilka osób zbierających owady - zgodziliby się sikać krwią za możliwość zdobycia takich okazów. Zabiorę stąd po kilka egzemplarzy, podwójnie, na aukcję wyjątkowo unikalnych przedmiotów. Podróż w czasie jest ostatnio taka kosztowna.

- Podróż w czasie? - odezwała się Joanna. - Masz wehikuł czasu?

- Nic tak ordynarnego - zaprzeczył Kolekcjoner. - Aczkolwiek mam całkiem niezły zestaw mechanizmów z okresu rokoko... Nie, mam dar. Wielu mieszkańców Nightside go ma. Kochany John znajduje rzeczy, Eddie zabija brzytwą, której nikt nigdy nie widział... Ja przemieszczam się w Czasie. W ten sposób zdobyłem tyle cudownych okazów... Ale żeby odpowiedzieć od razu na twoje następne pytanie: nie, nie biorę pasażerów. Jak się tu znalazłeś, John?

- Piaski - mruknąłem. - Właśnie szliśmy do granicy, gdy pojawiły się te insekty. Z kiedy dokładnie przybywasz?

- Właśnie opuściłeś Nightside. W niejaki pośpiechu, przysięgając, że już nie wrócisz. Cofasz to?

- Minęło pięć lat od tamtego momentu. Wróciłem, ale humor mi się nie poprawił.

- Nie powiem, żebym był zdziwiony - stwierdził Kolekcjoner i rozejrzał się z szerokim, pełnym szczęścia uśmiechem. - Ach, ile piękności, aż nie wiem, od czego zacząć. Nie mogę się doczekać, żeby

wrócić do mojego magazynu i zacząć je przypinać do tablic!

- Mam nadzieję, że masz ze sobą naprawdę wielki słoik - prychnęła Joanna.

Insekty tłoczyły się wokół nas niespokojnie, a ich czułki skręcały się nieustannie. Owady były wyraźnie pobudzone. Postanowiłem przejść do sedna.

- Eddie mówi, że minęło zaledwie osiemdziesiąt dwa lata od chwili, kiedy wpadłem w Piaski. Wiesz, co było przyczyną tego wszystkiego?

Kolekcjoner zamachał w obronnym geście tłustymi łapami o obgryzionych paznokciach.

- Jest tyle przyszłości, tyle ścieżek czasu. Ta jest zaledwie jedną z możliwości. Jeśli cię to pocieszy, nie jest nieunikniona.

- Znasz tę przyszłość na tyle dobrze, by przenieść się tu za pomocą swojego daru - powiedziałem twardo. - Wiedziałeś o insektach. Mów do mnie, Kolekcjonerze. Zanim się zdenerwuję.

Kolekcjoner uśmiechnął się z wyższością i tym nieznośnym samozadowoleniem.

- Twoje groźby są bez pokrycia, John. Nie jesteś w stanie niczym mi zagrozić. Tak naprawdę to twoja sytuacja jest wyjątkowo paskudna, tylko jeszcze nie zdajesz sobie z tego sprawy. Masz rację. Badałem te owady z bezpiecznej odległości. I wiem, dlaczego są zainteresowane nami. Ludźmi. Wiem nawet, dlaczego jeszcze cię nie zabiły. Obawiam się, że powód ten jest raczej nieprzyjemny, ale cóż, takie właśnie są owady. Ich umysły są cudownie jednoznaczne. Nie ma w nich miejsca na strach czy inne emocje. Nie odczuwają nawet tak, jak my to rozumiemy. Interesuje je tylko przetrwanie. Zawsze podziwiałem ich bezwzględność. Tę zdeterminowaną i nieprzejednaną naturę.

- Zawsze byłeś dziwny - stwierdziłem. - Przejdź do rzeczy.

Wydawało mi się, że insekty są coraz bliżej.

- Nigdy nie przykładałeś się do nauki - powiedział Kolekcjoner. - Insekty składają jaja w ciele żywiciela. W ciele żywiciela nie-owada. Jajo rośnie i wykluwa się z niego larwa, wewnątrz żywiciela, a potem larwa wyjada sobie drogę na zewnątrz. Niezbyt to miłe dla żywiciela, ale... Brzydkie, bez jakichkolwiek wyrzutów sumienia czy napadów współczucia i absolutnie owadzie. Jednak w tym świecie żywymi

istotami są tylko owady. Jedyne żywiciel, jaki im jeszcze pozostał, to ten nieszczęsny biedak, którego wleciesz ze sobą. Przez osiemdziesiąt dwa lata nieśmiertelne ciało Ostrego Eddiego dawało życie kolejnym generacjom owadów. Jaja wchodzą, larwy z zębami wychodzą i gatunek trwa. Proces nie do końca miły dla biednego Eddiego, który był zjadany żywcem raz za razem, ale cóż... nigdy go nie lubiłem.

Nie spojrzałem na Eddiego. Nie musiał oglądać szoku i przerażenia malujących się na mojej twarzy, kiedy dowiedziałem się, jaki koszmar stał się jego udziałem. Tym bardziej, jeśli naprawdę ja to spowodowałem. Zrozumiałem już, dlaczego insekty trzymały go uwięzionego w kokonie. Nie mogły ryzykować, że znajdzie sposób, by odebrać sobie życie. Byłem tak wściekły... Tak wściekły, że gdybym mógł, zdeptałbym każdego pieprzonego karalucha na ziemi.

- A teraz i ty tu jesteś, John - mówił Kolekcjoner. - Ty i twoja przyjaciółeczka. Nowi żywiele dla kolejnych pokoleń. Nie sądzę, byście wytrzymali choć w połowie tak długo jak Eddie, ale jestem pewny, że zrobią z was dobry użytek, zanim nadejdzie wasz koniec. Zapewne mógłbym wam pomóc w ucieczce, ale cóż... ciebie też nigdy nie lubiłem, John.

Nagle Ostry Eddie zakrzyczał przeszywająco, wyprężył się, wyginając plecy w łuk, a całym jego ciałem wstrząsnęły potężne drgawki. Złapałem go za ramiona, ale targały nim konwulsje tak silne, że nie zdołałem go utrzymać. Upadł. Widziałem, jak zaciska zęby, by zdławić krzyki, ale z oczu płynęły mu strumienie łez. Uklęknąłem obok. Wiedziałem już, co się dzieje. Nie cofnąłem się, gdy setki młodych owadów wielkości może paznokcia wytrysnęły z jego drgającego ciała. Czarne, miękkie, gąbczaste stworki, o zębach niczym maleńkie brzytwy.

Wyłaziły nawet z oczu Eddiego. Jego płaszcz przesiąkł już krwią. Joanna opadła na kolana i zwymiotowała, nie wiem, jakim cudem udało jej się uchronić przy tym płomyk zapalniczki. Łapałem larwy pełnymi garściami i gniotłem, aż ich zmiażdżone ciała spływały mi po nadgarstkach, ale było ich po prostu zbyt wiele.

- Jak mam ci pomóc, Eddie? - krzyknąłem w desperacji, lecz on nie mógł mnie już usłyszeć.

- Jedyne, co możesz zrobić - odezwał się Kolekcjoner rozsądnie - to

zabić go. Tylko że nie możesz. Przecież to niezwykle Ostry Eddie, nieśmiertelny. Przyjrzyj się dobrze, John. Jak tylko w twojej śmiesznej zapalniczce skończy się paliwo, dopadną cię... Patrz, bo jego los będzie twoim udziałem i jej też, tak długo, jak uda się im utrzymać was przy życiu...

Przestałem go słuchać i skoncentrowałem się na moim talencie. Wiedziałem, że jeśli istniał sposób na zabicie Ostrego Eddiego, na ofiarowanie mu ostatecznego spokoju, mój dar to znajdzie. I po chwili już wiedziałem. Teraz, kiedy znałem odpowiedź, wydała mi się bardziej niż oczywista. Jediną rzeczą zdolną przeciąć nic żywota Ostrego Eddiego była jego własna brzytwa. Ostrze, którego nikt nigdy nie widział. Nie musiałem sprawdzać, by mieć pewność, że Eddie nie miał jej przy sobie. Już dawno zrobiłby z niej użytek. Ale insekty nie mogły mu jej tak po prostu odebrać. Eddie i brzytwa byli ze sobą związani paktem, który mógł anulować jedynie Bóg. Użyłem daru i już wiedziałem, była w jedynym miejscu, gdzie Eddie nie mógł jej dosięgnąć. Wewnątrz niego samego.

Zmusiłem się, by działać bez namysłu, nie dopuścić do siebie żadnych uczuć. Wsadziłem palce w jeden z otworów zrobionych przez larwy, rozdarłem go i wepchnąłem rękę głęboko w bebechy Eddiego. Byłem głuchy na jego rozpaczliwe krzyki, przycisnąłem go do ziemi, gdy wierzgał, broniąc się przede mną. Joanną targaly gwałtowne torsje, choć nie miała już czym rzygać, jednak nie zdołała odwrócić wzroku. Ramię miałem skrwawione do łokcia, gdy wreszcie moje palce natrafiły na rękojeść staroświeckiej brzytwy. Eddie wył jak potępieniec, kiedy wyciągałem rękę. Z mojej dłoni, ściskającej brzytwę, ściekały grube krople krwi. Eddie już tylko cicho skamlał. Lubię myśleć, że w jego oczach widziałem ulgę i wdzięczność.

- Do widzenia, Eddie - powiedziałem miękko. - Wybacz mi i zaufaj. Nie pozwolę, by to się wydarzyło.

- Bardzo wzruszające - stwierdził Kolekcjoner. - Ale czy zadajesz sobie sprawę, że jeśli go zabijesz, a potem odejdziesz wraz z tą kobietą z tego czasu, to skążesz na zagładę cały gatunek? On jest ich jedynym żywicielem. Jesteś gotów popełnić taką zbrodnię, wymazać jedyne żywe stworzenia na ziemi?

- O tak - odpowiedziałem, a Eddie nie drgnął nawet, gdy poderżnąłem mu gardło, docisnąwszy ostrze tak mocno, że czułem, jak zgrzyta o kręgosłup. Musiałem mieć pewność. Krew trysnęła strugą, mocząc mnie, Eddiego i grunt wokół nas. Uliczny Bóg Brzytwy leżał spokojny, nieruchomy; objąłem go i zapłakałem, tak jak on nie mógł. Albowiem mimo dzielących nas różnic, a nie było ich mało, Eddie był mi zawsze przyjacielem. Kiedy uszło z niego życie, brzytwa zniknęła z mojej ręki bez śladu. Ułożyłem ciało na ziemi i wstałem niezgrabnie. Kolekcjoner patrzył na mnie kompletnie oglupiały.

- Nienawidzę robali - wyjaśniłem.

Nagle przenikliwy, nieludzki dźwięk wypełnił fioletową noc. Owady krzyczały. Trwało to dobrą chwilę, ale dotarło do nich wreszcie znaczenie mojego czynu. Krzyk rósł, wzrastał się i potężniał, w miarę jak podejmowały go kolejne insekty, aż w końcu dobiegał z każdego chyba zakątka wyludnionego miasta. Uśmiechnąłem się, tak po staremu, diabelsko. Kolekcjoner aż skulił się na ten widok. Wśród robali zawrzało, tłoczyły się jak oszalałe. Właśnie zamordowałem całe ich potomstwo, wszystkie kolejne pokolenia... chyba że zdołają jakoś wykorzystać mnie i Joannę. Sprawdziłem odległość do granicy, biegiem jakieś piętnaście minut, no dziesięć, jeśli będziemy naprawdę zmotywowani. Spojrzałem na kłębiące się robactwo... póki mamy jeszcze paliwo w zapalnicze.

Kolekcjoner wrzasnął dziko, gdy grunt pod jego stopami zaczął się zapadać. Insektów pod ziemią nie powstrzymywało światło, nie bały się więc do niego podejść. Jedna z nóg sukinsyna zniknęła do połowy w powstałej nagle dziurze, a on sam zawył z bólu i zaskoczenia, najpewniej któreś szczękoczułki zacisnęły się na kończynie. W miejscu gdzie jeszcze przed chwilą staliśmy z Joanną, zaczęło otwierać się więcej dziur, ale ja już zdążyłem siłą postawić ją na nogi i zmusić do biegu. Ciało Eddiego zostało za nami. Powoli obracało się w proch, straciwszy swą odporność na upływ czasu.

Minęliśmy Kolekcjonera, który wrzeszczał cienko, próbując uwolnić nogę i jednocześnie wydobyć coś z kieszeni. Wreszcie wyszarpnął metalowy pojemnik i prysnął jego zawartością w dziurę pod sobą. Odpowiedział mu krzyk owadów i Kolekcjoner zdołał wyciągnąć

kończynę - brakowało jej sporej części mięśnia, a biała kość połyskiwała obrzydliwie wśród strzępów czerwonego mięsa. Kolekcjoner zaskomlał i zaczął jak szalony rozpylać zawartość pojemnika wokół siebie, wprost do otwierających się kolejnych dziur w ziemi. Tracił koncentrację, więc otaczające go światło zaczęło migotać. Zaklął krótko i zanurkował w Czasie, a insekty rzuciły się w pogoń za nami.

Joanna odzyskała w pełni panowanie nad sobą, twarz miała zaciętą i skupioną, a zapalniczkę trzymała niczym krzyż, który miałby odstraszyć nieumarłych. Płomyk wydał mi się nieco mniejszy niż przed chwilą, ale nic nie powiedziałem. Albo zgaśnie, albo nie. Owady tłoczyły się wokół nas, wspinały jeden po drugim, ale żaden nie przekroczył granicy kurczącego się powoli kręgu światła. Biegliśmy wprost na nie. Cofały się w ostatniej chwili, potężne żuwaczki szczękały raz po raz, niczym zatrzaszkujące się sidła na niedźwiedzie. Rzuciłem okiem na zapalniczkę i nie spodobało mi się to, co zobaczyłem. Nie było wątpliwości, że płomyk zgaśnie, zanim dotrzemy do granicy, a razem z nim zgaśniemy i my. Po raz kolejny więc sięgnąłem po mój dar, by znaleźć ścieżkę mocy.

W Nightside jest ich nieskończenie wiele pod jeszcze większą liczbą nazw - od hipernaukowych lay-lines^[*] po magicznie iskrzący Tęczowy Most, wszystkie były ścieżkami chwały, widocznymi tylko dla najbystrzejszego oka. Łączyły w sobie esencję świata z niematerialną energią. Jeśli miało się odwagę nimi podążyć, można było zrealizować najskrytsze pragnienie serca. Podobno. A co najważniejsze, istniały i tu, w tym opuszczonym przez Boga i ludzi miejscu. Mój dar złapał tę prowadzącą wprost do granicy Piasków i sprawił, że zaistniała w rzeczywistości. Przed nami pojawiła się ścieżka, iskrzyła i migotała jasno, a owady jak poparzone odskakiwały na bezpieczną odległość. Biegliśmy ramię w ramię, zmuszając się do maksymalnego wysiłku, a spod stóp strzelały nam iskry.

Z każdym krokiem biegłem wolniej. Korzystanie z daru zużyło znaczną część moich sił, a to był naprawdę długi i męczący dzień. Używałem talentu zbyt często, wymagałem zbyt wiele i teraz przyszło mi za to zapłacić.

W głowie huczał potężny bęben, niewiele już widziałem poza blaskiem szlaku, krew ciekła mi z nosa aż na piersi. Nóg zupełnie nie czułem. Joanna musiała mnie ciągnąć, kolejne kroki robiłem już tylko dzięki determinacji. Granica była coraz bliżej, ale wciąż cholernie daleko. Jak we śnie, gdy biegiesz i biegiesz, ale nigdy nie zbliżasz się do celu. A insekty roiły się jak okiem sięgnąć, żywy kobierzec z ohydnyimi zamiarami.

Byłem zmęczony i obolały, ale i tak poczułem się zaskoczony, gdy nogi odmówiły posłuszeństwa i ugięły się pode mną nagle. Z rozmachem usiadłem na ścieżce, która posłała całą serię drobnych wstrząsów wprost do mego ciała, żaden, niestety, nie był silny na tyle, by poderwać mnie z ziemi. Owady tłoczyły się na granicy światła i ciemności, wlepiając we mnie kompozytowe oczy pozbawione wszelkiego wyrazu. Joanna usiłowała mnie dźwignąć, ale byłem zbyt ciężki. Przetoczyłem się na bok i spojrzałem do góry, w jej oczy.

- Wynoś się stąd - powiedziałem. - Poprowadziłem cię tak daleko, jak mogłem. Bardziej nie mogę ci pomóc. Granica jest przed tobą, zrobiłem już w niej wyłom, przez który dostaniesz się wprost do Nightside. Idź znaleźć swoją córkę, Joanno. I bądź dla niej dobra. Przez pamięć o mnie.

Puściła moje ramię, które opadło bezwładnie na jaskrawy szlak. Nawet tego nie poczułem.

- Nie zostawię cię - stwierdziła. - Nie mogę cię zostawić.

- Oczywiście, że możesz. Jeśli oboje tu zginiemy, kto pomoże twojej córce? Nie martw się, będę martwy, zanim te robaki mnie dotkną. Już ja się o to postaram. Być może... moja śmierć sprawi, że to nigdy się nie wydarzy. Czas jest zabawną sprawą. Czasami. A teraz idź już. Proszę.

Tkwiała tak, patrząc na mnie, i wszelkie emocje zniknęły z jej twarzy, nagle kompletnie pozbawionej wyrazu. Doznała szoku, jak sądziłem, albo tylko rozważała wszelkie za i przeciw. Odwróciła się ode mnie, patrzyła w dół ścieżki, zmierzającej wprost do granicy, ścieżki, której istnienie musiała przyjmować na wiarę. Zamierzała mnie porzucić. Zostawić na pewną śmierć. Czułem to. Część mnie przeklinała ją, część chciała ją pospieszać. Zawsze wiedziałem, że Nightside w końcu mnie zabije, i nienawidziłem myśli, że mogę kogoś za sobą

pociągnąć. A wtedy pani Barrett odwróciła się, emocje znów wróciły na jej twarz, złapała mnie za ramię obiema rękami.

- Wstawaj - wrzasnęła wściekle. - Niech cię szlag, wstawaj, ty pieprzony gnoju! Nie po to zaszliśmy tak daleko, żebyś się teraz poddał! Nie idę bez ciebie, więc jeśli nie wstaniesz, to mnie zabijesz! Rusz się, do kurwy nędzy!

- Skoro tak stawiasz sprawę - powiedziałem albo tak mi się zdawało.

Wspólnymi siłami postawiliśmy mnie na nogi i pokuśtykaliśmy dalej lśniąca dróżką. Wciąż byłem przekonany, że kolejny krok będzie moim ostatnim, że nie został we mnie już ani okruszek siły, ale Joanna nie pozwalała mi upaść. Podtrzymywała mnie, a tak naprawdę prawie niosła, dodając mi otuchy to słowami pocieszenia, to paskudnymi bluzgami. Wlokła mnie tak do samej granicy przy wtórze ogłuszającego krzyku robali, aż nagle przekroczyliśmy limes temporis i znaleźliśmy się w naszym własnym Czasie.

Osunęliśmy się oboje na zmoczoną deszczem ulicę, walcząc o oddech, a wokół nas zachwycająco grzmiało, lśniło, ryczało miasto. I wszędzie, wszędzie wokół byli ludzie! Na niebie lśniły diamenty gwiazd przyćmione jedynie wspaniałością ogromnego księżyca. Jak dobrze być w domu. Leżeliśmy obok siebie, na chodniku, a ludzie omijali nas uważnie, nie zwracając uwagi na to, że moje ciuchy przesiąknięte były krwią. W Nightside każdy pilnuje własnego nosa. Spojrzałem na księżyc, który łypał na mnie, i wyszeptalem „przepraszam”. Nie każdy ma szansę obejrzeć skutki swoich działań, to, jak właściwie będzie wyglądać świat, gdy naprawdę nawali. Zastanowiłem się przez moment, czy powinienem powiedzieć Ostremu Eddiemu o tym, co zobaczyłem w trakcie tej wycieczki w przyszłość, i po namyśle doszedłem do wniosku, że to zły pomysł. Niektóre rzeczy są tak straszne, że nikt, nawet Uliczny Bóg Brzytwy, nie powinien o nich myśleć.

Żadna przyszłość nie jest wykuta w kamieniu. Powinienem to wiedzieć, w końcu niejednego już w życiu doświadczyłem. Ale i tak czułem się winny, nawet mimo tego, że nie wiedziałem za co.

„Nie powinieneś był szukać swojej matki” powiedział Eddie z przyszłości. Matka, która porzuciła mnie we wczesnym dzieciństwie,

zawsze mnie ciekawiła. Kobieta, która tak naprawdę nie była wcale człowiekiem. W tej porannej godzinie, kiedy sen znika, by już nie wrócić, często zastanawiałem się, jak to jest, że mogę pomóc ludziom odnajdywać rzeczy, które mają dla nich znaczenie, a nie mogę odnaleźć tej jednej istoty, która ma znaczenie dla mnie. No cóż, teraz będę miał kolejny temat do przemyśleń o trzeciej nad ranem.

Zerknąłem na Joannę.

- Przez moment byłem pewny, że mnie tam zostawisz.

- Przez moment chciałam - powiedziała powoli. - Sama siebie zaskoczyłam. Nie wiedziałam, że stać mnie na taką determinację - zmarszczyła brwi - ale to było... dziwne. Coś w środku nie chciało, żebym ci pomogła. Nie każ mi wyjaśnić, bo nie potrafię. Mam to na końcu języka, słowo czy też wspomnienie i nie mogę go jakoś... Niech to diabli, to nie ma znaczenia. Wydostaliśmy się. A teraz wstaniemy z tego cholernie zimnego, mokrego chodnika i pójdziemy na ulicę Blaiston. Po tym, co przeszliśmy, żeby tam dotrzeć, to będzie łatwizna. I lepiej, żeby się nie okazało, że to wszystko było na marne.

- Cathy tam będzie - zapewniłem ją.

- I znajdziemy ją, i uratujemy z tych cholernych kłopotów, w jakie się na pewno wpakowała tym razem. A reszta może zaczekać. Umowa stoi?

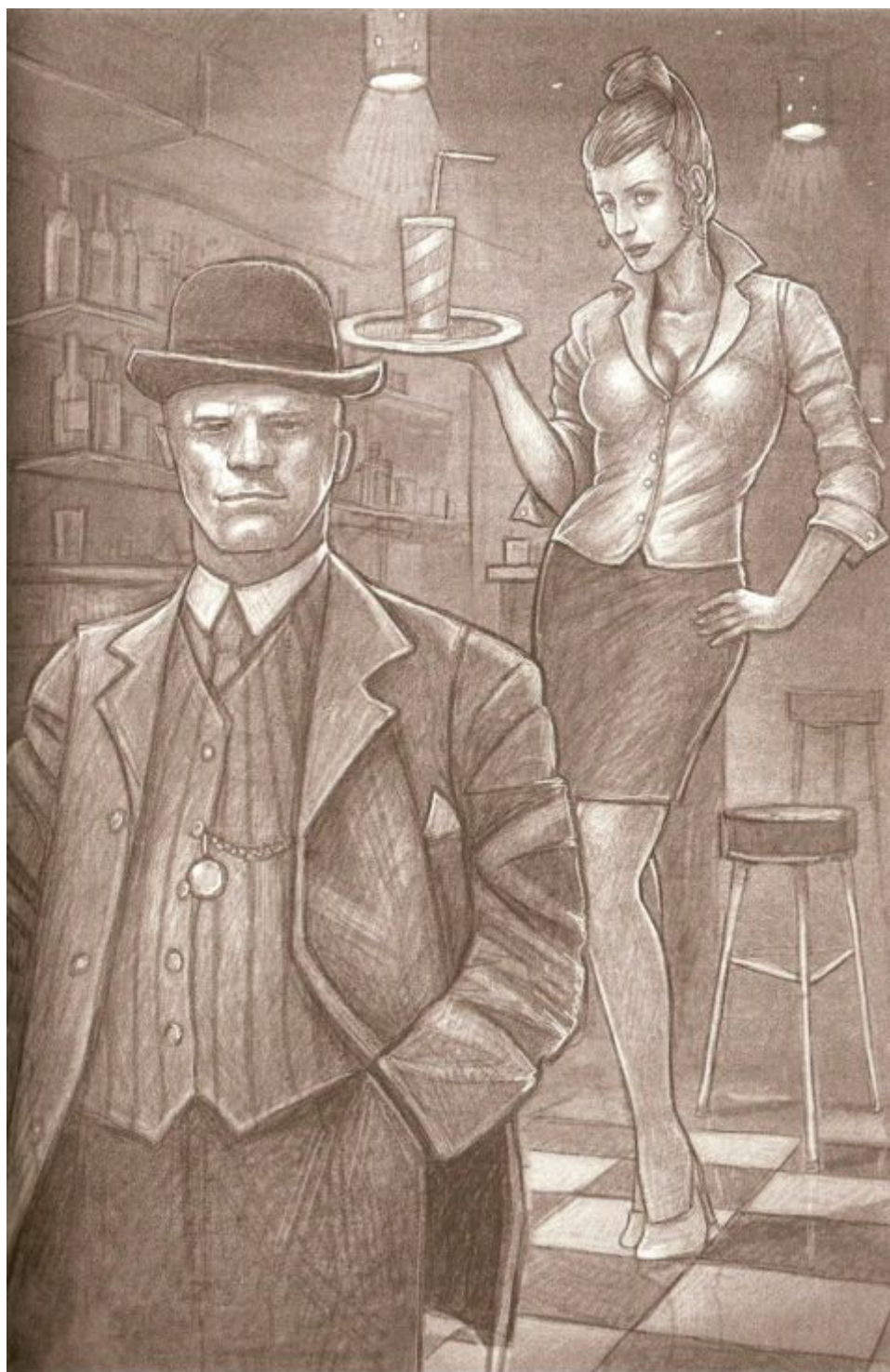
- Jasne - odpowiedziałem, nie całkiem pewien, na co właściwie się zgadzam.

Kiedy się dowiedziałem, było już oczywiście za późno.

[*] Alfred Watkins - fotograf - zauważył, że miejsca kultu położone są wzdłuż linii prostych. Stworzono mapy tych linii w Wielkiej Brytanii i stwierdzono, że można badać te linie metodami radiestezyjnymi. Nazwano je właśnie „lay-lines”. Są to linie geomantyczne, tworzące małą i dużą sieć na kuli ziemskiej. Ich szerokość, czyli pasmo promieniowania stymulującego, wynosi od kilku do kilkudziesięciu metrów, natomiast długość jest różna: te największe okalają całą planetę i przebiegają przez np. piramidę Cheopsa czy Stonehenge. „Lay-lines” przechodzą przez ważne miejsca kultu różnych religii.

OSIEM

Chwila przerwy



Właśnie zobaczyłem, jak skończy się świat, zamordowałem jednego z najlepszych przyjaciół, odkryłem, że odpowiedź na pytanie, której poszukiwałem, odkąd pamiętam, i na której znalezienie byłem gotów poświęcić życie, na zawsze zostanie poza moim zasięgiem. Dlatego też zdecydowałem, że czas zrobić sobie przerwę. Na szczęście byliśmy o krok od bardzo dobrego lokalu, więc ująwszy Joannę mocno za ramię, skręciłem w tamtą stronę. Oboje potrzebowaliśmy chwili, by wrócić do siebie. Nightside zmiążdży największego z twardzieli, jeśli ten nie nauczy się korzystać z okazji do odzyskania sił. Joanna nie chciała się zatrzymywać, ulica Blaiston i wyjaśnienie losów Cathy znajdowały się tuż-tuż, jednak moja klientka była tak roztrzęsiona i straszliwie zmęczona, że zrezygnowała z wyklócania się, zanim jeszcze dotarliśmy do baru. Wiatr Sokoła jest miejscem, które trzeba odwiedzić, wyjątkowym nawet wśród mrocznych cudów Nightside. Zatrzymałem się na moment przed wejściem, by Joanna mogła je obejrzeć, niestety, moja towarzyszka nie była w nastroju. A szkoda. Nie co dzień można zobaczyć tak wspaniałą pomnik psychodelicznej chwały lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku, wraz z jego kwiecistym neonem w odblaskowych kolorach i pop-artowymi plakatami tak jaskrawymi, że ich barwy wypalają się na siatkówce. Ażurowe indyjskie drzwi otworzyły się przed nami i już oddychałem znajomą atmosferą. Kadzidelka, olejek paczuli, mieszanka aromatów tytoniowych, zapachy świeżo parzonej kawy wszystkich możliwych gatunków i kilka rodzajów pomady do włosów, które stanowczo powinny zostać pogrzebane w przeszłości.

Lokal jak zawsze pękał w szwach, a ściany drżały w rytm hitów lat sześćdziesiątych. Uśmiechnąłem się, widząc wokół znajome twarze, i poprowadziłem Joannę poprzez labirynt stolików na tyły sali, gdzie mogliśmy znaleźć odrobinę prywatności. Do Obcych Znajomków chodziłem załatwiać interesy albo snuć niewesołe rozważania w tematach prywatnych, w Wietrze Sokoła bywałem, by szukać spokoju ducha. Joanna obrzuciła pogardliwym spojrzeniem stylizowane, plastikowe stoły i krzesła, ale usiadła bez grymasów. Wtedy ucieszyła mnie myśl, że wreszcie zaczęła mi ufać. Zaledwie raz czy dwa skrzywiła się nieco podejrzliwie na widok mieszanki kultur. Udałem, że czytam zbyt wielkie, ręcznie pisane menu, podczas gdy ona rozglądała się

wokół. A w Wietrze zawsze można zobaczyć coś ciekawego.

Wnętrze zdominowały błyskające światła, a ściany, sufit i nawet podłogę zdobiły wielkie wiry barw podstawowych. Szafa grająca wielkości Tardis^[*] wylewała z siebie nieustanny potok hitów i klasyków z epoki, beztrąsko ignorując wybory tych, którzy byli na tyle głupi, by wrzucić w nią jakiegokolwiek pieniądza. The Kinks właśnie skończyli swoje „Słoneczne popołudnie” i Loving Spoonful rozpoczęli „Daydream”. Wystukiwałem rytm stopą i ukradkiem obserwowałem Joannę, podczas gdy ona ukradkiem obserwowała twarze pozostałych gości. Przy stolikach wokół tłoczyli się podróżnicy z odległych krain, czasów, bohaterowie i nikczemnicy oraz niewielka grupka takich gości, którzy w żadnym innym miejscu nie mogliby poczuć się jak w domu. Przy stolikach siedziały nazwiska i twarze, ci, którzy posiadali prawdziwą władzę, i ci, których podejrzewano o jej posiadanie.

Soniczny Zabójca popisywał się swoim nowym wibrastoletem przed Czarnoksiężnikiem z Notting Hill. Zagubiony w Czasie Awanturnik z epoki wiktoriańskiej częstował swoją nową dziewczynę, striptizerkę z lat sześćdziesiątych, szampanem najlepszym z możliwych. A Księżę Amberu siedział sam, tradycyjnie próbując zapamiętać, jak się tu dostał. W lokalu byli i szpiedzy, głównie skupieni na tym, by nie zauważać siebie nawzajem. No i jakimś cudem pięciu braci Trący znalazło się przy tym samym stoliku. Zaś w odległym kącie bawił się cały klan Corneliusów, bawił się jak zawsze wrzaskliwie, podbijając rachunek, którego nie mieli zamiaru zapłacić. Musiałem się uśmiechnąć. Niewiele się tu zmieniło, co było zresztą częścią uroku tego miejsca. Wiatr Sokoła szczęśliwie i dumnie pozostawał wolny od tyranii mijającego Czasu.

W centrum zielonego parkietu dwie tancerki go-go, odziane w niewiele więcej niż garść białych piór, tańczyły energicznie, zamknięte w ornamentach złotych klatek.

Ta w srebrnej peruce puściła do mnie oko, na co odpowiedziałem grzecznym uśmiechem. Do naszego stolika drobnym kroczeniem podeszła kelnerka na ośmiocalowych różowych szpilkach, w plastikowej minispódniczce i męskiej wykrochmalonej koszuli. Stroju dopełniała

fryzura „na ul”, przypominająca watę cukrową. Wstałem, zdjąłem z ramion prochowiec i zaprezentowałem plamy z krwi, dziewczyna bystro skinęła głową.

- Nie ma sprawy, JT. Wszystko dla ciebie, kochanie. Witaj z powrotem, przystojniaku, świetnie wyglądasz. Chcesz już coś zamówić?

- Żuła gumę, jej głos osiągał irytująco wysokie rejestry, ale była cholernie autentyczna. Usiadłem i oddałem jej menu.

- Dwie cole poproszę, Weroniko. Nic więcej. I zależy mi, żeby płaszcz był gotów jak najszybciej. Jestem w samym środku sprawy.

- A kiedy nie byłeś, kochaniutki. Jakies wieści z przyszłości?

- Inwestuj w komputery.

- Super!

I poszła sobie, kołysząc się na swoich szpilach niczym statek na falach. Zewsząd wyciągały się ku niej pomocne dłonie, ale unikała ich z dużą wprawą i złośliwymi docinkami.

Jakiś bitnik poderwał się na nogi żeby wyrecytować nam wiersz, więc wszyscy jak jeden mąż rzucaliśmy w niego, czym kto miał pod ręką. Animalsi śpiewali nieocenzurowaną wersję „Domu Wschodzącego Słońca”, spróbuj ją znaleźć na CD ze składankami.

Joanna pochyliła się nad plastikowym blatem stolika i wbiła we mnie intensywne spojrzenie.

- W głowie mi się nie mieści, że przywlokłeś mnie do jakiejś knajpy, gdzie motywem przewodnim są lata sześćdziesiąte! Żyłam w latach sześćdziesiątych i doświadczyć ich raz to i tak o raz za dużo! I nie mamy czasu siedzieć tu tak długo, aż wypiorą ci płaszcz! Cathy jest już blisko. Czuję to.

- Moglibyśmy tu siedzieć miesiąc, a na zewnątrz, na ulicy, nie upłynęłaby nawet sekunda - uspokoilem ją. - To właśnie takie miejsce. A ich pralnia jest naprawdę wyjątkowa. Wysyłają brudy aż do Chin i gwarantuję ci, że ciuchy wracają bez jednej nawet plamki. Mogę się założyć, że usunęliby wszystkie zabrudzenia z całunu turyńskiego i wykrochmalili podwójnie bez dodatkowej opłaty.

- Muszę się napić - stwierdziła ponuro. - I to nie jakiejś głupiej coli.

- Zaufaj mi, będziesz zachwycona colą, którą tu podają. Ta knajpka to nie lokal tematyczny i smętna próba odtworzenia klimatu. To

oryginał.

- O kurwa! Tylko nie kolejne Piaski!

- Nie, to co innego... Prawdziwy Wiatr Sokoła był miejscem spotkań wielkich awanturników, poszukiwaczy przygód i innych duchów kosmicznych tamtego okresu. Był bardzo popularny, ale niestety, knajpka spłonęła w siedemdziesiątym. Prawdopodobnie na skutek spontanicznego zapłonu w ramach protestu odnośnie rozpadu Beatlesów. Mieli ją zastąpić jakąś nudną, bezduszną szkołą biznesu, ale na szczęście lokal został tak dobrze zapamiętany przez swych sławnych i utalentowanych patronów, że wrócił jako duch. To wszystko tutaj to jedno wielkie nawiedzenie, tragicznie zeszły budynek, który manifestuje się długo po tym, jak oryginał został zniszczony.

- Duch knajpy...

- Ludzie, z drugiej strony, są absolutnie prawdziwi. W większości. Albo pochodzą z lat sześćdziesiątych i wpadają tu z wizytą, albo są terazniejsi i wczuwają się w klimat. Wiatr to duch wszystkiego, co było dobre w tej najbardziej swingującej ze wszystkich epok. A ponieważ knajpa tak naprawdę nie jest prawdziwa, czy też jak kto woli, rzeczywista, możesz zamówić tu wszystko, co przestało istnieć od tamtych czasów. Nierealne jedzenie i napitki nie mogą wpłynąć na realne ciało, prawda? Doskonała dieta odchudzająca. No i okazja, by oddać się nostalgii za minionym. Jak dawno temu czułaś na języku smak prawdziwej coli?

Kelnerka wróciła, niosąc dwie charakterystycznie pękate butelki, zamknięte metalowymi kapslami, ustawione na tacy z fotografiami członków Monkees. Z wprawą zerwała kapsle o brzeg blatu, oba wyleciały wysoko w powietrze, ale ani jeden bąbelek nie pojawił się ponad szklaną krawędzią. Weronika ustawiła butelki przed nami, do każdej włożywszy poskręcaną ozdobnie, plastikową słomkę. Błysnęła uśmiechem, strzeliła gumą i odpłynęła, podczas gdy Joanna z powątpiewaniem zerknęła na butelkę przed sobą.

- Nie potrzebuję słomki. Jestem już duża.

- Potrzebujesz. To część rytuału. To jest prawdziwa cola. Dawna, bogata w cukier, pełna niezdrowej kofeiny, gęsta jak syrop, o intensywnym smaku. Nigdzie już takiej nie dostaniesz. No może gdzieś

w Meksyku. Spróbuj, twoje kubki smakowe zaraz dostaną ekstatycznych konwulsji.

Pociągnęła łyk. I ja też. Pociągnęła kilka kolejnych.

I ja też. A potem oboje odchyliłiśmy się na oparcia naszych plastikowych krzesełek, ochając i achając w zachwycie, podczas gdy ciemny płyn krążył po naszych organizmach, przywracając gotowość wszystkim systemom. Nie wiesz, co masz, póki tego nie stracisz, huczało z szafy grającej i nie mogłem się nie zgodzić.

- Cholera - mruknęła Joanna, odzyskawszy zdolność mowy. - Cholera. To prawdziwa cola. Zapomniałam już, jaka była dobra. Droga jest?

- Nie tutaj - odpowiedziałem. - Tu są lata sześćdziesiąte, pamiętasz? I przyjmują tu walutę z każdego czasu, i honorują weksle. Nikt nie zaryzykuje zakazu wstępu.

Joanna odprężyła się nieco, ale usta nadal tworzyły zaciętą linię.

- Bardzo fajne miejsce, ale nie przyszłam do ciebie, żebyś mi urządził zwiedzanie Nightside. Moja córka jest o kilka przecnic stąd, sam tak twierdzisz. Dlaczego tu siedzimy, zamiast ją ratować?

- Siedzimy tu, bo oboje musimy złapać oddech. Skoro zamierzamy zapuścić się na Blaiston, to musimy być świeży, w pełni sił i zmysłów, że o przytomności nie wspomnę. Inaczej strącą nam głowy z karków, zanim się obejrzymy. Blaiston jest zaledwie kilka przecnic stąd, to prawda, ale to zupełnie inny świat. Podstępny, brutalny i kto wie czy nie groźniejszy od tego, który dopiero co opuściliśmy. I tak, wiem, ta świadomość sprawia, że jeszcze bardziej chcesz ruszyć na pomoc Cathy, ale żeby to zrobić, musimy być w formie. I pamiętaj, tutaj czas nie płynie, więc go nie marnujemy. Świetnie sobie dajesz radę, naprawdę, i świetnie się trzymasz. Jestem pod wrażeniem. Naprawdę. Ale nawet najlepsze ostrze się stępi, jeśli będziesz nim raz po raz uderzać o mur. Dlatego proszę cię, siądź, odpręż się, delektuj się colą i otoczeniem, póki nie będziemy w stanie ponownie stawić czoła Nightside. Tobie tylko wydaje się, że widziałas już paskudne miejsca. Na Blaiston zeżrą cię żywcem. I to dosłownie. I myślę... są chyba rzeczy, o których powinniśmy pogadać, zanim gdzieś pójdziemy.

- Rzeczy?

- Pewne szczegóły dotyczące Cathy, które chciałbym... wyjaśnić - powiedziałem ostrożnie. - W tej sprawie jest jakieś drugie dno. W całej sytuacji. Więcej, niż widać na pierwszy rzut oka. Czuję to.

- Sporo pytań bez odpowiedzi - zgodziła się Joanna. - Wiem. Kto wezwał tu Cathy i po co? Dlaczego akurat ją? Nie jest kimś ważnym, no chyba że dla mnie. Odnoszę sukcesy w pracy, ale nie zarabiam takich pieniędzy, by warto ryzykować porwanie albo szantaż. A do tego to jest Nightside. Ludzie tacy jak ja tutaj się nie liczą. Więc dlaczego Cathy? Kolejną nastoletnią uciekinierkę z domu? Gdybym znała odpowiedzi na te pytania, nie potrzebowałabym płacić komuś takiemu jak ty, prawda?

Skinąłem głową, przyznając jej rację. Ale Joanna jeszcze nie skończyła:

- Wydaje mi się, że nie przyszedł tu, bo ja potrzebuję odpoczynku. Myślę, że to ty go potrzebujesz. Ostatnie wydarzenia były dla ciebie nielichem przejściem. Zabiłeś Ostrego Eddiego. Był twoim przyjacielem, a ty go zabiłeś.

- Zabiłem go właśnie dlatego, że był moim przyjacielem. Bo dość już wycierpiał. Bo to jedyne, co mogłem dla niego zrobić. I ponieważ zawsze umiałem wypełnić najgorszą nawet powinność.

- Więc dlaczego ręce ci się trzęsą?

Spojrzałem w dół. Faktycznie, drżały. Nawet tego nie zauważyłem. Joanna położyła swoją dłoń na mojej i drzenie powoli ustało.

- Opowiedz mi o Eddie - poprosiła. - Nie o Ulicznym Bogu. O sobie i o Eddie.

- Pracowaliśmy razem nad niejedną sprawą - powiedziałem po chwili. - Eddie jest... potężny, ale nie należy do subtelnych. Są problemy, których nie da się załatwić potęgą, siłą, o ile nie chcesz przy okazji zniszczyć tego, co akurat rozwiązujesz. W takich sprawach Eddie przychodzi do mnie po pomoc. Nieotwarcie, oczywiście. Spotykamy się w Obcych Znajomkach, rozmawiamy tak długo, aż rozmowa zejdzie na to, co akurat go martwi. Wtedy razem wychodzimy w noc i próbujemy znaleźć sposób na rozwiązanie problemu, sposób, który nie będzie wymagał użycia młota pneumatycznego. Czy też brzytwy. A czasami... Eddie pojawia się znikąd, by udzielić mi wsparcia. Kiedy sam nie daję rady.

- To bardziej partnerstwo niż przyjaźń - podsumowała Joanna.

- To zabójca - odpowiedziałem. - Ostry Eddie, Uliczny Bóg Brzytwy. Wprawdzie obecnie kieruje się dobrem, nie złem, ale jednak zabija. I nie sędzę, by rozważał inne opcje. Ciężko zbliżyć się do kogoś takiego. Do kogoś, kto zapuścił się w mrok o wiele dalej niż ja kiedykolwiek. Ale... zmienił swoje życie. Nieważne, jakiego objawienia doznał na Promenadzie Bogów, odrzucił wszystko, co nim w jakikolwiek sposób kierowało po to, by zapracować na odkupienie win. Jak nie podziwiać takiej odwagi, powiedz mi? Jeśli ktoś taki jak on może się zmienić, to jest nadzieja dla każdego z nas. Staralem się być mu przyjacielem, kierować go ku innemu życiu, w którym nie musiałby już definiować siebie poprzez zabijanie. I on... słucha, kiedy mam doła i potrzebuję wygadać się komuś, nie rozpuszcza języka. Ostrzega ludzi przede mną, odstrasza, jeśli uważa, że mogą mi zagrozić. Robi krzywdę tym, którzy chcą zrobić krzywdę mnie, choć myśli, że o tym nie wiem. Zabiłem go w Piaskach, żeby skrócić mu cierpienie. Bo zawsze umiałem zacisnąć zęby i zrobić co trzeba. Ale nie powiedziałem, że to łatwe.

- John...

- Nie. Nie staraj się do mnie zbliżyć, Joanno. W moim życiu nie ma miejsca na ludzi, którzy nie umieją się bronić sami.

- I to dlatego twoimi przyjaciółmi są takie pokiereszowane dusze jak Ostry Eddie czy Wystrzałowa Suzie? Czy może rozmyślnie tylko z takimi próbujesz się zaprzyjaźnić? Z ludźmi, których tak prześladują ich własne demony, że nie będą cię zmuszać, byś stawił czoła swoim? Boisz się, John. Boisz się naprawdę przed kimś otworzyć, bo w ten sposób straciłbyś swój pancerz i byłbyś podatny na ciosy. Nie można tak żyć, John. Żyć życiem swoich klientów, ich problemami.

- Nie znasz mnie - odparłem. — I nawet nie myśl, że coś o mnie wiesz, bo nie wiesz. Jestem... kim muszę być. Żeby przeżyć. Jestem sam, bo nie umiałbym narażać kogoś, na kim by mi zależało. I nawet jeśli tu, gdzie jestem, bywa bardzo ciemno i bardzo zimno, to przynajmniej mam pewność, że gdy pójdę na dno, nie pociągnę nikogo za sobą.

- To nie jest życie - zaprotestowała.

- A ty oczywiście jesteś ekspertem w temacie i doskonale wiesz, jak

należy wieść udane życie. Matka, której dziecko ucieka od niej przy każdej nadarzającej się sposobności. Porozmawiajmy o tych pytaniach, na które powinniśmy odpowiedzieć, zanim ruszymy w dalszą drogę. A co, jeśli wreszcie dotrzemy na Blaiston, znajdziemy właściwy dom, wyważymy drzwi, a za nimi znajdziemy Cathy szczęśliwą i zadowoloną? Co zrobisz, widząc, że jest szczęśliwa, bezpieczna i nie potrzebuje żadnej ekipy ratunkowej? Co, jeśli znalazła coś czy kogoś, do kogo warto uciec, i nie będzie chciała wracać z tobą? Dziwniejsze rzeczy działy się już w Nightside. Będziesz umiała odwrócić się i odejść, zostawić ją po tym, co przeszliśmy, by ją odnaleźć? Czy może jednak będziesz upierać się, żeby wróciła z tobą do życia, którego nie rozumie i nie lubi, ale w którym ty za to możesz mieć ją nieustannie na oku i codziennie upewniać się, że jak dorośnie, to nie popełni twoich błędów?

Joanna cofnęła dłoń, już mnie nie dotykała.

- Jeśli będzie naprawdę szczęśliwa... będę umiała się z tym pogodzić. Nie przetrwasz zbyt długo w biznesie, jeśli nie potrafisz rozróżnić między tym, jaki świat jest, a tym, jakim chciałbyś go widzieć. Najważniejsze, żeby była bezpieczna. Muszę mieć pewność. No i zawsze mogę wpaść z wizytą.

- W porządku - nie odpuszczałem. - A teraz spróbuj jeszcze odpowiedzieć mi na inne pytanie. Co, jeśli trafiła w jakieś paskudne miejsce, my ją stamtąd wydostaniemy i zabierzesz ją do domu, jaką masz gwarancję, że nie ucieknie od ciebie przy pierwszej okazji?

- Żadnej - odrzekła i musiałem przyznać jej punkty za szczerość. - Mam nadzieję, że samo to, że po nią przyszłam aż tutaj, że niejedno przetrwałam po drodze, żeby tylko ją odnaleźć... Że to robi na niej wrażenie. Sprawia, że zobaczy, jak bardzo mi na niej zależy, nawet jeżeli nie zawsze umiem to okazać. A jeśli nie, to może cała ta wyprawa da nam choć wspólny temat do rozmów. Nigdy nie umiałyśmy ze sobą rozmawiać.

- Albo siebie słuchać. Znajdź czas dla swojego dziecka, Joanno. Naprawdę nie chcę przechodzić tego wszystkiego raz jeszcze.

- Sama doszłam do tego wniosku - odparła trochę tylko chłodniejszym tonem. - Zawsze uważałam, że Cathy ma wszystko, czego potrzebuje. Najwyraźniej byłam w błędzie. Moje interesy jakoś zniosą,

gdy przez chwilę mnie nie będzie. A jeśli nie, to do diabła z nimi. Są ważniejsze rzeczy.

Skinąłem głową i uśmiechnąłem się, a ona po chwili odpowiedziała tym samym. Oczywiście oboje wiedzieliśmy, że sprawa nie jest wcale taka prosta ani łatwa, ale rozpoznanie problemu to już połowa sukcesu. Cieszyłem się z postępów, jakie poczyniła Joanna, miałem tylko nadzieję, że wytrwa w swych postanowieniach do końca. Przez chwilę sączyliśmy colę w milczeniu.

- Przyszłość, do której trafiliśmy - odezwała się wreszcie Joanna. - To wcale nie musi być ta właściwa, ani nawet ta najbardziej prawdopodobna, ale i tak była cholernie przerażająca. Jakim cudem mógłbyś być odpowiedzialny za zniszczenie całego świata? Naprawdę masz taką moc?

- Nie - uspokoiłem ją. - Przynajmniej nie w tym momencie. To musi być w jakiś sposób związane z moim dziedzictwem albo tym, co mam odziedziczyć po mojej nieobecnej matce. Nie znałem jej. Nie mam pojęcia, czym tak naprawdę była. Nikt nie ma. Mój ojciec się dowiedział i ta wiedza sprawiła, że się zapił na śmierć. A był człowiekiem, który niejedno widział w życiu, w tym wszelkie szaleństwa Nightside.

- A co tu robił?

- Pracował dla Władz, tych, które trzymają nad nami pieczę, czy nam się to podoba, czy nie. Kiedy umarł, przejrzałem wszystkie jego papiery, szukając jakiegoś zapisu, może wiadomości albo zwykłego wyjaśnienia, czegokolwiek, co pomogłoby mi zrozumieć. Miałem dziesięć lat i wierzyłem jeszcze, że na każde pytanie musi być stosowna odpowiedź. Ale niczego nie znalazłem. Ani pamiętnika, ani listów, ani żadnej fotografii jego i matki, nawet ślubnej. Musiał wszystkie zniszczyć. Kilkoro przyjaciół, którzy znali ich oboje, dawno odeszło. Z rozmaitych przyczyn. Nikt nie pojawił się na jego pogrzebie. Przez te wszystkie lata usłyszałem niezliczoną ilość teorii na temat, kim mogła być moja matka. Dlaczego pojawiła się znikąd, poślubiła mojego ojca, wyprodukowała mnie i zniknęła równie tajemniczo, jak się pojawiła. I dlaczego nie zabrała mnie ze sobą. Ale nikt jakoś nie potrafił udowodnić, że akurat jego teoria jest słuszna. Nie ma we mnie nic niezwykłego poza darem. A tego typu talenty są równie popularne

wśród synów i cór Nightside, co i piegi.

Zmarszczyła brwi.

- Wtedy w pociągu Kruche Siostry знаły twoje imię. Wolały się wycofać, niż cię zirytować. I prosiły, byś o tym pamiętał, kiedy wreszcie przybędziesz do swego królestwa.

Musiałem się uśmiechnąć.

- To nie musi oznaczać czegoś istotnego. Tu, w Nightside, nigdy nie wiadomo, które brzydkie kaczątko wyrośnie na pięknego łabędzia czy nawet feniksa. Więc jeśli masz trochę rozumu w głowie, to obstawiasz tyle koni, ile zdołasz. I nigdy nie robisz sobie wrogów, jeśli nie musisz.

Joanna pochyliła się nad plastikowym blatem stolika, wbijając we mnie srogie spojrzenie.

- I ciągle zamierzasz wyruszyć na poszukiwanie swojej matki, teraz kiedy wiesz, do czego to doprowadzi?

- Nieliche ostrzeżenie, zgodzisz się? Dało mi mnóstwo materiału do przemyśleń!

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- Wiem. Słuchaj, nawet nie zamierzałem zostać tutaj po zakończeniu tej sprawy. Opuściłem ten dom wariatów pięć lat temu i miałem ku temu naprawdę dobre powody, co więcej, wszystkie są nadal aktualne. Ale... z minuty na minutę to niebezpieczne, porażające miejsce jest mi coraz bardziej domem. Lubię tu być. W twoim zwyczajnym, bezpiecznym świecie chyba nie ma dla mnie miejsca. A tu mam wrażenie, że mógłbym zrobić coś dobrego dla moich klientów. Naprawdę dobrego. Że... mógłbym coś zmienić.

- O tak - stwierdziła - możesz tu dokonać cholernie diametralnych zmian.

Spojrzałem jej w oczy tak spokojnie, jak tylko mogłem.

- Z całą stanowczością mogę stwierdzić, że nie zależy mi na poznaniu prawdy o mojej matce na tyle, by ryzykować nadejście przyszłości, którą mieliśmy okazję zobaczyć.

- Ale to się może zmienić.

- Jasne. Może się zmienić. Wszystko może się wydarzyć, szczególnie tutaj, w Nightside. Wypij swoją przednią colę i staraj się nie martwić za bardzo.

The Crazy World of Arthur Brown odegrali cały kawałek „Fire”, zanim Joanna uspokoiła się na tyle, by zadać kolejne pytanie.

- Powiedz mi, John, i na Boga, musisz być ze mną szczery, myślisz, że Cathy jeszcze żyje?

- Nie mam powodów, żeby myśleć inaczej - odpowiedziałem uczciwie. - Wiemy, że jeszcze niedawno żyła. Jej ślad miał zaledwie kilka dni. Wiemy, że Ktoś lub Coś zwabiło ją tutaj, ale nie mamy żadnych podstaw, by zakładać, że z zamiarem zrobienia Cathy krzywdy. Nie ma też dowodów, że tak nie było, ale skoro już błąkami się w ciemnościach, lepiej myśleć optymistycznie. No i w końcu nie natrafiliśmy na ślad jakiegoś niebezpieczeństwa czy zagrożenia, więc powinniśmy jednak przyjąć, że Cathy żyje. Musimy... mieć nadzieję.

- Nadzieję? Tutaj? W Nightside?

- Zwłaszcza tutaj - potwierdziłem. Tym razem to ja nakryłem jej dłoń swoją. Nasze ręce pasowały do siebie. - Zrobię wszystko, co tylko zdołam Joanno, nie poddam się, jeśli jest choć cień szansy.

- Wiem. W głębi duszy jesteś dobrym człowiekiem, Johnie Taylor.

Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, uśmiechając się. Wierzyliśmy w siebie nawzajem, nawet jeśli brakło nam wiary w samych siebie. Wiedziałem, że to nie jest najlepszy pomysł. Nigdy nie wdawaj się w osobiste relacje z klientami. Ta zasada została napisana drukowanymi literami na pierwszej stronie podręcznika „Jak zostać prywatnym detektywem”. Zaraz obok zasady: Zawsze na początku bierz tyle gotówki, ile się da, na wypadek gdyby czek nie miał pokrycia i Nie szukaj Sokoła Maltańskiego, bo to się zawsze źle kończy. Nie jestem głupi, czytałem Chandlera. Ale w tej chwili miałem gdzieś wszystkie zasady. Podjąłem jeszcze jeden, ostatni wysiłek, mając na względzie dobro mojej duszy.

- Nie jest za późno, żebyś się wycofała - powiedziałem. - Już dość przeszłaś. Zostań tutaj, pozwól, że sam pójde na Blaiston. Tu będziesz bezpieczna.

- Nie. - Joanna wyrwała dłonie z mojego uścisku. - Muszę to zrobić. Muszę tam być, gdy znajdziesz... dowiesz się, co się stało z moją córką. Muszę znać prawdę.

A ona musi wiedzieć, że zależało mi na tym na tyle, że sama po nią

poszłam. Do diabła, John, zasłużyłam sobie, żeby tam być.

- Tak - zgodziłem się miękko, dumny z niej jak cholera. - Zasłużyłaś.

- John Taylor, cały i zdrowy - odezwał się nagle zimny głos. - Nie chciałem wierzyć, jak mi powiedzieli, że znowu się tu pokazałeś. Myślałem, że masz więcej rozumu, Taylor.

Znałem ten głos, dlatego nie spieszyłem się, by stanąć twarzą w twarz z jego właścicielem. Niewiele osób jest w stanie podkraść się do mnie. Nie miałem wątpliwości, że za mną stoi Walker we własnej superoficjalnej osobie. W każdym calu uosobienie miejskiego szyku. Przystojny, nawet jeśli nieco przy kości, o zimnych oczach i uśmiechu, i jeszcze zimniejszym sercu. Zbliżał się do pięćdziesiątki, ale i tak nie warto było stawiać kasy na tych, którzy by mu podskoczyli. Ludzie tacy jak Walker nie stają się z wiekiem wolniejsi, lecz podstępniejsi. Jego garnitur był skrojony perfekcyjnie, a melonik, którego uchylił przed Joanną, leżał doskonale.

- Skąd wiedziałeś, że mnie tu znajdziesz, skoro ja dopiero przed chwilą zdecydowałem się tu wstąpić?

- Wiem, gdzie jest każdy. Chyba o tym nie zapomniałeś, John?

- John, kim jest ta... osoba? - zapytała Joanna i mógłbym ją pobłogosławić za tę absolutnie skończoną obojętność i brak jakiegokolwiek zainteresowania w głosie.

- Może powinieneś przedstawić mnie swojej klientce? - odezwał się Walker. - Nie chciałbym w żadnym wypadku, aby nasza znajomość źle się zaczęła.

- Krawat się panu przekrzywił - stwierdziła Joanna i byłem gotów ją ucałować.

- To jest Walker - powiedziałem. - Nawet jeśli ma jakieś imię, to nikt go nie zna. Pewnie nawet jego żona. Absolwent Eton i były członek Gwardii Narodowej, jak to zwykle bywa w przypadku takich jak on. W jego dokumentach znalazła się wzmianka, iż jest podstępny, zdradziecki i bardziej niebezpieczny niż rekin w basenie. Walker reprezentuje w Nightside Władze. Nie pytaj jakie, bo nigdy nie odpowiada na takie pytania. Liczy się to, że mógłby wyciągnąć stąd ciebie, mnie, dowolnego z gości, i to bez jakiegokolwiek gwarancji, że ktoś nas jeszcze w ogóle

zobaczy. No chyba, że bylibyśmy mu jakoś potrzebni. Rozgrywa partie, w których stawką jest ludzkie życie, a wszystko to w imię zachowania cennego status quo.

- Dbam o równowagę - wtrącił się Walker łagodnie, strzepując z nienagannego rękawa jakiś nieistniejący pyłek. - Ktoś musi.

- Nikt nie wie, przed kim Walker odpowiada ani od kogo otrzymuje rozkazy - kontynuowałem. - Czy od rządu, Kościoła czy może od armii? Ale w potrzebie może wezwać na pomoc dowolne siły i za każdym razem pędzą na jedno jego skinienie. Jego słowo jest prawem i egzekwuje je przy użyciu wszelkich dostępnych środków. Zawsze nieskazitelnie ubrany, czarująco bezwzględny i pod żadnym pozorem godny zaufania. Nikt nigdy nie widział, jak przychodzi. Nie da się przewidzieć, kiedy wylezie z cienia i z uśmiechem, rzuciwszy dowcip czy dwa, wyleje oliwę na wzburzone wody. Albo odwrotnie. Ma talent do uzyskiwania odpowiedzi. Niewielu jest w stanie powiedzieć mu „nie”. Mówią, że kiedyś skłonił do rozmowy zwłoki na stole sekcyjnym.

- Pochlebiasz mi - odezwał się Walker.

- Zauważyłaś? Nie zaprzecza. Walker może wezwać dowolne moce i potęgi i sprawić, że odpowiedzą na jego pytania. Ma moc, ale nie ma duszy. I za grosz sumienia. W miejscu, gdzie światło i mrok nie są jedynie pustymi konceptami, Walker pozostaje nieskończenie szary. Jak każdy dobry urzędnik.

- Wszystko sprowadza się do obowiązków i odpowiedzialności, Taylor - odpowiedział Walker. - Ty tego nie rozumiesz.

- Walker potępia ludzi takich jak ja. - Uśmiechnąłem się chłodno. - Samotników, indywidualistów, którzy upierają się sami decydować o swoim przeznaczeniu. Uważa, że tylko mącimy wodę. I naprawdę rzadko można go spotkać twarzą w twarz, jak teraz. O wiele bardziej lubi pozostawać w cieniu, żeby ludzie nie widzieli, jak pociąga za sznurki. Każdy może się okazać jego współpracownikiem, świadomie bądź nieświadomie wykonującym jego polecenia, żeby Walker nie musiał brudzić sobie rąk. A jeśli któryś z jego agentów zginie w trakcie misji, no cóż, zawsze znajdą się inni na jego miejsce. Cel, według Walkera, uświęca wszelkie środki, a celem jest utrzymanie Nightside i przebywających tu ludzi jak najdalej od otaczającego świata.

Walker skinął lekko głową, jakby spodziewał się oklasków.

- Uwielbiam, kiedy mnie przedstawiasz. Robisz to o wiele lepiej, niż ja kiedykolwiek bym zdołał.

- Nie, raz wrabiał już ludzi - nie przerywałem, w miarę jak rósł mój gniew, słowa padały szybciej i szybciej kiedy uznał, że trzeba kogoś rzucić wilkom na pożarcie. Wszyscy się go boją, zaledwie kilku podziwia i chyba każdy w Nightside próbował go zgładzić raz czy dwa. Każdego dnia Walker wraca do normalnego świata, do swojej żony, dzieci, i zapomina o Nightside. Jesteśmy dla niego zaledwie pracą. Osobiście uważam, że wszystko tutaj to dla niego zaledwie nieco niebezpieczny pokaz dziwolągów. Unicestwiłby nas odpowiednią bombą atomową, gdyby tylko miał pewność, że ujdzie mu to na sucho. Niestety, nie może, bo jego tajemniczy zwierzchnicy mu na to nie pozwolą. Bo oni też potrzebują takiego miejsca, gdzie mogą zabawiać się tak, jak nigdzie indziej, zanurzyć się w ohydnych przyjemnościach, których istnienia nie można ujawnić zwykłemu światu. To Walker, Joanno. Nie ufaj mu.

- To nie było miłe - mruknął Walker. Przysunął sobie krzesło i usiadł pomiędzy mną a Joanną, w identycznej odległości od każdego z nas. Skrzyżował elegancko nogi i ułożył splecione dłonie na blacie stolika. Wokół ludzie podejmowali przerwane rozmowy, zorientowali się już, że Walker nie przyszedł tu po nikogo z nich. Pochylił się nad stołem, a ja zupełnie mimowolnie powtórzyłem ten ruch, żeby usłyszeć, co takiego ma do powiedzenia. Skoro Walker zainteresował się moją sprawą, sytuacja była chyba dużo poważniejsza, niż sądziłem.

- Od jakiegoś czasu na Blaiston znikają ludzie - zaczął z ożywieniem. - Trochę to trwało, zanim się zorientowaliśmy, bo najpierw znikali tacy, których nikt specjalnie nie szukał. Bezdomni, żebracy, pijacy i narkomani. Typowe uliczne śmieci. Nawet wtedy, gdy już się zorientowałem, co się dzieje, i tak nie uważałem za stosowne interweniować. W końcu nikogo to nie obchodziło. A przynajmniej nikogo ważnego. Okolica zaczęła nawet przez to zyskiwać. Każdy, kto kończy na Blaiston, z definicji dawno już zrezygnował z przynależności do rasy ludzkiej. Ale ostatnio... kilka raczej ważnych osób udało się na Blaiston i żadna z nich nie powróciła. Wtedy góra poleciła mi przeprowadzić śledztwo.

- Moment! - Rzuciłem Walkerowi twarde spojrzenie. - A co te „raczej ważne osoby” robiły w takim rynsztoku jak Blaiston?

- Właśnie - rzucił Walker, jeśli mój wzrok zrobił na nim jakieś wrażenie, ukrył je doskonale. - Żaden z nich nie miał tam interesów. Na Blaiston nie ma też żadnej atrakcji ani pokusy, która skłoniłaby rozsądnego zazwyczaj człowieka do nurkowania w szambie. Wygląda na to, że poszli tam na czyjeś wezwanie. Może podążyli za zewem. Tylko... jeśli coś tak potężnego przybyłoby do Nightside, już dawno byśmy to wykryli. No chyba że się przed nami kryje. A to, mówiąc otwarcie, powinno być niemożliwe. Więc mamy tajemnicę. A wiesz, jak ja nienawidzę tajemnic, Taylor. Zastanawiałem się właśnie, co z tym zrobić, gdy usłyszałem, że wpadłeś z wizytą. Jak rozumiem, szukasz dzieciaka, który uciekł z domu.

- Córki tej pani - uściśliłem, a Walker po raz kolejny ukłonił się lekko Joannie.

- A twój dar prowadzi cię na Blaiston?

- Tak.

- I masz powody zakładać, że ktoś dziewczynkę tam wezwał?

- Niekoniecznie wbrew jej woli.

Walker machnął dłonią, jakby chciał elegancko pozbyć się muchy.

- W takim razie masz dwanaście godzin, żeby dowiedzieć się, jakie tajemnice skrywa Blaiston, i przywrócić jej poprzedni stan. Jeśli zawiedziesz, nie będę miał innego wyjścia, jak tylko wrócić do mojego pierwotnego planu, który zakładał zniszczenie całej ulicy i wszystkiego, co się tam gnieździ raz na zawsze.

- Nie możesz tego zrobić! - krzyknęła Joanna. - Nie, kiedy Cathy wciąż tam jest!

- Oj, może, może - odezwałem się. - Już to robił. Walker zawsze lubił politykę spalonej ziemi. I jakoś nigdy go nie martwiło, jeśli musiał poświęcić po drodze kilka niewinnych istnień. Bo on zwyczajnie nie wierzy, że ktokolwiek może być niewinny. Do tego, jeśli zaangażuje mnie, nie będzie wystawiał na ryzyko żadnego ze swoich pupili.

- W rzeczy samej - przytaknął. Podniósł się z gracją i sprawdził godzinę na zegarku wyjętym z kieszonki w kamizelce. - Dwanaście godzin, Taylor, i ani minuty dłużej. - Wsunął zegarek do kieszeni i

spojrzał na mnie z namysłem. - Ostateczne ostrzeżenie. Pamiętaj... w Nightside nic nie jest takie, jakim się wydaje. Nie chcę nawet myśleć, że nie było cię tu tak długo, że zapomniałeś o tym najbardziej podstawowym z faktów.

Zawahał się przez sekundę i już myślałem, że powie coś więcej, ale wtedy właśnie przykołysała się do nas kelnerka z moim płaszczem. Chwila umknęła. Walker uśmiechnął się z wyższością, gdy Weronika prezentowała mi nieskazitelnie czysty prochowiec.

- Ładny, Taylor. Bardzo retro. Muszę już uciekać, mam wiele spraw na głowie. Tyle do zrobienia i tyłu też. Witaj z powrotem, Taylor. Nie nawal.

Już się odwracał, kiedy zadałem mu pytanie:

- Walker, byłeś przyjacielem mojego ojca.

Spojrzał na mnie uważnie.

- Tak, John, byłem.

- Dowiedziałeś się kiedyś, kim lub czym była moja matka?

- Nie - odpowiedział. - Nigdy. Ale jeśli kiedyś ją spotkam, zmuszę, by mi powiedziała. Zanim zginie. - Uśmiechnął się lekko, dotknął palcami runda melonika i wyszedł. Nikt na niego nie patrzył, ale szum rozmów podniósł się nieco, gdy tylko drzwi zamknęły się za nim.

- O co tu chodzi, co jest pomiędzy tobą a nim? - zapytała Joanna natychmiast. - Dlaczego pozwoliłeś mu mówić do siebie tym tonem?

- Walkerowi? Pozwoliłbym mu nasrać na moje buty, gdyby tylko wyraził taką chęć.

- Nie widziałam jeszcze, żebyś komukolwiek tak ustępował z drogi. Co w nim jest takiego wyjątkowego?

- Walker to co innego - stwierdziłem. - Każdy mu na wiele pozwala. Nie chodzi o to, kim jest, ale co reprezentuje.

- Władze?

- Trafiałaś bez pudła. Niektóre pytania są straszniejsze przez to, że nie ma na nie odpowiedzi.

- Ale kto pilnuje szeryfów? - zapytała Joanna. - Kto dba o to, żeby Władze były uczciwe?

- Zaczynamy pływać w mętnych wodach filozofii - skrzywiłem się - a naprawdę nie mamy na to czasu. Dokończ colę, zapłacimy i udamy się

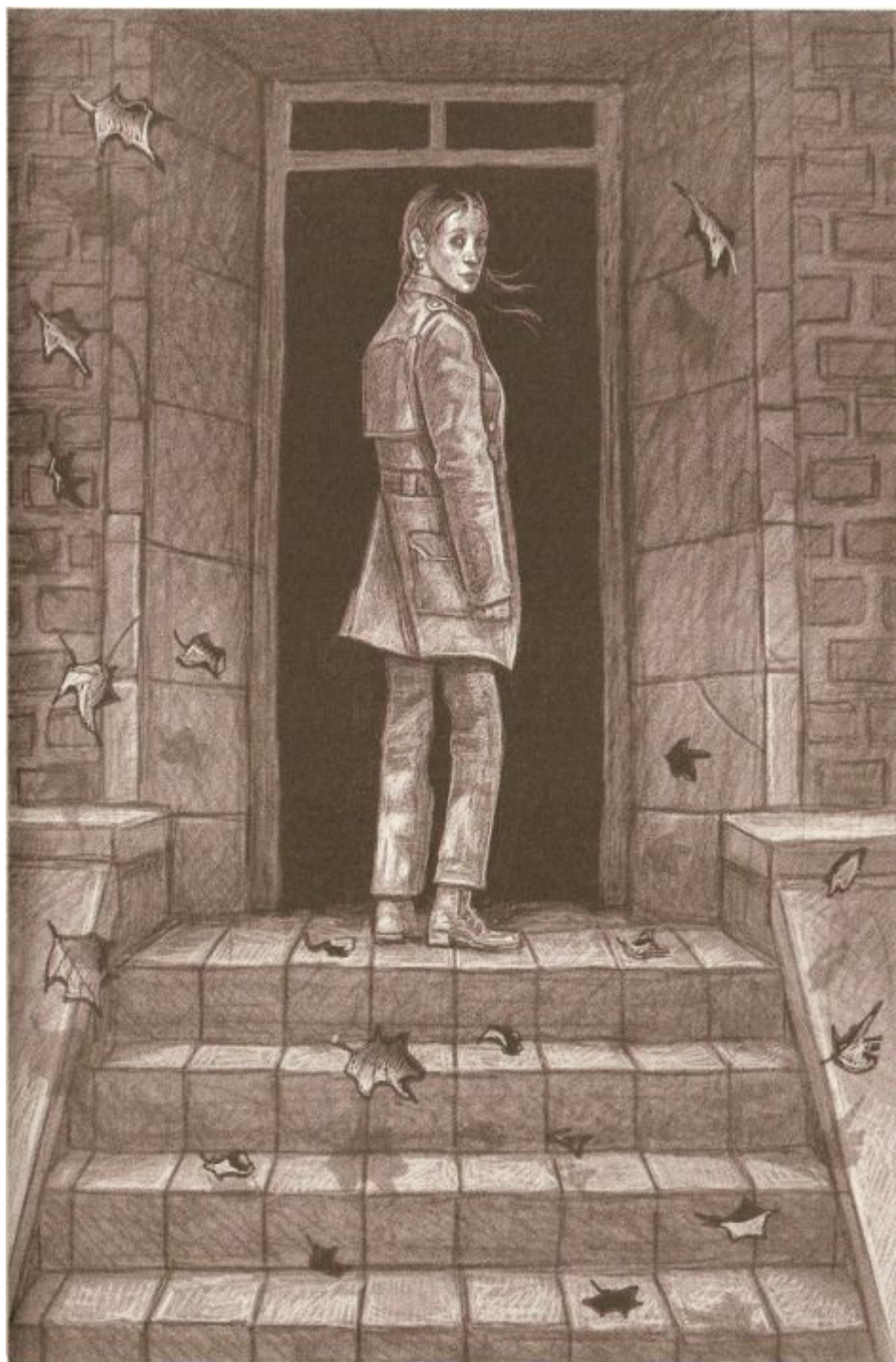
z małą wizytą na Blaiston.

- Najwyższy czas! - stwierdziła Joanna i dopiła lodowatą colę tak szybko, że jak nic rozbolały ją od tego wszystkie zęby.

[*] Tardis jest pojazdem stworzonym przez wymarłą rasę Władców Czasu o niezwykle zaawansowaniu technicznym, do której należy Doktor Who. Jest to skrót, który w pełni oznacza „Time And Relative Dimension In Space”, czyli „czas i równoległe wymiary w przestrzeni”. Dzięki niemu Doktor Who może podróżować w czasie i przestrzeni, a nawet pomiędzy równoległymi wymiarami.

DZIEWIĘĆ

Dom przy ulicy Blaiston



Ulica Blaiston to miejsce, gdzie koniec wszystkiego traci już swą szlachetną nazwę. Nędzne budynki przy nędznej ulicy, gdzie wszystkie latarnie zostały już dawno rozbite, bo większość mieszkańców tylko wśród mroków czuje się jak w domu. Być może dlatego, że wtedy nie widać, jak nisko upadli. Poprowadziłem Joannę w dół ulicy. Kiedy szliśmy, niemal wyczuwałem szczury biegające w poszukiwaniu schronienia, ale poza tym wokół panowały cisza i bezruch. Wszędzie piętrzyły się góry gnijących śmieci, a każdą cegłę brudnych ścian pokrywało obsceniczne graffiti. Cała okolica cuchnęła rozkładem - nie tylko materialnym, ale też emocjonalnym i duchowym. Pozbawione szyb okna były pozalepiane kartonami, płachtami gazet albo, niezastłonięte, ziały czernią niczym puste oczodoły. Śmierdziało nieczystościami - świadectwo obecności zwierząt znaczących swoje terytoria i ludzi, którzy wszystko mieli za nic. Czynnosowe kamienice były tak zaniedbane, że pewnie wywróciłyby się dawno, gdyby nie wspierały się jedna o drugą.

Być może Walker miał rację. Dobra bomba działałaby cuda w zakresie podnoszenia standardu okolicy.

A przy tym... coś było nie tak. Bardziej nie tak niż zwykle. Ulica pozostawała dziwnie pusta, opuszczona.

Nie widziałem bezdomnych, przysypiających na progach czy pod schodami przeciwpożarowymi. Ani żebraków, ani złodziei, żadnych desperatów, liczących na okazje do sprzedaży czy zakupów. Ani jednej twarzy w oknie. Blaiston była przecież zazwyczaj pełna życia, jak otwarta rana pełna jest muszych larw. Wciąż słyszałem odgłosy ruchu ulicznego, głosy ludzi idących ulicami, ale stłumione, jakby bardzo odległe, z innego świata.

- Gdzie, u licha, są wszyscy? - zapytała Joanna szeptem.

- Dobre pytanie. I coś mi się wydaje, że odpowiedź nam się nie spodoba. Chciałbym powiedzieć, że wszyscy stąd uciekli, ale jakoś mi się widzi, że tyle szczęścia to jednak nie mieli. Coś złego tu się wydarzyło. I wciąż się wydarza.

Joanna rozejrzała się i wzruszyła ramionami.

- Co, na wszystkie świętości, mogło zwabić Cathy do takiego miejsca?

- Chodźmy się dowiedzieć - zaproponowałem, sięgając po mój talent. Dar osłabł znacznie, ale teraz byliśmy już bardzo blisko, nie musiałem się wysilać, by zobaczyć ślad Cathy. Dziewczyna sunęła w dół ulicy, a jej obraz aż rozświetlały płonące w niej emocje. Nigdy nie widziałem kogoś, kto wyglądałby na bardziej szczęśliwego. Stała przed jednym z domów, niczym nie, różniącym się od innych, i przyglądała się mu przez chwilę szeroko otwartymi oczyma. Drzwi otworzyły się powoli, a Cathy radośnie wbiegła na kamienne schody i zniknęła w ciemnym wnętrzu. Cały czas uśmiechała się szeroko, zupełnie jakby wybierała się na najlepszą imprezę wszech czasów. Drzwi zamknęły się za nią i tyle, to było wszystko. Tu ślad się urywał. Cathy nigdy nie opuściła tego domu. Wziąłem Joannę za rękę, by mogła zobaczyć na własne oczy.

- Znaleźliśmy ją! - krzyknęła, zaciskając palce na moich tak, że aż zabolęło. - Jest tutaj!

- Była - poprawiłem, uwalniając dłoń z uścisku. - Daj mi sprawdzić ten dom, zanim posuniemy się dalej. Dar pozwoli mi dowiedzieć się czegoś o jego przeszłych i obecnych mieszkańcach.

Podeszliśmy do budynku i zatrzymaliśmy się u podnóża brudnych kamiennych schodków, które wiodły do obłazących z farby drzwi. Stare cegły i zaprawa, pomazane okna i nawet śladu życia. Drzwi nie wyglądały jakoś wyjątkowo solidnie, uznałem, że nie zdołają mnie powstrzymać, jeśli zechcę wejść. Tylko że byliśmy w Nightside, więc pewne wcale nie było pewne... Skupiłem dar na domu i niemal krzyknąłem ze zdumienia. Przede mną nie było domu. Żadnej historii, emocji, uczuć, żadnych wspomnień, nawet najślabszego śladu czyjejs obecności. Według daru stałem przed pustą parcelą. Tu nie było żadnego domu. Nigdy.

Chwyciłem Joannę, która aż podskoczyła.

- Nie rozumiem! Gdzie się podział dom?

- Nigdzie - odpowiedziałem. - Nigdzie się nie podział, bo nigdy go tu nie było.

Puściłem jej dłoń i zamknąłem wewnętrzne oko. Przede mną znowu stał budynek. Absolutnie realny i absolutnie brzydki.

- Kolejny duch? - zapytała Joanna. - Tak jak tamten lokal?

- Nie. Ducha bym zidentyfikował. To jest realne, ma wymiar fizyczny. Widzieliśmy, jak Cathy tu wchodzi. Coś tutaj... pogrywa sobie z nami. Kryje swoją prawdziwą naturę.

- Coś w domu?

- Najpewniej. A to oznacza, że jeśli chcemy uzyskać jakieś odpowiedzi, musimy dostać się do środka i zobaczyć na własne oczy. Dom... nie jest po prostu domem. Ciekawe, czym jest?

- Mam to gdzieś - stwierdziła Joanna z mocą. - Jedyne, co teraz się liczy, to znaleźć Cathy i zabrać ją jak najdalej stąd.

Chwyciłem ją za ramię i zatrzymałem, bo już pakowała się na schody. Koniec naszego pościgu był tuż-tuż, a to sprawiło, że Joanna aż drżała z emocji. Spojrzała na mnie zła, że ją zatrzymuję, więc odezwałem się jak najłagodniej.

- Nie pomożemy Cathy, pakując się w pułapkę. A tak się zwykle kończy parcie przed siebie na oślep.

- Dlatego dobrze, że ja tu jeszcze jestem - stwierdziła Wystrzałowa Suzie.

Obejrzałem się gwałtownie. Stała na ulicy, tuż za mną, uśmiechając się z zadowoleniem. Spiorunowałem ją wzrokiem.

- Najpierw Walker, teraz ty. Pamiętam, że kiedyś ludzie nie byli w stanie tak się do mnie podkradać.

- Starzejesz się, Taylor - zawyrokowała Suzie. - Robisz się miękki. Znalazłeś mi już coś do zastrzelenia?

- Może. - Wskazałem na budynek przed nami. - Nasza uciekinierka jest tutaj. A mój dar mówi, że w tym miejscu jest coś bardzo nienaturalnego.

Suzie prychnęła jak kotka.

- Nie wygląda nienaturalnie. Przekonajmy się. Pójdę pierwsza, jeśli się boisz.

- Nie tym razem, Suzie, mam naprawdę paskudne przeczucie co do tego domu.

- Zawsze masz paskudne przeczucia.

- I zawsze mam rację.

- Fakt.

Powoli wszedłem na kamienne schodki. Nie widziałem nikogo, ale

czułem, że ktoś uważnie nas obserwuje. Suzie szła przy mnie, jakby nie było tych pięciu lat, jakby jej miejsce zawsze było u mego boku, w rękach już ścisnęła Shotguna. Joanna szła za nami, trochę zirytowana faktem, że została zepchnięta na tyły. Odgłos naszych kroków niósł się nienaturalnie daleko, ale tym się nie przejąłem. Cokolwiek czekało na nas w tym domu, który nie był domem, wiedziało, że przyszliśmy. Zatrzymałem się przed drzwiami. Nie widziałem dzwonka. Ani kołatki. Ani skrzynki na listy. Walnąłem w nie kilkakrotnie pięścią, a drewno zdawało się uginać lekko przy każdym uderzeniu, jak gdyby było przegniłe. Dźwięk też był jakiś stłumiony.

Nikt nie odpowiedział na moje pukanie.

- Chcesz, żebym przestrelała zamek? - zapytała Suzie.

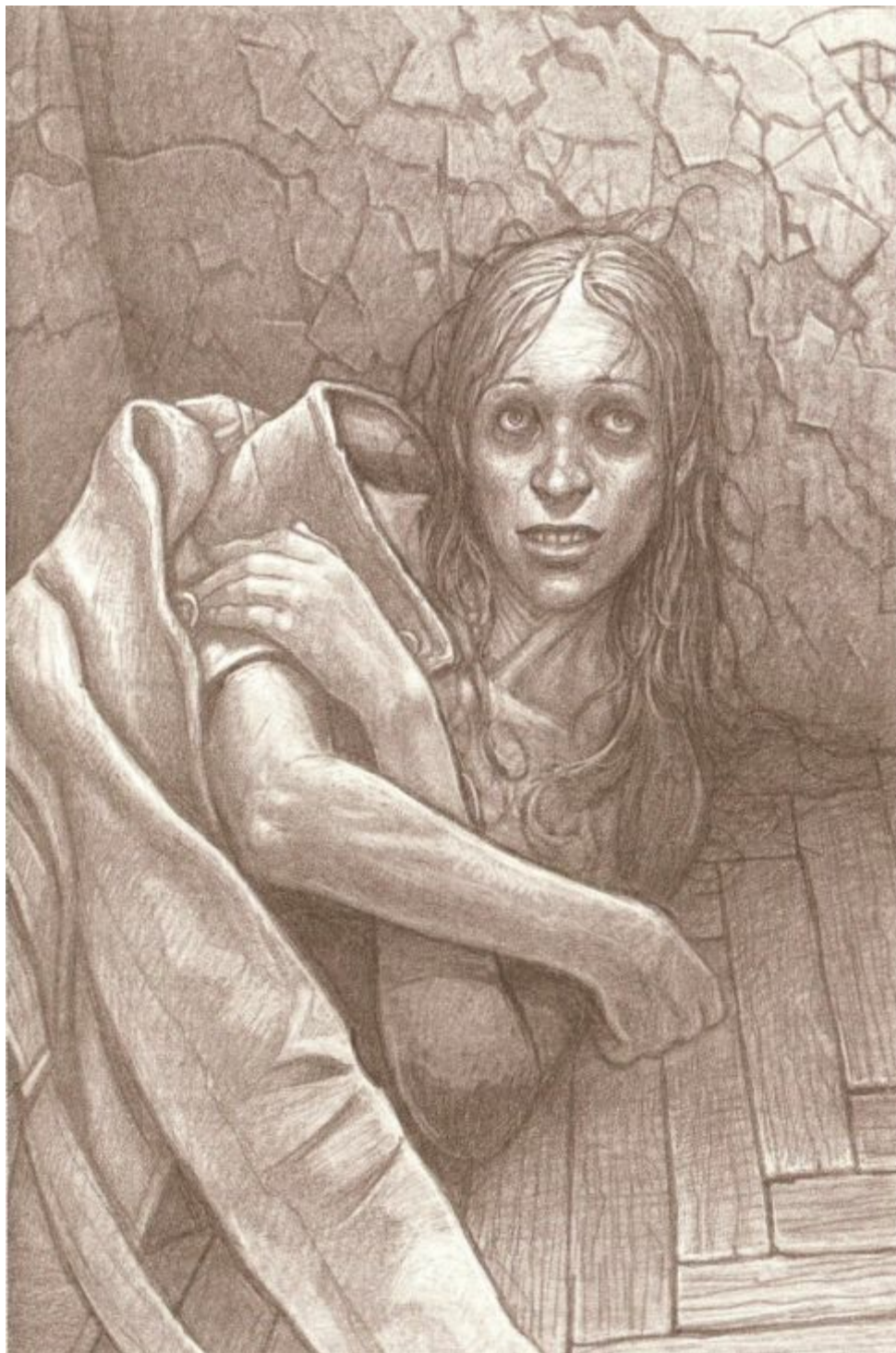
Chwyciłem za klamkę, a ta ustąpiła lekko pod naciskiem. Odbarwiony metal był nieprzyjemnie ciepły i wilgotny w dotyku. Wytarłem rękę o płaszcz i pchnąłem drzwi czubkiem buta. Za nimi panowały tylko mrok i cisza. Joanna przepchnęła się obok mnie, próbując dostrzec coś w ciemności. Już otworzyła usta, by zawołać córkę, ale ją uciszyłem. Wbiła we mnie naglące spojrzenie. Nie chciała zwlekać ani chwili, wyczuwałem to bez trudu. Suzie wyciągnęła z kieszeni latarkę, zapaliła i podała mi bez słowa. Kiwnąłem głową w podziękowaniu i poświeciłem w głąb korytarza. Wąski snop światła nie pozwalał na dojrzenie szczegółów, ale korytarz wyglądał na długi, szeroki i kompletnie pusty.

Ruszyłem do przodu, a Suzie i Joanna za mną.

Gdy tylko przekroczyliśmy próg, drzwi zamknęły się za nami same z siebie. Żadne z nas nie było tym zaskoczone.

DZIESIĘĆ

W trzewiach bestii



Dom był ciemny i pusty, pogrążony w całkowitej ciszy i nienaturalnym bezruchu. Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że coś tutaj wstrzymuje oddech, czekając na nasz następny ruch. Szedłem wolno szerokim korytarzem, spięty i niespokojny, spodziewając się ataku, który jednak nie nastąpił. Wyczuwałem otaczające mnie niebezpieczeństwo, ale nie potrafiłem go określić, nie potrafiłem nawet przewidzieć, z której strony może nadejść zagrożenie. Identycznie czułem się w Piaskach Czasu. Ale w niektóre pułapki po prostu musisz wpaść, jeśli chcesz dotrzeć do celu.

Cienie wokół mnie tańczyły dziko, powołane do życia światłem latarki. To światło zresztą jakoś nie robiło wielkiego wrażenia na wszechobecnej ciemności. Mogłem zobaczyć kawałek korytarza przed sobą, parę drzwi po prawej i schody prowadzące na pierwsze piętro po lewej. Właściwie nic dziwnego, zwyczajne rzeczy, a jednak tutaj, w atmosferze domu, wydawały się w jakiś sposób złowieszcze. To nie było dobre miejsce. Nie dla trójki słabych ludzi błakających się w ciemności.

Gorące powietrze zgęstniało od wilgoci, zupełnie jak w szklarni, gdzie hoduje się ogromne mięsiste rzeczy, które nie zdołałyby przetrwać samodzielnie. Suzie bezszelestnie przesunęła się obok mnie, rozglądając się uważnie. Uniosła lufę shotguna i powęszyła jak pies.

- Wilgotno tu. Jak w tropikach. I ten zapach... Śmierdzi zgnilizną...

- To stary dom - mruknąłem. - Nikt o niego nie dbał od lat.

- Nie ten rodzaj zgnilizny. Śmierdzi bardziej jak... rozkładające się mięso.

Wymieniliśmy spojrzenia, ale się nie zatrzymaliśmy. Nasze wolne kroki odbijały się echem od nagich gipsowych ścian. Żadnych mebli, żadnych instalacji, dywanów czy innych udogodnień. Nawet kalendarza na ścianie. Niczego, co by świadczyło, że ktoś tu kiedyś mieszkał. To spostrzeżenie wydało mi się ważne, ale przez chwilę nie mogłem zrozumieć dlaczego. W końcu byliśmy na Blaiston, a tu ludzie nie przychodzili żyć po ludzku.

- Zauważyłeś podłogi? - zapytała cicho Suzie.

- Co konkretnie? - chciałem wiedzieć.

- Są lepkie.

- O, wielkie dzięki - odezwała się Joanna. - Naprawdę nie musiałam

tego wiedzieć! Bardzo ci dziękuję. Jak tylko się stąd wydostaniemy, spalę buty. Całe to miejsce jest przeżarte chorobą.

Znów znalazła się przy moim boku, rzucając wokoło niespokojne spojrzenia. Ale widać było, że przede wszystkim jest... zniecierpliwiona. Nie podobało jej się to miejsce, ale nie było wątpliwości, że dom nie robi na niej takiego wrażenia, jak na mnie i na Suzie. Co było... intrygujące. Założyłem, że to bliskość Cathy sprawia, że wszystko inne przestało się na moment liczyć. Zatrzymaliśmy się pośrodku korytarza.

- Wygląda na to, że ostatni mieszkańcy tego bagna zmyli się, nie zostawiając adresu - stwierdziła Suzie, opuściwszy nieco shotguna, jako że nie było do kogo celować. - I zabrali ze sobą wszystko, co nie było przybite do podłogi.

Kiwnąłem tylko głową. W tej chwili nie ufałem swoim wrażeniom na tyle, by powiedzieć cokolwiek sensownego. Byłem cały podminowany. Przytłaczało mnie odczucie, że jestem obserwowany przez kogoś, kto na pewno nie jest przyjaźnie nastawiony. Wciąż miałem ochotę oglądać się przez ramię, niemal pewny, że zaraz zobaczę coś ohydneho, coś, co szykuje się do skoku. Jednak się nie obejrzałem. Niczego tam nie było, w przeciwnym wypadku Suzie by wiedziała. A w Nightside nie przetrwasz zbyt długo, jeśli nie nauczysz się kontrolować swoich odruchów.

Lustro na ścianie przyciągnęło moją uwagę. Chwilę trwało, zanim zrozumiałem, co jest nie tak. Niczego nie odbijało. To był kawałek zwykłego szkła w drewnianej ramie, a nie lustro.

Po prawej miałem dwie pary drzwi, prowadzące do jakichś pomieszczeń. Zwyczajne, niczym niewyróżniające się drzwi. Wolno przysunąłem się do pierwszych, a Suzie natychmiast znalazła się przy mnie z bronią gotową do strzału. Joanna została nieco w tyle. Przez chwilę nasłuchiwałem uważnie, z uchem przy drzwiach, ale słyszałem jedynie własny oddech. Nacisnąłem klamkę, była mokra, ociekała wilgocią, jak gdyby metal pocił się z gorąca.

Wytarłem dłoń o połą płaszcza i otworzyłem drzwi nogą. Wejdz do mej pajęczyny, powiedział pająk do muchy.

Drzwi otworzyły się lekko. Zawiasy nawet nie skrzypnęły. Pokój był

całkowicie ciemny. Zatrzymałem się w progu i próbowałem oświetlić go latarką. Mrok zdawał się pożerać światło. Tu też nie znalazłem mebli, sprzętu, żadnych osobistych rzeczy. Bardziej to przypominało scenografię filmową niż miejsce, które ktokolwiek nazwałby domem. Otworzyłem następne drzwi. Drugi pokój niczym nie różnił się od pierwszego.

- Bez względu na to, co się tutaj działo, spóźniliśmy się - stwierdziła Suzie. - Ktoś ich musiał uprzedzić, że wpadnę z wizytą.

- Nie, to nie to - zaprzeczyłem. - Coś tu nadal jest, tylko chowa się przed nami.

Podszedłem do schodów wiodących na piętro. Gołe drewniane stopnie, proste barierki, żadnych ozdóbek i uduchowienia. Ale i żadnych zadrapań, rys, śladów użytkowania. Mogły być zarówno nowe, jak i stare. Miałem wątpliwości, czy kiedykolwiek dotknęła ich ludzka ręka.

- Halo? Jest ktoś w domu? - krzyknąłem w głąb korytarza. Lepkie powietrze sprawiło, że mój głos brzmiał słabo i głucho. A jednak skądś z góry usłyszeliśmy trzaśnięcie drzwiami. Suzie i Joanna w ułamku sekundy znalazły się przy mnie. Drzwi trzasnęły jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze raz. Była w tym jakaś ponura premedytacja, demonstracja siły, stanowiąca zarazem groźbę i zaproszenie. Chodź tu na górę, jak się ośmielisz. Postawiłem nogę na pierwszym stopniu i walenie ustało natychmiast. Coś wiedziało. Popatrzyłem na Suzie, a potem na Joannę.

- Ktoś jednak jest w domu.

Joanna przepchnęła się do przodu i pewnie pobiegłaby po schodach na oślep, gdybym jej nie zatrzymał, chwyciwszy za ramię. Szarpnęła się, walczyła, żeby się uwolnić, nawet na mnie nie patrząc, i musiałem naprawdę się wysilić, żeby mi się nie wyrwała. Powtarzałem jej imię głośniej i głośniej, aż wreszcie odwróciła się do mnie, dysząc ciężko. Twarz miała czerwoną, rozpaloną i wykrzywioną grymasem złości.

- Puść mnie, ty draniu! Cathy tam jest, czuję to!

- Joanno, nie wiemy, co tam jest.

- Ja wiem! Muszę do niej iść, ona mnie potrzebuje! Puść mnie albo...

Kiedy zrozumiała, że nie zdoła uwolnić ramienia, zaatakowała drugą ręką. Sięgnęła do mojej twarzy, jej zakrzywione palce były niczym szpony. Suzie powstrzymała ją bez trudu, chwytając za nadgarstek uściskiem tak mocnym, że musiał być bolesny. Joanna skrzywiła się i tym razem spróbowała uwolnić się od Suzie, ale tamta tylko wzmocniła chwyt. Joanna głośno wciągnęła powietrze i przestała się wyrywać. Suzie spoglądała na nią chłodno.

- Nikomu nie wolno uderzyć Johna poza mną, pani Barrett. A teraz proszę zachowywać się grzecznie albo będzie miała pani okazję posłuchać, jaki dźwięk wydaje pękający nadgarstek, kosteczka po kosteczce.

- Spokojnie, Suzie - wtrąciłem się. - Ona jest tu nowa. Nie rozumie, jakie niebezpieczeństwo może nam grozić.

Z tym że powinna już to załapać.

- Więc im szybciej się nauczy, tym lepiej - odpowiedziała Suzie. - Nie pozwolę, żeby nas narażała, prędzej sama ją zabiję.

- Martwi klienci nie płacą - przypomniałem jej.

Sapnęła, ale rozluźniła uścisk, przy czym całą sobą dawała do zrozumienia, że jeśli tylko będzie musiała, bez wahania zainterweniuje raz jeszcze. Ja też przestałem ścisnąć ramię mojej nierozsądnej klientki. Rzuciła nam spojrzenie spode łba, masując zaczerwienioną dłoń.

- Musisz się uspokoić, Joanno - starałem się, by mój głos brzmiał jak najbardziej spokojnie i rozsądnie. - Szczególnie teraz, kiedy jesteśmy tak blisko. Ufałaś mi dotąd, bądź konsekwentna. Na górze może być wszystko poza twoją Cathy. I to Coś czeka tylko, byśmy weszli w sprytnie przygotowaną pułapkę. Albo zrobimy to powoli i ostrożnie, albo wcale. Zrozumiałaś?

Na ustach Joanny pojawił się grymas, w oczach jasno płonęła złość.

- Nie rozumiesz, co czuję. Nic nie wiesz o matczynej miłości. Ona tam jest. Potrzebuje mnie. Muszę do niej iść.

- Albo weźmiesz się w garść, albo pozwolę Suzie, by powłokła cię do drzwi i wykopała twój tyłek prosto na ulicę - zagroziłem spokojnie. - Dla twojego własnego dobra. Mówię poważnie, Joanno. To, jak się zachowujesz teraz... jesteś nie tylko nieodpowiedzialna, stanowisz realne zagrożenie dla nas wszystkich. Wiem, że to miejsce... może

wyprowadzić z równowagi, ale nie możesz mu na to pozwolić. To do ciebie niepodobne, Joanno. Wiem, że nie.

- Wcale mnie nie znasz - odpowiedziała, ale jej głos był już wyraźnie spokojniejszy. - Przepraszam. Będę już spokojna. Tylko... jestem już tak blisko niej i to mnie doprowadza do szału. Cathy ma kłopoty. Czuję to. Muszę do niej iść. Pozwól mi zostać z wami, będę już grzeczna, obiecuję.

To też nie było do niej podobne, ale skinąłem niechętnie głową, przypisując to nietypowe zachowanie wpływom domu. Urodziłem się w Nightside, a ten cholerny dom i tak mieszał mi w głowie. Kazałem Joannie kilka razy głęboko odetchnąć i wyglądało na to, że pomogło. Nie podobało mi się, jak dom na nią działał. Ta rozgorączkowana, niemal szalona Joanna nie była kobietą, którą poznałem i na której mi zależało. Tak nie wariowała nawet w Piaskach Czasu. To ten dom.

- Nie trzeba było jej tu przyprowadzać, John - odezwała się Suzie. - To nie miejsce dla niej.

W jej tonie nie było ani urazy, ani potępienia. Zwyczajnie dała wyraz swoim obserwacjom, szczerze, tak jak i ja zwykłem to robić.

Joanna popatrzyła na nią wrogo, a jej głos znowu nabrał wysokich gniewnych tonów.

- Masz gdzieś to, co mogło się stać mojej córce! Jesteś tu tylko dlatego, że ci za to płacę!

- Cholerna racja - zgodziła się Suzie, w ogóle nieporuszona tym wybuchem. - I lepiej, żeby to były dobre pieniądze.

Kłóciły się jeszcze przez chwilę, jedna rozgorączkowana, druga lodowato spokojna, ale ja już nie zwracałem na nie uwagi. Wszystkie moje myśli dotyczyły teraz domu. Byłem pewien, że coś przegapiłem. Coś tu wezwało Cathy i te zaginione „raczej ważne osoby” Walkera, a teraz ja tu dotarłem, do samego serca tajemnicy, i niczego tu nie było. No może poza tym czymś na piętrze, co próbowało z nami pogrywać. Nic w domu, zupełnie nic... Wszedłem na schody, a Suzie z Joanną jak na komendę zakończyły swoją kłótnię i ruszyły za mną, przy czym Suzie natychmiast przepchnęła się na miejsce u mego boku, gotowa w każdej chwili otworzyć ogień.

Żadne drzwi już nie trzasnęły. W ogóle nic się nie działo. Kiedy

dotarliśmy na piętro, znaleźliśmy jedynie kolejne nagie ściany i kolejne drzwi prowadzące prawdopodobnie do pustych pokoi, wszystkie bezpiecznie pozamykane. Suzie rozglądała się w poszukiwaniu jakiegoś celu, a lufa shotguna podążała za jej spojrzeniem. Joanna aż dygotała z niecierpliwości, więc poświęciłem kilka sekund, by wbić jej do głowy, że to Suzie i ja pójdziemy pierwsi. Popatrzyłem na zamknięte drzwi i mógłbym się założyć, że odpowiedziały mi spojrzeniem pełnym samozadowolenia.

- Wydaje mi się czy tam jest jaśniej? - Suzie nagle podniosła głos.

Zmarszczyłem brwi, uświadomiwszy sobie, że faktycznie, teraz widziałem lepiej podłogę, nawet poza kręgiem światła latarki.

- Nie wydaje ci się. Zupełnie jakby się mrok podnosił, ale niech mnie szlag, jeśli wiem, skąd płynie to światło... - Spojrzałem w górę i słowa zamarły mi na ustach. Dopiero teraz zauważyłem, że na suficie nie było ani jednej żarówki, ani nawet śladu po jakiegokolwiek oprawce, a to było... niezwykle, nawet jak na standardy Blaiston.

- Tak mi przyszło do głowy - mruknęła Suzie. - I jest to raczej niepokojąca myśl, skoro domu tutaj naprawdę nie ma, to na czym tak właściwie stoimy? Unosimy się w powietrzu ponad parcelą?

- Masz rację, to bardzo niepokojąca myśl - odpowiedziałem. - Tego mi było trzeba. Czekaj moment, zaraz to sprawdzę...

Ale gdy sięgnąłem po dar, nic się nie wydarzyło. Zupełnie nic, jakby coś z zewnątrz owinęło się wokół mej głowy, niewyczuwalne, a zarazem nieusuwalne, i uniemożliwiło mi skorzystanie z wewnętrznego oka, uniemożliwiło zobaczenie świata takim, jaki był naprawdę. Próbowałem z tym walczyć ze wszystkich sił, uwolnić się, ale nie miałem czego się uchwycić. Zakląłem. Co takiego się tutaj działo, że owo Coś nie życzyło sobie, bym to zobaczył albo pojął...? Suzie z gniewną miną rozglądała się desperacko w poszukiwaniu czegoś, co mogłaby zaatakować.

- Co robimy, John? Wyważamy te drzwi po kolei i sprawdzamy pokój po pokoju? Strzelając do wszystkiego, co się rusza, a nie jest naszą zagubioną dziewczynką?

Uciszyłem ją gwałtownym gestem, starając się podchwycić dźwięk, który chyba usłyszałem sekundę wcześniej. Tak, nie myliłem się. Niedaleko, za którymiś drzwiami, ktoś chichotał. Jak dziecko, które ma

sekret. Na palcach ruszyłem wzdłuż ściany, z Suzie i Joanną przyklejonymi do moich pleców. Zatrzymałem się przy kolejnych drzwiach, nasłuchując, aż znalazłem te właściwe. Złapałem za klamkę, a ta ustąpiła przy pierwszym dotyku zapraszająco. Uchyliłem drzwi na cal i odsunąłem się. Gestami przywołałem do siebie Joannę i skinąłem głową do Suzie. Ta wyszczerzyła radośnie zęby i kopnęła w drzwi.

Pokój był tak samo nagi i pusty jak poprzednie, z tą różnicą, że w tym znaleźliśmy wreszcie Cathy Barrett. Leżała na plecach, na gołych deskach pod przeciwległą ścianą. Długi, brudny płaszcz okrywał ją aż po brodę. Nawet nie drgnęła, kiedy jej, było nie było, ekipa ratunkowa wpadła do pomieszczenia, nie zrobiła najmniejszego ruchu, by się podnieść, tylko uśmiechała się radośnie, jakby nie miała najdrobniejszych nawet zmartwień.

- Witajcie - powiedziała. - Oczekiwaliśmy was.

Rozejrzałem się, ale w pokoju nie było nikogo prócz niej. Nie dociekałem jednak, co znaczy to „my”. Wrażenie, że jesteśmy obserwowani, aż skręcało mi bebechy. Pomieszczenie pojaśniało, choć nie dostrzegałem żadnego źródła światła. Im dłużej się rozglądałem, tym większy czułem niepokój. Nie było okien, nie było mebli ani sprzętów, żadnego wyposażenia, żadnych detali. Tylko podłoga, nagie ściany i sufit. Jak niedokończony szkic. Zupełnie jakby dom uznał, że nie musi już się maskować. Odłożyłem latarkę i mocno chwyciłem ramię Joanny, ale ona chyba tego nie zauważyła, absolutnie skupiona na córce. Tymczasem Cathy nawet nie uniosła się na łokciu, by nas lepiej widzieć. Zaczynałem się zastanawiać, czy w ogóle może się ruszać.

Na wynędzniałej buzi, widocznej nad kołnierzem płaszcza, malował się niegasnący uśmiech. Z trudem ją rozpoznałem. Od dziewczyny na zdjęciu, które zademonstrowała Joanna w moim biurze, tę tutaj dzieliło mnóstwo kilogramów. Szara, pergaminowa skóra napięła się na kościach policzkowych, ogromne oczy zapadły w głąb czaszki, włosy, kiedyś złote, teraz zwisały w tłustych strąkach nieokreślonego koloru. Wyglądała, jakby miała zaraz umrzeć z głodu. Jakby nie jadła od miesięcy, a nie kilku tygodni, które ponoć spędziła poza domem. Zerknąłem na Joannę, zdjęty nagłą wątpliwością, czy powinienem był tak łatwo dać wiarę temu, co mówiła. Ale nie miałem powodów

kwestionować jej wersji wydarzeń. Dar pokazał mi Cathy wchodzącą do tego domu zaledwie kilka dni temu i dziewczyna nie wyglądała nawet w połowie tak źle jak teraz.

Suzie nieustannie się rozglądała, shotgun w jej rękach był gotów.

- To śmierdzi, John. Coś tu straszliwie nie gra.

- To ona! - odezwała się Joanna. - Moja Cathy. Jest tutaj!

- I nie tylko ona tu jest - odpowiedziałem. - Suzie, pilnuj Joanny.

Nie pozwól jej zrobić czegoś głupiego.

Wolno postąpiłem do przodu i przykleknąłem obok dziewczyny. Drewniana podłoga zdawała się uginać lekko pod moim ciężarem. Cathy patrzyła na mnie, nie przestając się uśmiechać, uszczęśliwiona, jakby na całym świecie nie było miejsca, gdzie czułaby się lepiej. Z bliska śmierdziała jak człowiek od dawna ciężko chory.

- Cześć, Cathy - powiedziałem. - Twoja mama prosiła, żebym przyszedł tu i cię znalazł.

Przez chwilę rozważała moje słowa, a upiorny uśmiech nawet na sekundę nie zniknął z jej twarzy.

- Dlaczego?

- Martwiła się o ciebie.

- Wcześniej się nie martwiła - jej głos był spokojny i pusty, jakby z trudem przypominała sobie coś, co zdarzyło się dawno temu. - Miała swój interes, swoją kasę, swoich facetów... Nie potrzebowała mnie. Tylko jej zawadzałam. Teraz jestem wolna. Szczęśliwa. Mam wszystko, czego pragnęłam.

Pusty pokój.

- Cathy, przyszedliśmy cię stąd zabrać. Do domu.

- Jestem w domu - stwierdziła, wciąż się uśmiechając. - A ty nigdzie mnie nie zabierzesz. Dom ci nie pozwoli.

Upadłem, krzycząc rozpaczliwie, gdy Coś, ogromne i mroczne, wściekle głodne, wdarło się do mojego umysłu.

Uderzyło ze wszystkich stron równocześnie, przebijając moje zasłony, jak gdyby wcale ich tam nie było. To Dom. Był żywy. Kiedyś Coś wyglądało inaczej i być może za jakiś czas znowu przybierze inną formę. Ale teraz było Domem. I pożywiało się.

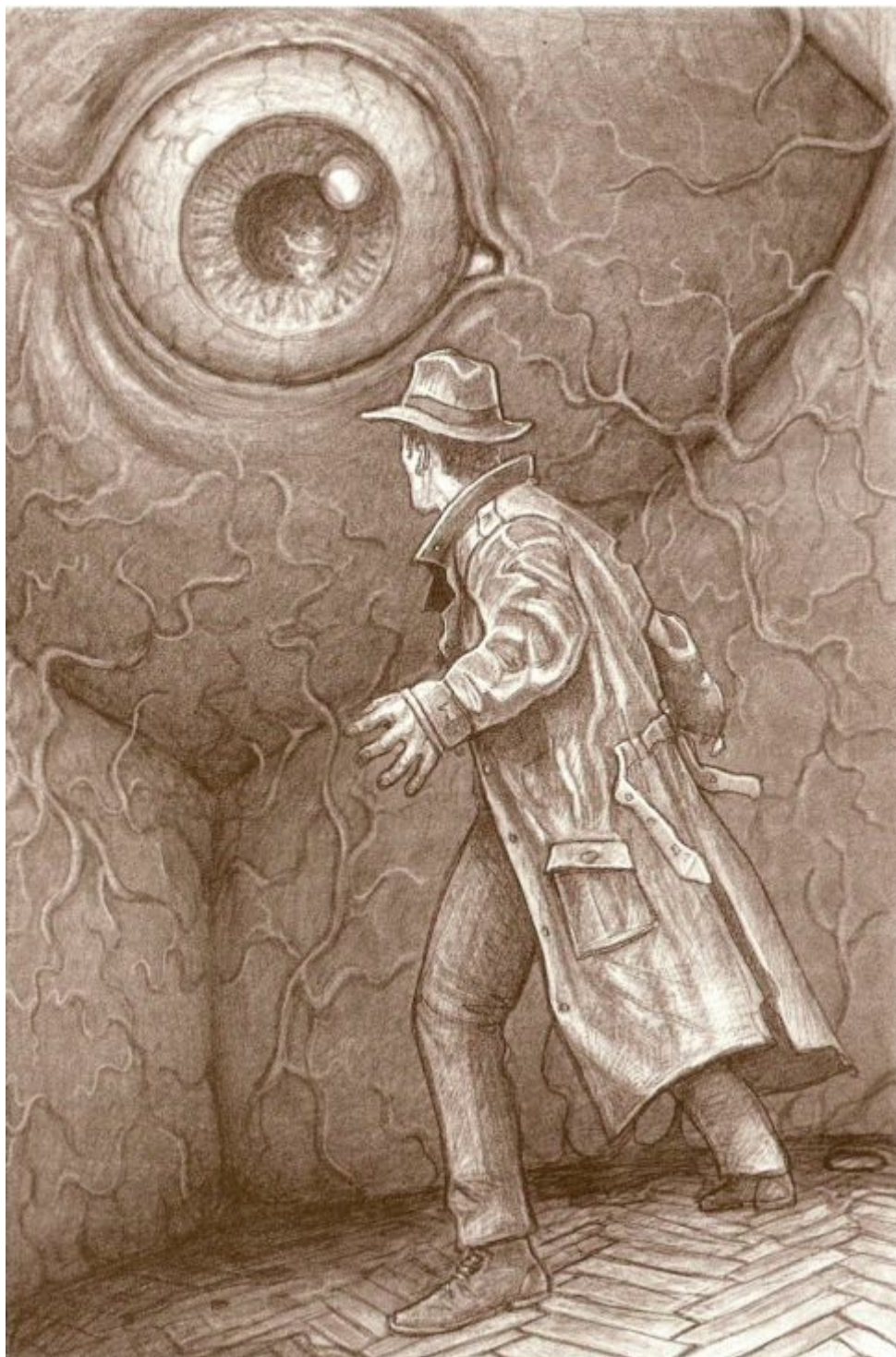
Cał po calu uwalniałem umysł, odtwarzając zasłony, aż myśli

znowu były tylko moje, aż Dom zniknął, a w mojej głowie pozostałem tylko ja. Wysiłek był tak ogromny, że dla każdego innego skończyłby się śmiercią. Dochodziłem do siebie skulony na podłodze obok Cathy, raz po raz wstrząsany dreszczami. W głowie huczał mi huragan, krew z nosa płynęła wartkim strumyczkiem. Obok klęczała Suzie, dłoń zacisnęła na moim ramieniu i coś krzyczała, ale nie mogłem jej usłyszeć. Joanna patrzyła na nas, stojąc w progu. Twarz miała kompletnie pozbawioną wyrazu. Dopiero teraz, mając policzek przyciśnięty do podłogi, zorientowałem się, jak bardzo ciepłe były niby-deski. Ciepłe, wilgotne i zaskakująco gładkie. W głębi drewna wyczuwałem delikatne pulsowanie.

Z pomocą Suzie udało mi się unieść na czworakach. Krew z nosa kapiała na podłogę. Bez większego wrażenia patrzyłem, jak drewno wsysa czerwone plamki, aż nie znikną bez śladu. Już wiedziałem, co się dzieje. Wiedziałem, w jaką pułapkę tak chętnie weszliśmy. Sięgnąłem i zerwałem z Cathy płaszcz, odsłaniając prawdę. Nagie, straszliwie wynędzniałe ciało Cathy powoli wsiąkało w drewnianą podłogę.

JEDENAŚCIE

Koniec maskarady



To Dom - powiedziałem. - Jest żywy i głodny.

Teraz już go czułem, pulsujący obcym życiem, ryczał triumfalnie na obrzeżach mojego umysłu. Śmiał się. Już nie musiał się dłużej ukrywać. Podniosłem wzrok i zobaczyłem Suzie. Oddychała spazmatycznie, dłonie zacisnęła na broni, jedynej rzeczy, na której zawsze mogła polegać. Jej oczy raz po raz omiatały spojrzeniem pokój w poszukiwaniu czegokolwiek, w co można by wałnąć lub strzelić. Joanna stała w progu niczym posąg. Pobladła twarz nie wyrażała żadnych emocji, nawet wtedy, gdy jej wzrok na moment spotkał się z moim. Równie dobrze mógłbym być kimś zupełnie dla niej obcym. Odwróciłem się ku Cathy.

- Powiedz mi - poprosiłem. - Powiedz mi dlaczego, Cathy? Dlaczego tu przyszedłaś z własnej i nieprzymuszonej woli?

- Dom mnie wezwał - odpowiedziała uszczęśliwiona. - Otworzył przede mną drzwi, a ja przekroczyłam próg i znalazłam się w zupełnie nowym świecie. Tak jasnym, przepelnionym energią, takim żywym. Jakbym nagle zobaczyła kolorowy film po oglądaniu tylko tych czarno-białych. Dom mnie potrzebował. Nikt wcześniej mnie nie potrzebował. To było cudowne uczucie. Więc przyszedłam tu i oddałam się mu, a teraz... nie muszę się już niczym martwić. Dom sprawia, że jestem szczęśliwa, po raz pierwszy w życiu. Kocha mnie. Ciebie też pokocha.

Otarłem nos z krwi, na dłoni pozostała mi karmazynowa smuga.

- On się tobą żywi, Cathy. Dom cię pożera.

- Wiem - przyznała radośnie. - Czy to nie wspaniałe? Będę jego częścią. Stanę się częścią czegoś większego, o wiele ważniejszego, niż ja sama kiedykolwiek bym była. I nigdy już nie będzie mi źle, nie będę zagubiona, samotna czy nieszczęśliwa. Nigdy już niczym nie będę się martwić.

- Bo będziesz martwa! To Coś cię okłamuje, Cathy! Mówi ci to, co chcesz usłyszeć. Kiedy zaatakowało mój umysł, nie zdołało ukryć swojej prawdziwej natury. Jest głodne. Tylko tym jest, wiecznym głodem. A ty jesteś jego pokarmem jak inni, których wchłonał.

Cathy uśmiechnęła się do mnie, umierając cal po calu i nie przejmując się tym, bo Dom nie pozwolił jej się przejmować. Suzie przysunęła się bliżej i podniosła na nogi. Utrzymywała mnie w pionie

przy użyciu brutalnej siły, aż zdołałem złapać równowagę. Wtedy zajrzała mi prosto w twarz.

- Gadaj, John. Co tu się dzieje? Czym jest ten Dom?

Odetchnąłem głęboko. Nie pomogło. Nie byłem ani o włos spokojniejszy. Na szczęście powoli przestawałem dygotać. Jak to już nieraz bywało w Nightside, odkryłem prawdę i ani mnie to nie cieszyło, ani nie poprawiało samopoczucia - niewiedza okazała się poniewczasie błogosławieństwem.

- To drapieżnik - wyjaśniłem. - Obcy z obcego świata, teraz bardzo od niego daleko. Przyjmuje taką formę, jaka jest mu potrzebna, zlewa się z otoczeniem, staje się niedostrzegalny, choć jest doskonale widoczny. Jego ofiary przychodzą do niego same, wabione przez zew, któremu nie można się oprzeć. Żeruje na zagubionych i samotnych, niekochanych, porzuconych i odrzuconych, na rozbitkach i miejskich odpadkach, których nikt nie szuka, za którymi nikt nie tęskni. Woła do nich, a każda z jego ofiar wierzy temu głosowi, bo zawsze mówi im to, co chcą usłyszeć. Nawet jeśli pożarł kilku ważnych ponoć ludzi, to dlatego, że bycie osobistością nie oznacza, że jesteś wolny od udręki i niespełnionych pragnień.

- Do rzeczy, John. - Suzie potrząsnęła mną za ramiona. - Dom wabi ludzi i co dalej?

- Karmi się nimi - odpowiedziałem. - Wysysa, absorbuje w siebie. Przejmuje ich siłę. A cały czas sprawia, że są szczęśliwi, żeby nie uciekali, żeby nie marzyli nawet o ucieczce.

- Jezu - jęknęła Suzie, patrząc w dół, na wychudzone ciało Cathy. - Na oko Dom pożarł już większość dzieciaka. Szkoda. Musimy stąd spadać, John.

- Co? - nie zrozumiałem albo nie chciałem zrozumieć.

- Nic nie możemy zrobić - powiedziała Suzie głucho. - Przyszliśmy za późno. Nawet gdybyśmy jakoś odcięli ją od tej podłogi, to dzieciak wykrwawi się, zanim dotrzemy do ulicy. Ona już jest martwa. Musimy ją zostawić i wydostać się stąd, póki jeszcze możemy. Zanim Dom zajmie się nami.

Wolno potrząsnąłem głową.

- Nie mogę tego zrobić, Suzie, nie mogę wyjść i zostawić jej tutaj.

- Słuchaj, John! Nie biorę przegranych spraw. A ta jest już dawno skończona. Jedyne, co możemy zrobić, to zabić małą szybko. A potem wydostać się stąd i wrócić z ciężarówką materiałów wybuchowych. Zabierz Joannę, a ja się zajmę dzieciakiem.

- Nie doszedłem tak daleko po to, by ją tu porzucić! Dziewczyna wraca z nami!

- Nikt nie wychodzi - oznajmiła Cathy. - Nikt nigdzie nie pójdzie.

Drzwi zaryczały wściekle za naszymi plecami. Obejrzeliśmy się, by zobaczyć, jak zamykają się z hukiem i znikają. Ich krawędzie stały się niewyraźne, kolor zbladł i po sekundzie patrzyliśmy już na gładką płaszczyznę bez jakiegokolwiek śladu wejścia. I nagle wszystkie cztery ściany zafalowały, rozszerzając się i kurcząc niczym gigantyczny ślimak, a z każdym ruchem ich wygląd był bardziej organiczny, stały się miękkie, elastyczne i obrzmiałe. Na każdej pojawiła się pulsująca rytmicznie siatka grubych fioletowych żył. Sufit pękł, ukazując wielkie oko, obce i zimne, wpatrzone nieruchomo w nowe ofiary na podobieństwo jakiegoś starożytnego bożka mało przychylnego ludziom. Ściany zaświeciły fosforyzującym blaskiem, a w powietrzu pojawił się nowy zapach, ciężki i gęsty, zapach krwi, żelaza i kwasu.

- Nikt nigdzie nie pójdzie - powtórzyła Cathy. - Nie ma dokąd pójść.

W jej głosie wyraźnie słyszałem jeszcze jeden, ochrypliwy i skończenie nieludzki.

Suzie niemal niepostrzeżenie znalazła się obok miejsca, gdzie były drzwi, i z całej siły rąbnęła w nie kolbą. Ohydna pulsująca powierzchnia ugięła się lekko, ale nie pękła. Suzie waliła w nią raz za razem, stękając z wysiłku. Bezskutecznie. Przez chwilę gapiała się w ścianę, dysząc ciężko, po czym, sfrustrowana, kopnęła ją z całej siły. Czubek skózanego buta natychmiast się przykleił i musiała użyć całej swojej siły, by się uwolnić. A kiedy jej się udało, odkryła, że w bucie brakowało kawałka skóry, został strawiony. Z sufitu zaczęły kapać krople ciemnego płynu, więcej popłynęło po ścianach i wypływało z podłogi. Suzie syknęła z zaskoczenia i bólu, gdy jedna z nich spadła na jej gołą dłoń, stając się cienką smuzką dymu.

- John, co to jest, do cholery? Co się dzieje?

- Soki trawienne - odpowiedziałem. - Jesteśmy w żołądku. Widać

Dom zdecydował, że zbyt niebezpieczne z nas towarzystwo, by zjeść nas powoli jak Cathy. Nie będzie się delectował, przerobi nas na zupkę. Suzie, zrób nam wyjście. Wywal dziurę w tej ścianie.

Suzie uśmiechnęła się okrutnie.

- Myślałam, że nigdy nie poprosisz! Odsuń się, bo jeszcze cię pochłapię.

Skierowała lufę w miejsce, gdzie były drzwi, i pociągnęła za spust. Strzał z niewielkiego dystansu spowodował jedynie kilka fal, niczym na powierzchni wody, do której wrzucono kamień. Ściana pochłonęła uderzenie. Suzie zakląła paskudnie i spróbowała raz jeszcze i jeszcze, przeładowując i strzelając raz za razem, póki powietrze nie zaczęło cuchnąć kordytem, a ryk broni stał się nie do zniesienia. Ale efekt był za każdym razem identyczny. Spojrzała na mnie.

- Jesteśmy w gównie po szyję, John. I powinieneś wiedzieć, że buty ci dymią.

- Jasne - mruknąłem. - Dom nie grymasi przy jedzeniu.

Patrzyła na mnie wyczekująco. Nie mając wroga ani celu, w który można by wymierzyć, nie bardzo wiedziała, co robić. Ale wierzyła, że znajdę jakieś wyjście z tego bałaganu. Zbyt łatwo pokładała we mnie wiarę, od zawsze. To był zresztą jeden z ważniejszych powodów, dla których zdecydowałem się opuścić Nightside. Zmęczyłem się sprawianiem zawodu pokładającym we mnie nadzieję przyjaciółom. Myślałem intensywnie. Musiało być jakieś wyjście. Nie po to wróciłem po tylu latach, nie po to walczyłem z obłądem, żeby teraz zginąć w jakimś przerośniętym żołądku. Nie po to wróciłem, by ponownie kogoś zawieść. Spojrzałem na Cathy, a potem na Joannę, nadal nieruchomo stojącą pod żywą ścianą. Twarz miała spokojną i bez wyrazu, oczy niewidzące. Nie powiedziała ani słowa od chwili, gdy Dom odsłonił swoją prawdziwą tożsamość. Nawet nie drgnęła, gdy Suzie otworzyła ogień. Najwyraźniej była w szoku.

- Joanna - zawołałem. - Chodź tu i porozmawiaj z Cathy. Spróbuj skupić jej uwagę na sobie, oddzielić ją od Domu. Chyba mam pomysł, jak uwolnić i ją, i nas, ale nie wiem, jak to na nią wpłynie... Joanno! Słuchaj mnie!

Wolno odwróciła głowę, by na mnie spojrzeć, i zobaczyłem, jak w

jej oczach powoli wzbiera przerażenie. Chciałem odwrócić wzrok.

- Dlaczego ją do mnie wołasz? - zapytała Cathy.

- Bo do tego, co chcę zrobić, potrzebuję pomocy twojej matki - odpowiedziałem.

- Ale to nie jest moja matka.

Słowa wracały do mnie niekończącym się echem. Ich straszliwe znaczenie wyparło mi z głowy wszystkie inne myśli. Nawet przez ułamek sekundy nie wątpiłem, że Cathy mówi prawdę. Słyszałem to w jej głosie, nawet wbrew własnej woli. Jakieś dziesiątki drobiazgów, które wcześniej nie miały sensu, teraz złożyły się na jeden przerażający moment objawienia. Joanna spojrzała na mnie, a w oczach miała już tylko spokój i pełen rezygnacji smutek. Opuściła ją energia i żywotność, widać uznała, że nie ma potrzeby dłużej udawać.

- Wybacz, John - powiedziała wolno. — Myślę, że to już koniec. Teraz, gdy jesteś tutaj, mój cel został zrealizowany. Mam wrażenie, że mi na tobie zależało... ale chyba nie jestem tym, kim myślałam, że jestem... - jej głos się zmienił, teraz słyszałem jeszcze tamten szorstki obcy głos, który wcześniej przemówił przez Cathy. - Jestem tylko doskonałą przynętą, zaprojektowaną i zaprogramowaną specjalnie po to, by zwabić cię do Nightside, gdzie można by się tobą... zająć.

- Dlaczego? - mój głos był niewiele mocniejszy od szeptu.

- Dom otrzymał wszystkie niezbędne dane - dokładny rodzaj klienta, rodzaj sprawy, dokładny typ kobiety, która zdoła do ciebie trafić. Kogoś, kto prześlizgnie się przez wszystkie twoje systemy obronne, sprawi, że zignorujesz instynkt i pozwolisz się poprowadzić na rzeź. Nigdy nie było żadnej Joanny Barrett, była tylko rola do odegrania, funkcja do wypełnienia. Jednak zrobiono mnie zbyt dobrze i przez jakiś czas zapomniałam, czym naprawdę jestem. Myślałam, że jestem kobietą, prawdziwą, z prawdziwymi uczuciami. Pozostało jej we mnie jeszcze tyle, by było mi przykro z powodu tego, co się z tobą zaraz stanie. Jednak nie na tyle dużo, by jakoś temu zapobiec.

- Nic z tego, co było między nami, nie było prawdziwe?

- Tylko ty, John. Ty byłeś prawdziwy.

- A... to wszystko? - musiałem zapytać. - To wszystko tutaj to pułapka specjalnie na mnie? Dom został tu zaproszony, pozwolono mu

polować, zabijać tylko po to, żeby dorwać mnie? Dlaczego?! Opuściłem Nightside! Nie byłem już dla nikogo zagrożeniem! Po co było sprowadzać mnie z powrotem?

- Zapytaj matkę - powiedziało Coś głosem Joanny - Wszystko wskazuje na to, że zamierza tu wrócić. A ty... jesteś niezamkniętą sprawą, niedokończonym tematem, niewiadomą, która może zmienić każdy wynik.

- Kto to zrobił? Kto za tym stoi?

- Nie domyślasz się? - zapytała Joanna, rysy jej twarzy zmiękły i spływały łagodnie, pozostawiając doskonale pustą maskę Siewcy Udreki.

Chyba krzychałem, jak krzyczy małe zwierzątko, czując zamykające się zęby stalowego potrzasku. Joanna zrobiła krok w tył i zatonała w żywej ścianie, miękko pulsująca powierzchnia zamknęła się za nią. Istota, którą wcześniej Dom stworzył, czy też powołał do życia, znów stała się jego częścią. Zniknęła, pozostawiając po sobie jedynie niewielkie fale, ale zaraz i one zniknęły bez śladu. Powinienem być wiedzieć. Powinienem pamiętać. Nie możesz ufać nikomu w Nightside, nic nie jest takie, jakie się wydaje. Walker próbował mnie ostrzec, ale nie słuchałem. Zapomniałem, że tutaj miłość to tylko kolejny rodzaj broni, używany do zadawania ran. Tutaj przeszłość nigdy tak naprawdę nie mija. Czuję, jak łzy płyną po moich policzkach dużo wcześniej, niż zdałem sobie sprawę z tego, że płacę.

- Niech to szlag - mruknęła Suzie, gapiąc się na ścianę, która pochłonęła Joannę. - Chyba nie mam co liczyć na kasę za tę robotę.

Spojrzała na mnie i westchnęła ciężko, widząc mój brak reakcji. Soki trawienne padały już teraz deszczem, paliły twarz i odsłonięte dłonie, ale miałem to gdzieś. Ktoś albo Coś właśnie wyrwało mi serce, cała reszta przestała się liczyć. Suzie położyła mi dłoń na ramieniu i zajrzała w oczy. Nie za dobrze radziła sobie z emocjami, ale starała się jak mogła.

- John, słuchaj mnie. Czymkolwiek była albo mogła dla ciebie być... możesz opłakiwać ją później. Nie możesz się teraz rozkleić. Musimy się stąd wydostać.

- Po co? - zapytałem. - Wszyscy chcą mojej śmierci, chyba nawet ja

sam tego chcę.

Strzeliła mnie w twarz bez złości.

- A co ze mną, John?

- Co z tobą?

- No dobrze, może i na to zasłużyłam. Nie powinnam pozwolić ci na tę ucieczkę i ukrywanie się w Londynie. I nie zawsze byłam dla ciebie prawdziwym przyjacielem, chyba nie mam do tego drygu. Ale co z dzieciakiem, John? Cathy? Pamiętasz? Ta, dla której tu wróciłeś? Chcesz ją zawieść? Pozwolisz jej umrzeć tylko dlatego, że masz ochotę poużalać się nad sobą?

Wolno obróciłem głowę i spojrzałem na Cathy, na to, co z niej zostało.

- Nie - powiedziałem wreszcie. - Nic z tego nie jest jej winą. I nigdy nie zawiadłem klienta. Dawaj rękę, Suzie.

- Co? Nie ma czasu na sentymentalne gesty, John.

- Zaufaj mi, Suzie. Uwierz, że wiem, co robię. Nie możemy wywalczyć drogi wyjścia, więc zostają tylko ja i mój dar.

Suzie popatrzyła na mnie, upewniając się, że odzyskałam panowanie nad sobą, po czym skinęła krótko głową. Wsunęła shotgun do kabury na plecach i wzięła mnie za rękę. Miała odciski wewnątrz dłoni, a jej chwyt był silny i pewny. Wierzyła we mnie. Chociaż ktoś. Ja jakoś nie byłem w stanie.

Westchnąłem ze zmęczeniem, szykując się do walki, do kolejnego starcia ze złem, bo nic innego już mi nie zostało.

- Musimy znaleźć serce Domu - powiedziałem. - Znaleźć i zniszczyć. Zniszczymy serce, zniszczymy Dom. Ale tutaj go nie ma. Dom musiał ukryć gdzieś serce dla bezpieczeństwa. Gdzieś, gdzie nikt nie byłby w stanie normalnie go odszukać. Z tym że ja normalny nie jestem. Potrafię je znaleźć. Potrafię znaleźć wszystko.

Poza tym najważniejszym. Sięgnąłem w głąb siebie po dar. Otworzyłem umysł. A Dom zaatakował błyskawicznie.

Przed długi czas byłem nigdzie. I było mi dobrze. Nie musiałem martwić się o rachunki, nierozwiązane sprawy, klientów, którym nie można było pomóc. Dobrze było nie martwić się tymi wszystkimi tajemnicami, jakimi było naszpikowane moje życie, i niekończącym się

bólem, jaki niesły mnie i tym, których kochałem. Kiedy zaczynałem tę robotę, miałem takie marzenie, marzenie pomagać ludziom, którzy nie mają do kogo się zwrócić. Ale marzenia są nietrwałe. A rzeczywistość to nieustanna walka o zdobycie kasy na jedzenie i czynsz, to nogi bolące od nieskończonego przemierzania ulic w poszukiwaniu osób, które nie chcą być znalezione.

Twarda rzeczywistość zmusza cię do rezygnowania z ideałów, krok po kroku, dzień po dniu, do nieustannych kompromisów dla tych kilku niewielkich zwycięstw, które nic nie znaczą w obliczu podłości i obojętności świata. Aż pewnego dnia zastanawiasz się, czy z człowieka, jakim chciałeś być, zostało coś jeszcze poza pustą skorupą, ale brniesz w to wszystko dalej, bo nie masz alternatywy.

Z tym że marzenie nigdy nie umiera do końca. Bo w Nightside marzenia to wszystko, co trzyma cię przy życiu. Zrezygnować z nich oznacza skazać się na śmierć.

Dorastając w Nightside, widziałem wielu takich, którzy umarli za życia. Wciąż jeszcze mogli mówić i chodzić, wędrować od jednego baru do drugiego, od drinka do drinka, ale w oczach mieli tylko pustkę. Nic się dla nich nie liczyło. Mój ojciec był trupem przez lata, na długo zanim jego serce wreszcie przestało bić i wieko trumny zamknęło się nad nim. Nie umiałem mu pomóc, byłem tylko dzieckiem.

Mój dar objawił się dużo później. Dar, którego mogłem użyć, by coś zmienić. Dla innych, nie dla siebie.

W bezpiecznym nigdzie nic otoczyło mnie miękko, sączyło w mój umysł strumień miłości i akceptacji, pragnąc, bym zapomniał o wszystkim. O wszystkim prócz miłości i szczęściu na wieki, bym odrzucił wszelkie potrzeby i pragnienia i odpoczywał już zawsze. Cichy głos mruczał mi obietnice, przyrzekał dać wszystko, czego kiedykolwiek pragnąłem, jeśli tylko poddam się i przestanę się opierać. Ale nie wierzyłem mu. Bo jedyna rzecz, jakiej pragnąłem, już została mi odebrana, w chwili gdy Dom wchłonął Joannę, Głos nie mruczał już, przemawiał z większym naciskiem, ale ja tylko śmiałem się szyderczo, bo w słodczy wciąż słyszałem nienasycony, wieczny głód.

Moje marzenia. Moja rzeczywistość. Uczepiłem się ich jak tonący. To one mnie ukształtowały. Nie ojciec, który mnie ignorował, nie

matka, która mnie porzuciła. Nie tajemnicze dziedzictwo, którego nigdy nie pragnąłem, ani te bezimienne hordy, które nieustannie mnie ścigały. Tyle wpływów, tyle sił, a żadnej nic nie zawdzięczałem. Zdecydowałem się pomagać ludziom, bo nikt mi nie pomógł, gdy byłem w potrzebie. I już jako dzieciak wiedziałem, że nie mogę ufać Władzom. Mój ojciec był jednym z nich, a i tak nie zdołali go obronić ani uratować. Sam ukształtowałem swoje życie, zdecydowałem o swoim przeznaczeniu i niech diabli wezmą resztę.

Mój gniew potężniał, gorący, okrutny i silny, pozwalał odeprzeć fałszywe obietnice miłości i szczęścia. W głębi duszy chyba nigdy nie wierzyłem w takie rzeczy. A przynajmniej nie dla mnie. Pusta nicość zaczęła się rozpadać. Teraz mogłem wyczuć innych obok mnie. Wystrzałowa Suzie, niematerialna dłoń w mojej, nieskończona wiara w moje możliwości. Cathy Barrett, która właśnie zaczęła rozumieć, jak bardzo ją okłamano, zmanipulowano i wykorzystano. Jej gniew niemal dorównywał mojemu. I gdzieś, bardzo blisko, cichy szept, ostatnie echo kogoś, kto przez chwilę wierzył, że jest kobieta o imieniu Joanna. I przysięgam, poczułem uścisk drugiej niematerialnej dłoni.

Sięgnąłem ku nim i objąłem je moim darem, a razem byliśmy silniejsi niż ten pieprzony Dom.

Znajduję nie tylko rzeczy. Z daru mogę korzystać na różne sposoby. Mogę znaleźć słaby punkt wroga i uderzyć.

Dom zawył z szoku i gniewu, z bólu i przerażenia. Od dawna chyba nikt nie był w stanie go zranić.

Nic zostało zastąpione przez coś. Miejsce pomiędzy. Staliśmy na nagiej powierzchni, która rozciągała się nieskończenie w każdym kierunku. Szara, miękka, bez konturów i detali. Nierzeczywiste miejsce, ale wystarczająco realne. Przyczółek. Suzie i Cathy były obok. Suzie miała na sobie srebrną zbroję, najeżoną straszliwymi kolcami. Cathy znów była sobą ze zdjęcia, tylko wyjątkowo wkurzoną. Nie zadałem sobie trudu sprawdzić, jak ja wyglądałem, to nie miało znaczenia. A zaraz obok pojawił się ktoś jeszcze, niewyraźny kontur, zbyt blady, by poznać jego tożsamość, ale ja wiedziałem, kto to. Lśniliśmy jasno, świetliste istoty w świecie szarości. Utworzyliśmy jaśniejący krąg wokół kolumny ciemności, poznaczonej krwawymi śladami, która wznosiła się

nieskończenie aż do niewidocznego nieboskłonu. Z jej wnętrza dobywał się głos, skrzypiący i nieludzki, walił w nas niczym młot.

Precz! Precz! Precz!

Ale mój dar był silny, więc tylko się śmiałem. Dom miał w swoim arsenale jedynie kłamstwa i podstęp, tu całkowicie bezużyteczne. Postąpiłem krok naprzód, a ze mną Suzie i Cathy. Ciemna kolumna skurczyła się, uciekła przed naszym światłem. Zbliżaliśmy się, a ona wciąż malała, a za naszymi plecami, na nieskończonej równinie, setki bezcielesnych postaci gromadziły się w ciszy. Stawały i obserwowały naszą walkę. Miały nadzieję. Ofiary Domu. Nie zadowolili się ich ciałami, pożarł też dusze. Wchłonał ich siłę, by podtrzymać swoje nienaturalne istnienie. Cień kobiety o imieniu Joanna zbliżył się do mnie, cokolwiek z niej zostało, wciąż się nie poddawało, choć Dom mógł ją rozdrzeć na strzępy, pochłonać, unicestwić. Ponownie poczułem jej dłoń w swojej. Przez nią sięgnąłem do pozostałych cieni, milcząco oferując im zemstę i wolność, jedyną, jakiej mogły jeszcze zaznać. A one sięgnęły przeze mnie.

Moc rozpałała mój dar do białości, świecąc jak gwiazda, ruszyłem na kolumnę mroku, a Suzie, Cathy i wszystkie te bezimienne ofiary szły ze mną. Dom krzyczał. Przerazająca kolumna kurczyła się, malała, aż stała się tak wątła, że mogłem złączyć dłonie z ufną i pełną wiary Suzie, z wściekłą i zdradzoną Cathy i duchem kobiety nazywanej Joanną, którą pokochałem. Zebrałem nasz gniew i naszą złość, furię ofiar i skupiając ich siłę w moim darze, uderzyłem w ciemne serce istoty, która udawała Dom. Zawyla w nieskończonym przerażeniu. Kolumna skłębionej ciemności przestała istnieć i głos Domu zamilkł na zawsze.

Potrafię znaleźć wszystko. Również czyjąś śmierć.

Nigdy nie nosiłem broni. Nie musiałem.

Rozejrzałem się. Szara równina była pusta. Cienie setek ofiar zniknęły, w chwili gdy ich dusze zostały uwolnione. A wraz z nimi zniknął również cień doskonałej, zaprojektowanej i zaprogramowanej przynęty, która przez chwilę miała okazję przekonać się, jak to jest być człowiekiem, i za nic nie chciała się poddać.

Musisz wierzyć w marzenia, ponieważ czasem one wierzą w ciebie.

Z impetem wróciłem do mojego ciała i natychmiast zacząłem

rozglądać się gwałtownie. Wróciły mi siły za sprawą dusz ofiar przekłętego Domu. Wciąż tkwiłem w pokoju bez okien i drzwi, ale sam Dom był martwy. Już czułem coraz intensywniejszy smród rozkładu. Oko w suficie pozostawało zamknięte, a fosforyzujący blask ścian bladł z każdą chwilą. Na ścianach pojawiły się pierwsze pęknięcia. A na podłodze to, co zostało z Cathy Barrett. Mizerna, wysuszona na wiór, półżywa dziewczyna była wolna. Trawiąca jej ciało podłoga musiała wypchnąć smarkulę w przedśmiertnych drgawkach. Cathy próbowała usiąść, twarz wciąż jeszcze miała wykrzywioną wściekłością. Pomogłem jej i owinąłem szczelnie płaszczem. Przytrzymała go wychudzonymi rękoma i spojrzawszy na mnie, uśmiechnęła się. To był prawdziwy uśmiech.

- To coś mnie okłamało - powiedziała. - Mówiło wszystko to, co bardzo chciałam słyszeć, więc mu uwierzyłam. A kiedy już mnie dopadło, sprawiło, że byłam szczęśliwa. Ale tak naprawdę gdzieś w środku cały czas krzyczałam rozpaczliwie. Uratowałeś mnie.

- Tym się zajmuję - odpowiedziałem. - To moja praca.

Przyglądała mi się przez chwilę.

- Gdyby moja mama wiedziała, że tu jestem i mam kłopoty, to chciałabym wierzyć, że wysłałaby kogoś takiego jak ty. Kogoś... na kim można polegać.

- Słuchajcie, cholernie to wszystko wzruszające - wtrąciła Suzie energicznie - ale ja naprawdę chciałabym się już stąd wydostać.

- Słuszna uwaga - przytaknąłem. - Dopiero co odebrałem prochowiec z czyszczenia.

Razem postawiliśmy Cathy na nogi, co nie było trudne, ważyła tyle co nic.

- Gdzie byliśmy? - zapytała nagle. - To szare miejsce? Co to było?

- Dom można było pokonać, tylko niszcząc jego serce - wyjaśniłem, prowadząc ją ku ścianie, w której kiedyś było wyjście. - Więc schował swoje serce w innym miejscu. W innym wymiarze czy rzeczywistości. Jak wolisz. To stara magiczna sztuczka. Ale ja potrafię odnaleźć wszystko.

- Jesteś pewien, że zdechł? - dopytywała się Suzie. - Nie zaczniesz nagle znowu nas zjadać? Jest martwy? Wiesz, wciąż jest tutaj, a my

jesteśmy w nim.

- Jest martwy - powtórzyłem. - A sądząc po zapachu, już zaczął się rozkładać. Nigdy nie był częścią naszego świata, tylko jego pokrecona wola pozwalała mu tu przetrwać. Suzie, zrób nam drzwi.

- Być może pamiętasz jeszcze, że mój shotgun nie zadziałał poprzednio. - Rzuciła mi kose spojrzenie.

- Jestem pewien, że tym razem zadziała bez pudła.

Uśmiechnęła się jak dziecko obdarowane nieoczekiwanym prezentem i natychmiast dobiła shotguna. Znów strzeliła z bliska i tym razem pocisk wywalił w ścianie dziurę na wylot. Strzelała raz za razem, śmiejąc się głośno, a dziura w ścianie robiła się coraz większa. Aż w końcu Suzie postąpiła naprzód, by rozerwać szerzej postrzępione brzegi otworu.

- Cholera, tu się wszystko rozpada - mruknęła z obrzydzeniem, spoglądając na swoje dłonie umazane zgnilizną.

- Cały Dom za chwilę się rozpadnie - uprzedziłem ją. - Tak samo rozpadnie się „kotwica”, która trzymała go w naszej rzeczywistości. Sądzę, że powinniśmy stąd zniknąć, zanim to się stanie. A ty? Dawaj łapę, Suzie.

Chwyciliśmy Cathy i przeszliśmy przez postrzępioną dziurę wprost do rozpadającego się korytarza. Ledwie stanęliśmy na nogi, a krawędzie otworu roztopiły się jak gorący воск. Zalała nas dziwaczna poświata dochodząca zewsząd, ponura jak ognie stosów pogrzebowych. Słodkawy smród rozkładu stał się nieznośny. Ruszyłem szybko ku schodom, na ścianach korytarza wykwitły czarne plamy, a sufit złowieszczo pochylał się nad naszymi głowami, jakby nie miał już sił, by utrzymać się w górze. Wszędzie pojawiały się pęknięcia. Zanim dotarliśmy do schodów, podłoga ugięła się pod naszymi stopami niebezpiecznie.

- Ruszajmy się, dziewczyny - ponaglałem. - Nie sądzę, żeby Dom utrzymał się długo w naszym świecie. A naprawdę nie chce mi się wierzyć, że któremuś z nas spodoba się wycieczka do świata, który daje życie takim istotom.

- Racja - odezwała się Suzie. - Musiałabym zabić tam wszystko dla zasady. A nie mam przy sobie dość amunicji.

Niemal zbiegaliśmy po chwiejących się schodach. Cathy robiła, co

mogła, ale mogła niewiele. Dom zjadł większość jej masy mięśniowej. Jednak ani na chwilę się nie poddała.

Ściana przy schodach wolno spływała w dół, stopnie kleiły się do butów jak stare toffi, musieliśmy uwalniać nogi szarpaniem. Chcąc zachować równowagę, odruchowo chwyciłem barierkę i cały kawał został mi w ręku, oślizgły i przegniły. Odrzuciłem go, krzywiąc się z odrazy. Na dole ruszyliśmy biegiem, niosąc Cathy i próbując umknąć przed gęstymi lepкими kroplami, które kapwały na nas sufitu. Ściany chwiały się na wszystkie strony. Tam gdzie były drzwi prowadzące na zewnątrz, został jedynie niewielki otwór, przypominający ropiejącą ranę. Zapadał się, odcinając nam drogę wyjścia. Już był zbyt mały, żebyśmy mieli szansę się precisnąć.

- O Boże - wyrwało się Cathy. - Nigdy się stąd nie wydostaniemy. Dom nam na to nie pozwoli.

- Jest martwy i nie ma nic do powiedzenia - stwierdziła twardo Suzie. - A my wychodzimy, sposób się znajdzie. Prawda, Taylor?

- Prawda.

Przez zapadającą się dziurę, która kiedyś udawała wejście, widziałem kawałek zewnętrznego świata, czystego, spokojnego i zupełnie normalnego z tej perspektywy. Posłużyłem się darem jak sprzętem do rozbiórki, waląc nim w krawędzie otworu. Drgnęły i powoli, z oporem, dziura się poszerzyła. Złapaliśmy mocno Cathy i rzuciliśmy się naprzód niczym sprinter do mety. Rozkładająca się tkanka przytrzymała nas przez moment, ale przedarliśmy się bez większego trudu. Wypadliśmy na Blaiston, z powrotem do świata ludzi, wprost pod ożywczy prysznic deszczu. Wrzeszczeliśmy jak wariaci, ciesząc się ze zwycięstwa. Cathy położyliśmy na ziemi, a ona pomacała asfalt dookoła, może i brudny, ale przynajmniej nie próbował udawać, że jest czymś innym niż tylko asfaltem, i rozplakała się głośno.

Spojrzałem przez ramię na martwy już Dom. Zapadał się powoli pod własnym ciężarem. Zdeformowane okna sprawiały wrażenie zamkniętych z wyczerpania oczu, a dziura, którą wyszliśmy, przypominała posiniaczone i opuchnięte usta.

- Gnij w piekle - powiedziałem.

Uderzyłem w niego siłą mojego talentu, zrywając ostatnie

połączenie domu z naszym światem. Martwe pozostałości udającej dom istoty zniknęły, wróciły, skądkolwiek pochodziły. Pozostał po nich jedynie smród zgnilizny wolno rozpuszczający się w deszczu i kilka niewartych wspomnienia kawałków. Kiedy Walker zjawiał się na Blaiston, nie miał nawet trupa, którego musiałby pogrzebać.

EPILOG

Deszcz niemal ustał. Trząsałem się trochę tylko, i to raczej nie z zimna. W każdym razie niebo było pełne gwiazd, a nad głową wisiał mi wielki biały księżyc. Próbowałem znaleźć w tym pocieszenie. Otuliłem się płaszczem i przysiadłszy na krawężniku, obserwowałem, jak ludzie Walkera kłębią się na pustej już parceli. Zdaje się, że szczęście zbytnio im nie dopisywało, ale raz na jakiś czas dochodziły mnie wybuchy entuzjazmu związanego ze znalezieniem jakichś resztek przegniłej tkanki. Przyglądałem się, jak ze wszelkimi szykanami pakują te cuchnące kawałki do plastikowych toreb. Nie chciało mi się nawet zgłębiać po co. Do laboratorium? Do analizy? A może Walker chciał wyhodować sobie gdzieś w szklarni nowy dom? Zawsze był zainteresowany różnymi podstępami, sztuczkami, które mógł zastosować przeciwko tym, którzy akurat w bieżącym tygodniu byli jego wrogami. W tej chwili wykrzykiwał do swoich ludzi rozkazy z bezpiecznego dystansu, jak zwykle dbając o to, by jego własne ręczki pozostały czyste.

On i jego mała armia przybyli na miejsce chwilę po tym, jak udało nam się wydostać z martwego Domu. Domyślałem się, że wcześniej go obserwowali ze stosownej odległości, gotowi interweniować, na wypadek gdybym jednak nawalił. Zapewne do Walkera dotarły krzyki zdychającego potwora, to bardzo prawdopodobne, zawsze uważałem, że byłby z niego doskonały sęp.

Cathy przysiadła obok, okryta brudnym płaszczem, którego nie dała sobie odebrać. Oparła się o mnie, jakby chciała podkreślić, że jesteśmy po tej samej stronie. W dłoniach trzymała wielki kubek wołowego rosołu, który Walker skądś wytrzasnął. Popijała z niego ostrożnie, gdy jej się przypominało. Jej ciało zostało tak zredukowane przez Dom, że nie pamiętało już, co to głód. Suzie pilnowała nas z groźną miną i shotgunem w rękach, mierzyła Walkera wrogim spojrzeniem, gdy tylko ten znalazł się zbyt blisko. Nawet Walker wiedział, że nie należy niepotrzebnie wchodzić w drogę Wystrzałowej

Suzie.

Prześladowało mnie wspomnienie Joanny, choć jej duch przepadł wraz z Domem. Nie umiałem przejść do porządku dziennego nad tym, że zwodziła mnie tak długo... ale wydawała się taka prawdziwa. Zastanawiałem się, czy nie wierzyłem Joannie z tych samych powodów, które skłoniły Cathy do wiary w obietnice Domu. Obojgu nam mówiono dokładnie to, co chcieliśmy usłyszeć. Pokochałem Joannę, bo moi wrogowie postarali się, by była dla mnie idealną kobietą. Twarda, ale wrażliwa, silna, ale zdesperowana. Podobna do mnie tak naprawdę. Ktoś rzetelnie odrobił lekcje. Dranie. Jednak byłem przekonany, że w końcu Joanna uwierzyła w siebie, ponieważ ja w nią wierzyłem, i stała się, nawet jeśli tylko na chwilę, prawdziwą osobą. W Nightside sny się spełniają, każdy to wie.

Ale znikają, gdy się obudzisz.

Suzie spojrzała na mnie i skrzywiła się z dezaprobatą, natychmiast zgadując, o czym myślę.

- Zawsze byłeś zbyt miękki, by to ci wyszło na zdrowie, Taylor. Pozbierasz się. Ciągłe jeszcze masz mnie.

- Szczęściarz ze mnie - mruknąłem. Na swój sposób Suzie chciała podnieść mnie na duchu.

- I skopaliśmy Domowi dupę, może nie?

- To prawda. Skopaliśmy.

Suzie spojrzała w stronę parceli, ignorując zupełnie obecność Walkera i jego sługusów.

- Jak myślisz, ilu ludzi zżarło to coś, zanim posłaliśmy je do piachu?

Wzruszyłem ramionami.

- A ile w Nightside jest zagubionych dusz? Jak myślisz, ile z nich może zniknąć, zanim ktokolwiek zauważy? Walker zainteresował się dopiero wtedy, gdy w sieci Domu wpadło kilka grubszych ryb.

Usłyszawszy swoje nazwisko, Walker zdryfował ku nam natychmiast. Nie spuszczał z Suzie czujnego spojrzenia. Nie bez powodu, bo natychmiast skierowała ku niemu lufę, uśmiechając się przy tym nieprzyjemnie. Gestem poprosiłem ją, by jednak pozwoliła mu podejść. Wciąż miałem kilka pytań, na które musiałem znać

odpowiedzi, a czułem się już na siłach.

Walker grzecznie uniósł melonik.

- Wiedziałaś - stwierdziłem.

- Podejrzewałem - poprawił mnie.

- Gdybyś miał pewność - zacząłem wolno - to i tak pozwolibyś mi iść tam w pełnej nieświadomości?

- Prawdopodobnie. Nie jesteś jednym z moich ludzi, Taylor. Nic ci nie jestem winien.

- Nawet prawdy?

- Szczególnie prawdy.

Suzie ściągnęła brwi.

- Gadacie o Joannie? Czy o Domu?

- Nie ma znaczenia - przerwałem. - Walker zazdrośnie strzeże wszystkich swoich tajemnic. Powiedz mi chociaż, Walker, czy moja matka naprawdę zamierza wrócić?

- Nie wiem - odparł, bez trudu wytrzymując moje badawcze spojrzenie. Wydawał się szczerzy, ale on zawsze wydawał się szczerzy i otwarty. - Krążą plotki... Z drugiej strony plotki zawsze krążą, prawda? Być może... powinienesz pokręcić się w pobliżu przez jakiś czas. Na wszelki wypadek. - Uciekł wzrokiem i nie odrywał spojrzenia od krzątający swoich ludzi, byleby tylko nie patrzeć mi w oczy. - Mógłbym od czasu do czasu podrzucić ci jakąś robotę. Nieoficjalnie, oczywiście. Wszystko wskazuje na to, że ciągle jeszcze masz to coś.

- Masz tupet - nie wytrzymała Suzie.

Uśmiechnął się, w stu procentach układny i skromny urzędnik państwowy.

- Taka praca, moja miła.

- Nie jestem twoją miłą.

- Zapewniam cię, że dziękuję za to opatrności.

Postanowiłem się wtrącić, zanim rozpocznie się Armagedon.

- Walker, czy mógłbyś zaopiekować się Cathy? Dopilnować, żeby wróciła do normalnego świata, do matki? Prawdziwej matki.

- Oczywiście.

- Zapomnij - przerwała Cathy ostro. - Nie wracam. Nigdy. Zostaję tutaj, w Nightside.

Obdarzyłem ją spojrzeniem pełnym dezaprobaty. Najlepszym, jaki miałem w zestawie.

- Zwariowałaś? Po tym, co tu przeszłaś?

Uśmiechnęła się do mnie znad kubka z rosółem, ale w tym uśmiechu nie było nawet cienia wesołości.

- Wierz mi, koszmary bywają rozmaite. Zapewniam cię, że bez względu na to, jak paskudne jest to miejsce, pozostaje niczym w porównaniu z tym, przed czym uciekam. Pomyślałam sobie, że zostanę z tobą, John. Nie potrzebujesz może sekretarki? Każdy prywatny detektyw ma bystrą i wygadaną sekretarkę, która też niejedno wie. Myślę, że to absolutna konieczność. Podstawowa zasada.

Suzie parsknęła śmiechem, który pod wpływem mojego spojrzenia nieudolnie próbowała zamaskować pokaszływaniem. Walker znowu nie mógł oderwać wzroku od parceli.

- Uratowałem ci życie, a nie adoptowałem!

- Jakoś to rozwiążemy - stwierdziła Cathy z wiarą. Też zerknęła w kierunku parceli. - Jak myślisz? Co to tak naprawdę było?

- Kolejny drapieżnik - stwierdziłem z pewnością. - Tylko taki lepiej zamaskowany. Po prostu... coś z Nightside.



SIMON R.

GREEN

*Wszystkie drogi prowadzą
do
Nightside*

John Taylor, specjalista od spraw beznadziejnych, od pięciu lat skutecznie unika kłopotów. Błogi spokój kończy się wraz z chwilą, gdy próg jego biura przekracza obrzydliwie bogata Joanna Barrett. Za cenę odnalezienia jej córki enigmatyczny detektyw łamie daną sobie przysięgę i wyrusza tam, gdzie nie można polegać nawet na ciągłości czasu.

*K*onie, które boją się dentysty, gazeta z przyszłego tygodnia, przeboje Dylana grane od tyłu przez ulicznego grajka i *krzywiły czasoprzestrzeni*...
Żeby to przetrwać, wstąp na szklaneczkę czegoś mocniejszego do Obcych Znajomków. Uważaj! Twoją moralność oceni sam Merlin...